

PO UTRACIE WŁADZY

Winni Kaczyński i Morawiecki
- Warzecha ostro rozlicza PiS



Hejterzy Tuska
kontra chory Ziobro

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 11/569 11-17 MARCA 2024

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY



PROWOKACJA NA CHŁODNEJ
- CO Z PROCESEM
PO ŚMIERCI
JEDNEGO Z ZABÓJCÓW
KSIĘDZA POPIEŁUSZKI?

Czy prezydent Macron chce wysłać
Francuzów na wojnę na Ukrainie?

ZAWSTYDZANIE GÓRALI



Film „Biała odwaga”, czyli sztuka
manipulowania historią

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



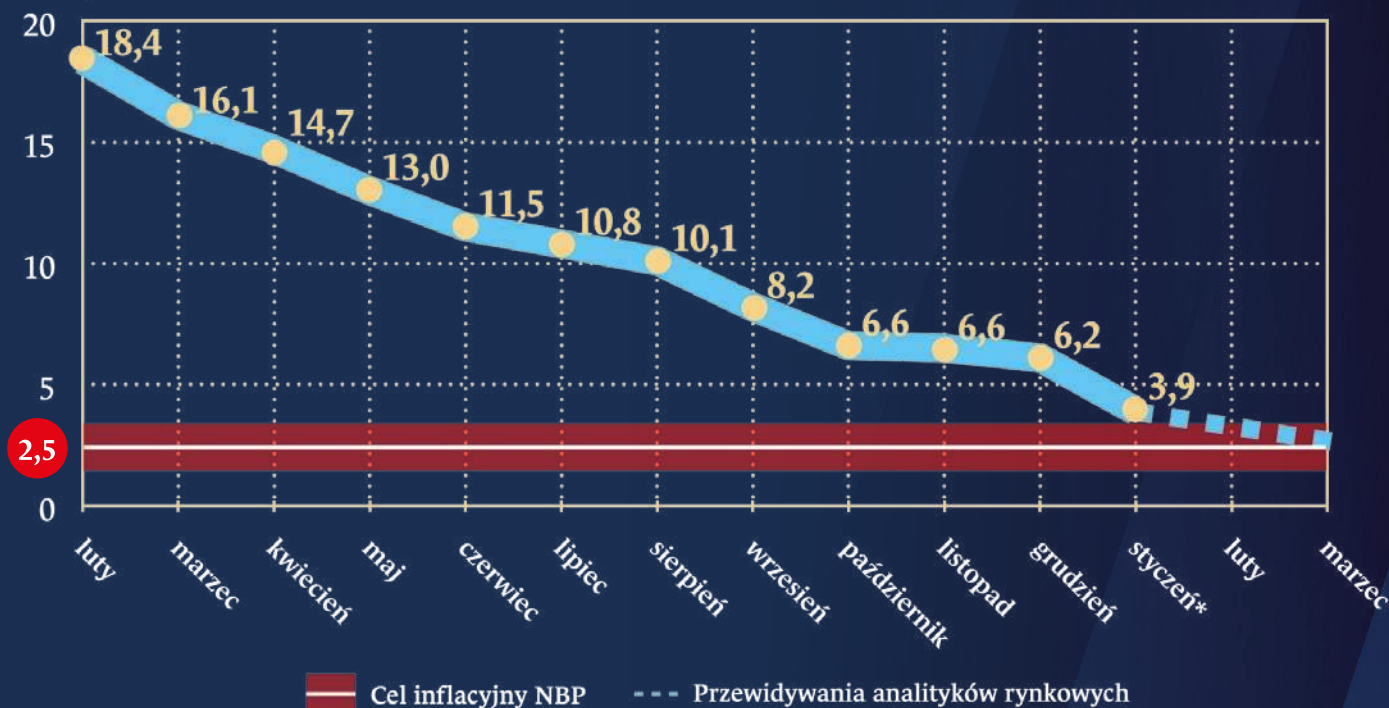
Nakład: 52 000 egzemplarzy



Narodowy Bank Polski
informuje:

Dzięki dobrej polityce pieniężnej NBP inflacja szybko się obniża, zgodnie z prognozą NBP.

Roczna dynamika cen konsumpcyjnych w okresie luty 2023 r. – marzec 2024 r.
proc.



Źródło: dane GUS. | *wstępne dane GUS za styczeń 2024 r.

*Dbamy o wartość
polskiego pieniądza*

W styczniu inflacja wyniosła 3,9% r/r
i jest już bardzo blisko celu inflacyjnego NBP,
który wynosi 2,5% +/- 1 pkt proc.

Niemieccy generałowie w ataku



PAWEŁ LISICKI

W Polsce, jak mogłem się spodziewać, informacja o przejęciu przez rosyjski wywiad rozmowy wysokich rangą niemieckich generałów lotnictwa, którzy to omawiali hipotetyczny atak na most Kerczeński (sama nazwa nie pada), została przez ogół mediów skwitowana we właściwy i od początku konfliktu taki sam, głupekowaty sposób. Usłyszałem zatem, że rosyjska propaganda szaleje, że to wojna hybrydowa, że rosyjska propaganda triumfuje itd., itp.

Zgodnie z wyznaczoną przez czynniki wyższe linią informacje dzielą się na słuszne i niesłuszne, to jest propagandowe. Kryterium słuszności jest proste: wystarczy głosić, że po pierwsze, Ukraina musi wygrać, a Rosja przegrać, bo jak będzie inaczej, to Rosja zaatakuje państwa NATO. To ostatnie jest pewne.

Nie wiadomo jedynie, ośmielał się pytać, dlaczego tego nie zrobiła do tej pory. Przecież żeby zaatakować NATO, Moskwa nie potrzebuje bezpośrednio zajęcia Ukrainy, bo graniczy z kilkoma państwami sojuszu bezpośrednio. Dlaczego zatem nie atakuje teraz, a musi to zrobić później? Jedyne logiczne uzasadnienie – żeby zaatakować państwa NATO, trzeba najpierw podbić Ukrainę – odwoływałoby się do analogii z polityką Hitlera. Ten podbił, a w zasadzie dzięki Wielkiej Brytanii i Francji zajął Czechosłowację, zdobył dostęp do ważnego segmentu przemysłu i dzięki temu uderzył na Polskę.

Analogia ta jest jednak absurdalna. Pomijam już drobniaczko, a mianowicie pytanie, czy obecnie celem Rosji jest podbicie Ukrainy. Ale nawet gdyby tak było i gdyby do tego doszło (co, mam nadzieję, nigdy się nie stanie), w ręce Putina wpadłoby państwo bankrut, ze

zniszczonym przemysłem (wskutek rosyjskich nalotów), ze społeczeństwem wrogim i gotowym walczyć z okupantem na śmierć i życie. Mając za sobą wielkie teryny wrogiej i spustoszonej Ukrainy, rosyjskim wojskom walczyłoby się na zachodzie znacznie trudniej.

O tóż treść rozmowy niemieckich generałów nie pasuje do wyżej przedstawionej opowieści. Nie zastanawiają się oni nad obroną, ale obmyślują atak. Rzecz nie dotyczy terenów zajętych po lutym 2022 r., ale mostu Kerczeńskiego, wybudowanego po roku 2014. Nie są to ogólne plany strategiczne, ale bardzo precyzyjne określenie uderzenia: ilu dokładnie trzeba rakiet Taurus, żeby zniszczyć most. W które konkretne miejsca uderzyć i jak sprawić, żeby trafić w filary? Nie są to zatem ani rozmowy dowództwa, które zastanawia się nad obroną. Nie jest to na pewno przykład postawy neutralnej albo nawet życzliwej w stosunku do Ukrainy. Niemieccy generałowie, co zresztą świadczy o ich niekompetencji, zostali złapani na gorącym uczynku przygotowywania planów uderzenia na teren uważany przez agresora za własny. Przy czym, żeby była jasność, Niemcy formalnie i oficjalnie w stanie wojny z Rosją nie są, a NATO, formalnie i oficjalnie, w wojnie nie uczestniczy.

Jedyną troską generałów, poza kwestią dotyczącą liczby odpowiednich rakiet, jest pytanie o to, jak dostarczyć je niepostrzeżenie na Ukrainę. Albo raczej jak przekazać nie tylko same rakiety, lecz także obmyślony w Niemczech sposób ich użycia.

Czytając liczne komentarze na ten temat, znalazłem tylko jeden trzeźwy. O dziwo, był to tekst z „Guardiana”. Jego autor zauważył, że zachodnia strategia wyrażona naj-

krócej przez sekretarza Antony’ego Blinkena „Zachód musi dopilnować, by wojna była strategiczną porażką Rosji” prowadzi w ślepą uliczkę. I dodaje: „Ukraina coraz bardziej przypomina najemnika NATO dla zachodnich generałów, którzy chcą zwiększyć swoje budżety i przeżyć na nowo gry z czasów zimnej wojny z młodości. Cenę za to płać ich podatnicy i ukraińska młodzież”. Nic dodać, nic ująć.

N ajgorszą rzeczą bowiem, którą pokazują nagrania, jest to, że na czele niemieckiego lotnictwa stoją hazardziści. Zakładając bowiem, że operacja by się udała i pewnego dnia 20 lub 50 rakiet Taurus niemieckiej produkcji uderzyłoby w most Kerczeński i go zniszczyło, to jakie byłyby tego konsekwencje? Czy taki atak doprowadziłby do ogłoszenia przez Rosję kapitulacji? Czy po tym genialnym posunięciu niemieckich strategów rosyjski dyktator trzęsącymi się ze strachu rękami sięgnąłby po telefon i zadzwoniłby przerażony do Olafa Scholza, błagając o litość? Czy też, odwrotnie, użyłby przeciw Niemcom swoich rakiet dalekiego zasięgu, uznając przeprowadzony w ten sposób atak za wypowiedzenie wojny? A nawet jeśli tego nie zrobił, czego nie można wykluczyć, czy nie uderzyłby raketami z pięciokrotnie większą siłą na pozycje ukraińskie?

Morałów jest pewnie kilka. Ja widzę dwa. Po pierwsze, zanim niemieccy generałowie od siedmiu boleści wywołają kolejną wojnę światową, może nauczyliby się przynajmniej pilnować bezpieczeństwa własnych rozmów? A po drugie, jeśli ta rozmowa pokazuje stan myśli strategicznej NATO, to naprawdę trzeba się modlić o polityków, którzy mają odwagę mówić o konieczności negocjacji i pokoju. ©



TEMAT TYGODNIA

14 MACIEJ KORKUĆ
„GÓRALSZCZYŻNA” PO NIEMIECKU
 Obraz historii daleki od faktów

18 PIOTR SEMKA
GÓRALU, ZMANIPULUJEMY WIELE
 – BY CI NIE BYŁO ŻAŁ

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
UCHWAŁĄ I PAŁĄ
 Przekroczenie Rubikonu prawnego chaosu

26 ROZMOWA Z TOBIASZEM BOCHENSKIM
SEN O WARSZAWIE

28 ZUZANNA DĄBROWSKA
ZIOBRO NA CELOWNIKU

KULTURA

30 PIOTR GOCIEK
OSCARY SUBIEKTYWNIE
 Najlepsze filmy roku 2023
 – ranking prywatny

33 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
ORLE JAJA Z WOLNEGO WYBIEGU

NIE PRZEGAP

34 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

40 WOJCIECH GOŁONKA
PREZYDENT MACRON IDZIE NA WOJNĘ?
 Zdezawuowany życzeniowy interwencjonizm

42 PIOTR SEMKA
CZY POTRAFIMY DORÓWNAĆ
DETERMINACJI ROSJI?

45 ŁUKASZ WARZECHA
WINNI KACZYŃSKI I MORAWIECKI

48 JANUSZ KORWIN-MIKKE
JEDNE CHINY

HISTORIA

50 LECH MAŻEWSKI
W IMIĘ RAISON D'ETAT
 Układ sił dyktuje sojusze

54 PIOTR LITKA
PROWOKACJA NA CHŁODNEJ
– CO Z PROCESEM PO ŚMIERCI JEDNEGO
Z ZABÓJCÓW KSIĘDZA POPIEŁUSZKI?

ŚWIAT

56 JACEK PRZYBYLSKI
TRUMP BEZKONKURENCYJNY
 Walka o Białą Dom nabiera tempa

60 TERESA STYLIŃSKA
MARK RUTTE I JEGO WIELKIE NADZIEJE

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
ILU ŻOŁNIERZY STRACIŁY KIJÓW I MOSKWA?

65 WITOLD REPETOWICZ
LIBAN BOI SIĘ WOJNY I ZNISZCZENIA

EKONOMIA

68 JAKUB WOZINSKI
HISTORIA POZORNEGO SUKCESU
 Ćwierćwiecze euro

CYWILIZACJA

72 JACEK PAŁKIEWICZ
WSPÓŁCZEŚNI PIRACI MORSCY
 Niebezpieczeństwo na morzu

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Cośic (*Brusela*),
Tomasz Cukiermilk, Krzysztof Czabański, Łukasz Czamecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jerzy Karwelski, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (*Rzym*),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Toraniński, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromejczyk,
Jakub Wozniński, Tomasz Wroblewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska,
Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk,
Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski, Łukasz Zygałko

STUDIO GRAFICZNE: Wojciech Niedziółko (kierownik studia),

Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)

Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk

Korekta: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,

Agata Błaszczak-Stefaniak

RYŚOWNICY: Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa

Okładka: Adam Golec, Biblioteka Pedagogiczna w Chelmie/kolekcja
R. Jankowskiego

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW


Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Lioć

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: Piotr Pech tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Gosek, Joanna Nowakowska

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond: tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczta.pl,

www.poczta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829 Nakład: 50.000 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Trump, NATO i co dalej?

Szanowna Redakcjo,
polityczny i dziennikarski europejski świat wpadł jakiś czas temu w szok z powodu fragmentu przemówienia Donalda Trumpa na jednym z wieców przedwyborczych, gdzie kandydat na prezydenta wypowiedział kontrowersyjne słowa dotyczące jego stosunku do NATO. Wydaje się pewne, że kwestia istnienia sojuszu w obecnej formie stanie się jednym z ważnych tematów zbliżającej się kampanii prezydenckiej i – jak przypuszczam – będzie początkiem dyskusji między pretendującymi do prezydentury, czy sojusz w obecnym kształcie ma jeszcze dla interesów USA jakiś sens. Zawierany był przecież w świecie, który politycznie już nie istnieje, a obecnie – jak się wydaje – wyzwaniem współczesności lepiej odpowiadają dwu- lub trójstronne sojusze zawierane z państwami, które są dla Amerykanów szczególnie ważne.

Już sama dyskusja o tym powoduje, co widać, popłoch wśród europejskich polityków. Czy aby na pewno wiemy, co czynić? Moim zdaniem poleganie na sojuszu jako niezłomnej i pewnej tarczy obronnej jest zupełnie nieuzasadnione. Przecież nawet słynny artykuł 5 układu nie nakłada na państwa sojuszu obowiązku udzielenia pomocy zbrojnej zaatakowanemu, a jedynie na „taką akcję, jaką uzna za konieczną, nie wyłączając użycia siły zbrojnej”. Czy – hipotetycznie – gdyby Rosja zaatakowała Estonię, to żołnierze USA ruszyliby na Rosję? Szczerze wątpię.

Jest tylko jeden kraj na świecie, który może liczyć na bezwzględne wojskowe poparcie USA. Tym krajem jest Izrael. I wyobraźmy sobie – już nie całkiem hipotetycznie – że w wyniku dalszej eskalacji sytuacji na Bliskim Wschodzie Izrael znalazłby się w stanie wojny z Turcją. Komu USA udzieli pomocy? Członkowi NATO czy Izraelowi? Pewnie odpowiedź jest jasna. Reasumując – NATO jest dla USA coraz większym obciążeniem i trzeba już szukać odpowiedzi na świat, w którym należy liczyć tylko na siebie.

Z poważaniem
Leszek Sebesta

Pilne! Złany zagraniczny ekspert
ds. Kościoła Lu Cypher
przechodzi do TVP!



c e z a r y k + y j z t o a d



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Hołownia spuszcza z tonu

Trzecia Droga poprze Rafała Trzaskowskiego w wyborach na prezydenta Warszawy. „Tam, gdzie możemy zrealizować swoją misję – zrobimy to. Tam, gdzie trzeba będzie szukać mądrych sojuszy koalicji – będziemy je tworzyć”. W ten sposób, za pomocą bardzo obłych słów, lider Polski 2050 tłumaczył, dlaczego Trzecia Droga uchyla się od walki o prezydenturę Warszawy. W kulisach politycy od Hołowni bez specjalnego skrupowania wyjaśniali dziennikarzom, że jest to wynik transakcji politycznej. W zamian za ułatwienie Trzaskowskiemu sytuacji wyborczej Polska 2050 ma obiecaną po wyborach wiceprezydenturę dla Adriany Porowskiej, typowanej wcześniej na kandydatkę prezydencką ruchu Hołownia. Większość mediów sprzyjających Tuskowi ani się nie oburzyła, ani nie zadała pytań o polityczne konsekwencje takiego wyboru. Jedynie sympatyzujący z warszawskimi ruchami miejskimi twitterowicz naiwnie się zdziwił: „Bardzo dziwny ruch ze strony Hołowni. Im wyższy wynik Trzaskowskiego

w wyborach na prezydenta stolicy, tym wyższa szansa na zwycięstwo w wyborach prezydenckich. A więc mniejsze szanse na prezydenturę Hołowni”.

Ja specjalnie działaniom marszałka Sejmu się nie dziwię. To sygnał, że Hołownia traci ambicje prezydenckie i najwyraźniej z jakichś powodów obawia się wchodzić w drogę Donaldowi Tuskowi. Gdyby Hołownia miał realne ambicje zostania nowym gospodarzem Belwederu, dbałby o faktyczną, a nie nominalną pozycję przedstawiciela Trzeciej Drogi. Tymczasem były gwiazdor TVN od miesięcy ochoczo żyruje program Donalda Tuska zawłaszczania państwa. Wspiera pałkarskie metody przejmowania mediów, zdobywania nielegalnej kontroli nad prokuraturą i uczestniczy w planach zawłaszczenia Trybunału Konstytucyjnego. Hołownia przywykł już do roli młodszego brata w politycznym sojuszu z Donaldem Tuskiem, a sam przywódca Platformy chce mieć wolną rękę w razie ewentualnej decyzji o wystartowaniu w wyborach prezydenckich.

Sytuację ułatwia Tuskowi jeszcze to, że Trzaskowski nie jest zdolny do żadnej rozgrywki w celu obrony swego pierwszeństwa w kandydaturze PO do prezydenckiego wyścigu. Pozycja Trzaskowskiego jest niezwykle słaba. Wspierający Platformę tygodnik „Polityka” bezlitośnie ocenia pozycję gospodarza Warszawy: „Z pewnością (Trzaskowski) ma świadomość, że jeżeli Tusk w końcu ujawni prezydenckie ambicje, jemu nie pozostanie nic innego, jak ustąpić mu miejsca. Jest bardziej niż wątpliwe, żeby kolejny raz porywał się z motyką na słońce. Niespełna trzy lata temu bez powodzenia starał się przecież zablokować powrót Tuska na stanowisko szefa PO. A od tamtej pory dzielący ich dystans na skali realnej siły i autorytetu już tylko się powiększał”.

Tusk mając w swym otoczeniu takich graczy jak Trzaskowski czy Hołownia, może ich traktować jak wszechmocny tatuś niesfornych chłopców. Bo ostry to potrafi być Hołownia tylko w sejmowych pyskówkach z posłami PiS. Wobec lidera PO jest miękki jak masło. ©

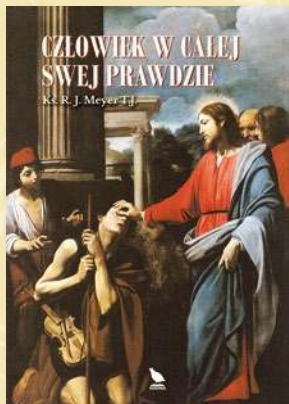
STARCIA Z POLICJĄ PODCZAS PROTESTU ROLNIKÓW

W ubiegłym tygodniu rolnicy w całej Polsce, a także w wielu innych krajach Unii Europejskiej, kontynuowali protesty przeciw polityce Zielonego Ładu. Demonstrowali również w Warszawie. Tym razem ogromny protest nie przebiegał jednak tak spokojnie jak wcześniej. W okolicach Sejmu doszło do konfrontacji z policją, która użyła gazu łzawiącego i pałek. Zatrzymano ponad 50 osób. (jap) ©



FOT. JACEK SZYBOWSKI/FOTUM

WYDAWNICTWO PARDWA PRZEMYŚLANE INNYM PRZEKAZAĆ



CZŁOWIEK W CAŁEJ SWEJ PRAWDZIE, KS. R.J. MEYER

„Jak człowiek, taki jakim jest, musi wznieść się ponad świat, w którym żyje, ku Bogu, dla którego został stworzony”.

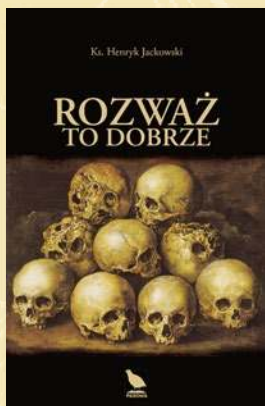
Jeśli szukasz solidnego fundamentu chrześcijańskiej cnoty, to na tych 240 stronach zawarte zostało wszystko, czego potrzebujesz.

KUSZENIE NOWOCZESNEGO CZŁOWIEKA, KS. J. STEPĄ

Gdyby zapytać autora co jest receptą na chorobę współczesności, odparłby zapewne, że powrót do średniowiecza, albo też, używając frazy Mikołaja Bierdiajewa, nowe średniowiecze. Pewne jest, że pierwszą przeszkodą na tej drodze są nowoczesne pokusy: przekonanie o autonomii, arogancja wobec wcześniejszych pokoleń, przeświadczenie, że dojrzałość polega na życiu tak, jakby Boga nie było.

(Paweł Lisicki, red. Do Rzeczy)

Zaledwie 92 strony tekstu, który pomoże Ci z tego przekłętą kręgu wyjść.



ROZWAŻ TO DOBRZE, KS. H. JANKOWSKI

Gdyby ci Bóg objawił, że w ten dom uderzy piorun i zabije połowę ludzi co w nim mieszkają, miałbyś powód się bać? A kiedy Chrystus Pan, tak łagodny i łaskawy, tak cichy i uprzejmy, że nikogo bez potrzeby nie chciałby zasmucić, kiedy On wyraźnie twierdzi, że większa część ludzi idzie na potępienie, z jaką bojaźnią powinieneś pracować około zbawienia własnego?

180 stron, to mała rzecz - zupełnie jak kompas podczas pierwszej wyprawy w nieznane.

ODWIEDŹ WWW.PARDWA.PL
WYDAWNICTWO I KSIĘGARNIA KATOLICKA



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Moment gierkowski

Chciałbym móc, w magiczny sposób, niewidzialny i niesłyszalny, znaleźć się w miejscu, gdzie liderzy UE naradzają się nad protestami rolników. Móc podpatrzeć i podsłuchać, co się tam dzieje – ale nie jako dziennikarz, szukający newsa, do którego nikt inny się jeszcze nie dokopał, tylko jako pisarz, od zawsze zafascynowany problemem „szaleństwa władzy”.

Podsłuchać i podpatrzeć nie jestem w stanie, ale mogę wnioskować po skutkach. Fala rolniczych protestów budzi zapewne wśród eurokratów reakcje podobne, jak swego czasu wśród komunistów strajk sierpniowy; w każdym razie moment historyczny dla UE jest podobny, jak wtedy dla PRL. Jak dziś wiemy, jedni doradzali wtedy Gier-

kowi, żeby kazał strajkującą stoczyć zbombardować („odbudujemy ją potem, a póki co trzeba kontrrewolucję zgnieść w zarodku”), inni mitygowali, żeby jednak nie iść tą drogą i szukać porozumienia. Jak wiadomo, Gierek posłuchał tych drugich, zapewne dlatego, że pamiętał, jak skończył jego poprzednik.

Eurokraci tego doświadczenia nie mają, dlatego wśród nich wygrywa opcja „ani kroku w tył”. Zielony Ład, polityka klimatyczna i wszystko, co z niej wynika, to ideowe pryncypia, od których odstępować nie wolno, choćby nie wiem co. Tym łatwiej tak twierdzić, kiedy żyje się z dala od rzeczywistości, w bizantyjskiej bańce wypełnionej luksusem, nowomową i ideologicznym czadem. Polski komisarz

Wojciechowski, który coś tam z losów Gierka pamięta, próbował mitygować i ogłaszać ustępstwa. Jego słowa podchwyciły triumfalnie polskie media, obiecując rolnikom ustępstwa – ale już następnego dnia zostały one przez Komisję zdezwauowane, jako „prywatne opinie” komisarza. Nie dość, że nie będzie żadnych ustępstw, to jeszcze Parlament Europejski przegłosował właśnie zaostrożenie restrykcji – nakaz „przywracania” ziemiom uprawnym „bioróżnorodności”.

Idziemy zatem na zderzenie, które komisarze, eurokraci różnej rangi i liderzy lewicowych rządów uważają za z góry wygrane. Zapewne się mylą. Problem w tym, że zderzenie z rzeczywistością będzie bolesne nie tylko dla nich samych. ©



MAREK JUREK

OD POČZĄTKU

PiS myśli

Przez osiem lat Prawo i Sprawiedliwość nie zrobiło nic, żeby uwolnić Polskę od nadzoru ustanowionego przez genderową konwencję stambulską. Gdy po pięciu (!) latach środowiska prorodzinne wzięły sprawy w swoje ręce, składając obywatelski projekt ustawy „Tak dla rodziny, nie dla gender”, premier Morawiecki (chcąc pokazać, że PiS „coś robi”) poprosił Trybunał Konstytucyjny o ocenę konwencji. Tam wniosek ten przeleżał kolejne trzy lata, aż Donald Tusk, zdobywszy władzę, mógł go spokojnie z Trybunału wycofać. W sprawie ustawy „Tak dla rodziny, nie dla gender” nigdy nie zebrały się komisje sejmowe, które w poprzedniej kadencji

miały się nią zająć. A nowy Sejm, po ponownym pierwszym czytaniu, obywatelski projekt definitywnie wyrzucił.

Wydawałoby się więc, że po latach manewrów i wykrętów, po wycofaniu przez Tuska wniosku Morawieckiego i po wyrzuceniu „Tak dla rodziny, nie dla gender” przez nowy Sejm, Prawo i Sprawiedliwość ma jedno uczciwe i (!) łatwe wyjście. Wysłać ponownie do Trybunału Konstytucyjnego wniosek premiera Morawieckiego, tym razem jako poselski.

Jednak, jak informuje rzecznik PiS, poseł Bochenek – „nie zapadła w tym momencie taka decyzja”. Żeby jednak było jasne, że PiS myśli to samo, co jego prorodzinni

wyborcy, rzecznik zaznacza, że konwencja stambulska „ewidentnie wzbudza wątpliwości konstytucyjne” i „zawiera mnóstwo lewackich treści, i dziwi to, że Donald Tusk tak bardzo boi się jej weryfikacji”.

Rzecznik się dziwi Tuscowi, ja się rzecznikowi nie dziwię. Zamiast konkretnej konstytucyjnej decyzji ma dla swych wyborców (niech się cieszą) pohukiwania o „lewackich treściach”. To „stanowisko” po prostu obraża inteligencję. Najbardziej obraża inteligencję PiS-owską. Choć dla PiS nie jest to wielki problem, bo PiS-owska inteligencja raczej nie ma zwyczaju na PiS się obrażać. Najwyżej się przez chwilę nadąsa, po czym wszystko, jak zwykle, wróci do normy. ©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

To się jednak dzieje...

W „Corriere della Sera”, najważniejszym dzienniku Italii, Federico Rampini, ceniony komentator, eseista i pisarz, w korespondencji z Nowego Jorku opisał terror kultury woła na prestiżowym Columbia University. Sądząc po reakcjach, nawet włoscy talibowie poprawności politycznej są potężnie zszokowani.

Rampini relacjonuje doświadczenia znajomej Włoszki, która rozpoczęła studia na tym uniwersytecie, by potem pracować w opiece społecznej. Na dzień dobry kazali jej napisać esej o swoim osobistym zaangażowaniu w walce z rasizmem białych wobec czarnych. Niedługo potem, wraz z innymi białymi studentami, musiała przeproszać niebiałych za to, że jako biała jest

potencjalną nosicielką rasizmu. Zapewne chodzi o rasizm genetyczny.

Co dwa tygodnie biali studenci muszą brać udział w spotkaniach pt. „Odpowiedzialność białych”. Uświadamiają ich tam, że muszą sobie zdawać sprawę z rasistowskich, podświadomych miniagresji. Na przykład nie można spytać „Skąd pochodzisz?”, bo może to być przejawem dyskryminacji etnicznej. Nie wolno też używać słowa „field” (pole) w sensie dziedziny badań naukowych, bo może się czarnym skojarzyć z plantacjami bawełny, a Meksykanom z ciężką pracą w polu ich przodków.

W tym samym czasie niebiali studenci uczestniczą w spotkaniach, na których mają denuncjować podświadome i świadome

przejawy rasizmu białych koleżanek i kolegów. Oczywiście biali winni tego przestępstwa muszą potem przeproszać urażonych i składać samokrytykę. Kobieta opisuje również prześladowania żydowskich studentów z powodu działań wojska izraelskiego w Strefie Gazy. Potwierdza, że żydowscy studenci ukrywają teraz swoje pochodzenie.

Słowem, Rampini między wierszami mówi Włochom: „Amerykańskie lewicowe elity oszalały. Uważajmy na siebie”. Najwyraźniej za oceanem, w ojczyźnie wolności, postępowcy odkrywają walory pedagogiki stalinowskiej: pranie mózgów, totalne zideologizowanie, ściganie i wykluczanie inaczej myślących, terror, donosicielstwo i samokrytyka. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

SZOROWANIE PO DNE

Złodziej krzyczy: „Łapać złodzieja!” Choć w tym przypadku nikt niczego nie ukradł, a zrobił wokół siebie medialne szum i show, a teraz dziwi się, że inni, którzy również żyją z zainteresowania świata, z tego korzystają. Ostatnie dni bezsprzecznie należały do Marianny Schreiber. Niestety, nie chodzi ani o karierę w wojsku (którą porzuciła), ani (pato)sportowe osiągnięcia w tzw. freak fightach. Mąż Marianny, poseł PiS Łukasz Schreiber, ogłosił, że się rozstają. On twierdzi, że odbyli rozmowę na ten temat; ona – że dowiedziała się z mediów. Generalnie – dramat. I tak Marianna najpierw opublikowała zapłakane wideo, a następnie serię wpisów na każdym możliwym portalu. „Rozumiem, że można komentować i krytykować zarówno moją osobę, jak i ostatnie wydarzenia ze mną związane, wszak jestem osobą publiczną i muszę się również godzić na publiczną krytykę” – stwierdza. I przechodzi do sedna: „Ale jednej rzeczy

NIGDY nie zaakceptuję – moralnych karłów, pomawiaczy i osób, które budują zasięgi na ludzkich tragediach”. „Wszystkie te cechy konsumują niektóre osoby publiczne, które od lat umoralniają innych zza szklanego ekranu na youtubowych profilach. Osoby, które ferują wyroki, nie wiedząc tak naprawdę nic na dany temat. Wchodzące z butami w życie innych ludzi, czy tak po ludzku nie jest Wam wstyd za to, co piszecie?” – grzmi pani Schreiber. „Zwracam się szczególnie do mężczyzn – jakimi trzeba być hienami, by publicznie poniżyć i dobijać w takim momencie matkę małego dziecka? Ludzie – co się z Wami stało? Co się stało z tą empatią i wrażliwością? Jakim trzeba być człowiekiem, by z satysfakcją na ustach kopać leżącego? Za te zasięgi i plucie na mnie może i będziecie mieli zysk, ale za to wielką stratę na sercu. Dobranoc” – podsumowała. Jak by tu rzec... Chłopcemu nie dzieje się krzywda? Co do jednego absolutna zgoda. Szkoda dziecka.

WYROCNIA KORWIN- -PIOTROWSKA

Jedną z osób, które chętnie zrecenzowały postępowanie Marianny, była Karolina Korwin-Piotrowska, uznawana za ekspertkę do spraw celebrytów. Z troską zasugerowała, że w tej trudnej sytuacji żona posła PiS powinna zwrócić się do specjalisty lub bliskiej jej osoby, a nie uzewnętrzniać się w mediach. Korwin-Piotrowska stwierdziła, że działania pani Schreiber to efekt przemożnej chęci pozostawania w centrum uwagi – nawet gdy ewidentnie sobie tym szkodzi. „Hit. Proszę, aby media nie pisały, proszę, by ludzie nie pisali, a jednocześnie robię od kilkudziesięciu godzin nieustający cyrk w mediach. Rozumiem emocje, ale zamiast ujawniać je publicznie, w mediach, lepiej zrobić to u specjalisty albo u przyjaciółki, kogoś bliskiego. Tym bardziej że ważne jest dziecko. No ale może nie ma ani przyjaciółki, ani terapeuty, a poza tym wtedy nikt by nie wiedział. A tak wszyscy wiedzą. Bo o to chodzi. Żeby być

publicznie. Nieustannie” – podsumowała znawczyni świata celebrytów. Nawet znawczyni napisze czasem coś mądrego.

BEZ LITOŚCI

Każdy promuje się jak może. Kuba Wojewódzki wykorzystał w tym celu Edytę Górniak. Ogłosił, że wokalistka będzie pierwszym gościem w nowym sezonie jego talk-show. Informację tę szybko zdementowała osoba pracująca w TVN. – Edyty nie będzie w pierwszym odcinku programu – przekazał informator tabloidowi „Fakt”. Niedługo później tanie zagrywki Wojewódzkiego skomentowała sama zainteresowana. Górniak zdecydowała się nie szczypać. „Naprawdę potrzebujesz aż mojego nazwiska, żeby zapewnić sobie uwagę? Domyślam się, że pożyczasz je na potrzeby startu jakiegoś nowego programu. Boisz się, że samemu by się nie udało Kubuś? Wiem, że bardzo liczysz na odwet, czyli promocję, więc chętnie ci pomogę, skoro i tak już zapożyczyłeś sobie moje nazwisko” – napisała wokalistka. „Ej, a może to tylko ujma dla ego, że po ponad roku twoich starań nie przyjąłem zaproszenia do twojego podcastu? Chętniej niż do Ciebie pójdę do Żurnalisty, który znakomicie przygotowuje się do rozmów i ma pasję poznawania ludzi. Ba! Nie musi obrażać swoich gości, żeby mu się »klikało«. Na pewno się ze mną w tym zgodzisz” – ironizuje dalej Edzia. Na tym się nie skończyło. Górniak nawiązała bowiem do plotek o rzekomym homoseksualizmie Wojewódzkiego. „Może pożyczanie mojego nazwiska to wyraz lęku o swój własny byt. A może próbujesz odwrócić uwagę od plotek, że jesteś gejem i każdą kobietę używasz, aby to przykrzyć? A może po prostu tylko tyle rozumiałeś, ile umiałeś przez swoje drugie życie – używać ludzi do swoich celów. A może zwyczajnie wzięłeś za to kaskę. Jak przystało na klauna” – kontynuuje piosenkarka. Na koniec dodała: „Kubusiu, it's OK, trzymam kciuki za twój nowy program, cieszę się, że mogłam ci pomóc w promocji. Uważaj tylko, kiedy jesz chleb kupiony za pieniądze zarabiane w brudny sposób. Bo... jak to mówią – Karma is a bitch”. Trzeba przyznać, pojechała. ©



FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, to, co się wydarzyło w miniony wtorek, przejdzie do historii świata. Przyszłe pokolenia się będą o tym

uczyć na lekcjach herstorii (która zastąpi wsteczniacką historię) – o dniu, w którym świat wstrzymał oddech i nie wiedział, czy jeszcze kiedykolwiek będzie taki sam.

Jak pewnie pamiętacie, w tym dniu przydarzyła się globalna awaria Facebooka i Instagrama, która spowodowała, iż na godzinę zostaliśmy odcięci od mediów społecznościowych, a co za tym idzie, nie wiedzieliśmy, jakie są trendy, co należy myśleć i co promują nasi ulubieni influencerzy.

W dodatku awaria przydarzyła się w godzinach popołudniowych, kiedy byliśmy już po pracy, więc przez tę straszną godzinę siedzieliśmy, po prostu gapiąc się w ścianę i czekając na jakiś komunikat, iż sytuacja jest opanowana. W ogóle to gdzie się podziały alerty RCB, kiedy ich najbardziej potrzebowaliśmy?

Nie wiemy, jak teraz mamy wrócić do psychicznej równowagi. Kompulsywnie co jakiś czas (dwie minuty) sprawdzamy, czy fejsbuk działa, czy instagram jest tam, gdzie zawsze, czy przypadkiem nie ma znów kolejnej awarii. Będziemy to musieli jakoś przepracować, ale od kiedy Nowy z Tarnowa nam zlikwidował w korpo pokoik do wypłakiwania się

i urządził w nim kapliczkę, nie mamy w miejscu pracy bezpiecznej przestrzeni do okazywania swoich uczuć.

musiał podobno na szybko ogarnąć jakiś dyplom MBA. No i teraz zachowuje się dość nerwowo, ciekawe dlaczego.

W każdym razie to jeden z jego mniejszych problemów. Oficjalnie nikt go jeszcze nie zwolnił ani nie zdegradował, ale Nowy ma świadomość, iż nadchodzące miesiące będą dla niego testem lojalności. Albo pozostanie wierny swojej opcji prokaczystowskiej, albo wykona zwrot ku Europie i zostanie.

Na razie widać, iż się waha. Bo np. w Środę Popielcową biegał za nami po całym open spejsie, próbował nam posypywać głowy popiołem i krzyczał „memento mori” (najpierw myśleliśmy, iż chodziło mu o memy, potem się rozczarowaliśmy), ale z drugiej strony aż dotąd nie zorganizował nam rekolekcji wielkopostnych. Trochę nie wiemy, co o tym myśleć.

Zwłaszcza że w piątki nie robi nam już rewizji kanapek, iż miał zwyczaj sprawdzać, czy przypadkiem nie mamy szynki czy jakiegoś pasztetu. Na szczęście jako osoby wege zawsze zdawaliśmy ten test i potem było trochę spokoju xD. Niby nam się te zmiany podobają, ale też odczuwamy lekki niepokój, iż jak Nowy przestanie się całkiem zachowywać jak Nowy, to jakby świat się zaczął kręcić w drugą stronę. ☹☹

Nowe limuzyny obrotów Zielonego Ładu desperacko absorbują CO₂ z atmosfery



Swoją drogą, to jest naprawdę straszne, iż jedna awaria może mieć tak dalekosieczne skutki wpływające na dobrostan psychiczny całej globalnej populacji. Trzeba coś zrobić, iżby media społecznościowe były dostępne bezwarunkowo i łatwiej. Może bez konieczności logowania, przecież nikt normalny nie pamięta swojego hasła xD.

No właśnie, skoro już pytacie o Nowego z Tarnowa, to musicie wiedzieć, iż aby objąć posadę supervisor naszego zespołu w korpo,

PODSŁUCHANE

Dziwaczysz na starość

Donald, a będę miał swój stary gabinet?

Jeśli chcesz, Paweł... Chciałem ci coś większego zaproponować.

A nie, wiesz, ja się przyzwyczaiłem. I jeszcze tu mam prośbę. Zerknij. Co to jest?

Zdjęcie. To widzę. Ale czego?

Tak mój gabinet wyglądał w 2011 r. Bym chciał, żeby to odtworzyć.

Dziwaczysz na starość. Wszystko? Tę rysę na podłodze też?

Też. I tu bym chciał ten obrazek. I szyciwać taki, jak miałem. Po co ci to wszystko?

Żeby było tak, jak było. ☹☹
Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nie możemy w Dzień Kobiet wyjść do kobiet z koszem pełnym wyrzuconych ustaw”.

SYMON HOŁOWNIA, marszałek Sejmu, o projektach aborcyjnych

Wreszcie porządek panuje w Warszawie. Policja zamyka złodziei. Na przykład pod Sejmem. „Jak to złodziei?” – zapytacie. Odpowiadamy: No przecież minister Kierwa-Kierwiński ogłosił, że połowa zatrzymanych rolników to pijaki. A kto pijak, to złodziej, wiemy to z Barei. Interia też ładnie patrzy władzy na ręce: „Zarzuty dla awanturników”. Podpowiadamy: właściwe słowo to „warchoły”. Za komuny, widzicie, pałowano warchołów z Radomia. A teraz – warchołów spod Radomia.

Porządek panuje też w partii. Szeregowy poseł i były nadpremier Jarosław Kaczyński zakończył dyskusję o sukcesji, ogłaszając, że nigdzie się nie wybiera. Z całego wywiadu u braci mniejszych najbardziej podobało nam się zdanie: „Partia nie jest w kryzysie”. Przypomniał nam się dowcip Mleczki – rysunek faceta, który z zaciśniętymi zębami cedzi: „Najbardziej mnie denerwuje, jak mi mówią, że nie mam poczucia humoru”.

Deklaracja prezesa prezesów wywołała, hm... bardzo różne reakcje. Oto efekty naszego nasłuchu. Legenda PiS nr 1: Po wyborach samorządowych odchodzę z partii. Legenda PiS nr 2: To już nie jest moja partia. Legenda PiS nr 3: Mam nadzieję, że to tylko na wybory i po samorządowych oraz europejskich linia utwardzania się zmieni. Politycy to jednak duże dzieci. Dobrze wiemy, że a) nie odejdzie, b) nie jego, ale innej nie ma, c) nie zmieni się.

Na razie w PiS trwa samorządowa masakra piłą mechaniczną. Chodzi o elegancję, z jaką traktują się rozmaici kandydaci na kandydatów w wyborach samorządowych oraz europejskich. Okazuje się, że listy do samorządu są wojną zastępczą przed elekcją brukselską. Szczególnie intensywne jest wyrzynanie w Ma-

łopolsce, gdzie głównymi osobami dramatu są pałający do siebie bezbrzeżną sympatią Ryszard Terlecki i Beata Szydło.

Nie do końca udał się pucz Morawieckiego i Bielana we frakcji Europejskich Konserwatorów i Reformatorów w europarlamencie. Wprawdzie udało się zmarginalizować frakcję profesorską i wzmocnić Dominika Tarczyńskiego, zwanego jenotem, ale już z obsadą funkcji sekretarza generalnego ECR nie poszło tak dobrze.

Gabriel Beszlej miał być zastąpiony przez byłego ambasadora przy UE, czyli Andrzeja Sadosia. Prywatnie kumpla Adama Bielana, niegdyś kumpla Misia Kamińskiego. Jednak na razie Sadoś musiał się zadowolić funkcją asystenta u Rycha Czarneckiego. A to, jeśli chodzi o kasę, znacznie gorzej płatna fucha.

Skoro o Polakach za granicą, to zagłędamy do MSZ. Zmiany w dyplomacji idą znacznie wolniej niż w neo-TVP czy w neoprokuraturze. Radek wymienia ambasadorów powoli. Na razie z drugorzędnych placówek. I tak np. do Astany, czyli stolicy Kazachstanu, wybiera się niejaki Michał Łabuda. Kto? No właśnie.

dwaj panowie **g**



FOT. ROBERT CZARZYSKI

Wielkie zmiany wymagają wielkich przygotowań i więcej czasu. Przykro nam, ale słyszeliśmy, że najlepszy polski ambasador (piszemy to bez ironii, po prostu taka jest prawda), czyli Marek Magierowski, ma jednak stracić fotel ambasadora w Stanach Zjednoczonych. Ale zyskać fotel ambasadora w Argentynie. Da sobie radę, nie wątpimy, ale nie wątpimy też, że ktokolwiek zastąpi Magiera w Waszyngtonie, to i tak skończy się słuchą.

Ewentualna zsyłka Magierowskiego do Argentyny oznaczałaby, że niechcący sobie wyprorokował. Niedawno przecież w Waszyngtonie, komentując wywiad Tuckera Carlsona z Putinem, ambasador Magier rzekł: „Wierzę, że zamiast tego wielu z was wolałoby, żeby rosyjski prezydent był przesłuchiwany przez sędziego w Hadze. I mam nadzieję, że kiedyś tak będzie. Najlepiej, jak nie będziemy musieli porywać w tym celu Putina z Argentyny”.

WEine Totalkoalition nasilają się pogłoski o rychłym zwolnieniu minister klimatu i środowiska Pauliny Hennig-Kloski. Cóż, drogi Watsonie, jest coś na rzeczy. Ale nie z tych powodów, o których spekulują media. Afera wiatrakowa wcale jej nie zaszkodziła, Donald ma to w nosie. Chodzi raczej o to, że poniewczasie wyszło sztydo z worka na temat, dlaczego Polska 2050 tak bardzo chciała akurat ten resort. Odpowiedź kryje się w sekretach finansowania kampanii partii, która obficie miała skorzystać z przyjaźni baronów śmieciowych. A w jakim resorcie układa się przepisy śmieciowe? No chyba sami wiecie.

Peło ma coraz większy problem z kandydatem na prezydenta Krakowa. W ubiegłym tygodniu wyszło na jaw, że jeden z hosteli do niedawna należący do kandydata mieści się w byłej katowni gestapo. Czyli z grubsza rzecz biorąc, to tak, jakby urządzać noclegownię dla turystów przy Szucha. Fakt, że Miszalski przepisał biznes na rodzinę, nie robi mu dobrze. Wręcz przeciwnie. Do tego stopnia, że niektórzy platformersi zależni od krakowskiego ratusza zaczynają się szerzej uśmiechać do Łukasza Gibały, prywatnie siostrzeńca

Gowina. Gibała ma tę przewagę nad innymi kandydatami, że swoją kampanię prowadzi już od wielu lat. Od tak wielu, że niektórzy mu nawet zapomnieli romans z Palikotem.

Apropos kampanii, która zaczęła się przed kampanią. Od ubiegłego lata trwa akcja zielonych braci na Mazowszu. I wszyscy udają, że tego nie zauważyli. Oficjalnie Struzik Adam, król, znaczy marszałek z Peezelu, niby świętuje „25 lat Mazowsza”, czyli rocznicę reformy samorządowej, ale zobaczcie sami w finale kampanii, jak to świętowanie sprzęgnięte jest z wyborami samorządowymi. Całe szczęście, że niezależne media patrzą Struzikowi na ręce. Na przykład płocka „Wyborcza” dociekliwym wywiadem: „– Nie znudziło się panu jeszcze to marszałkowanie? (Śmiech). – Nie, nie znudziło mi się. Mam tyle satysfakcji, że mi się nie znudziło”.

W Eine Totalkoalition nasilają się pogłoski o rychłym zwolnieniu minister klimatu Pauliny Hennig-Kloski

Swoją drogą świętowanie ćwierćwiecza Mazowsza to coś w stylu obchodzenia w tym roku 15. rocznicy założenia Rzymu. Rzymianie by się mocno zdziwili. Ale w europejskiej Warszawie nikt się niczemu nie dziwi. Wszyscy wierzą w to, co na billboardach. Co innego na prawdziwym Mazowszu, tam mieszkają pisowskie chłopcy warchoły, pijaki i złodzieje, wyją wilki, a w lasach grasuje polio i księża.

Skoro już o stolicy: nie wiemy jak w innych miastach, ale w Warszawie ostatnio stacja TVN reklamuje swój nowy program hasłem „Zdrajcy. Czy potrafisz tak kłamać?”. No lepiej byśmy tego nie ujeli.

Tymczasem konkurs na dialog roku mamy już chyba rozstrzygnięty, choć to dopiero marzec. Dialog miał miejsce podczas obrad komisji do spraw wyborów kopertowych. Joński do Ku-

kiza: „Był pan piosenkarzem”. Kukiz do Jońskiego: „A pan kierownikiem basenu”.

Przy okazji: wszystkim, którzy pytają, dlaczego nie zauważyliśmy, jakie fajne wielkie nic wyszło z proponowanych przez Peło „100 konkretów na 100 dni”, odpowiadamy przekornie: Przecież nie wiadomo dokładnie których dni. A jak ktoś bąknie „no, dni rządzenia”, to odpowiemy: A co, to cały ten bardak można w ogóle nazywać rządzeniem?

Zfilozoficznego punktu widzenia brak realizacji 100 konkretów Peło nie powinien nikogo martwić, lecz radować. Bo też takie to były porywające konkrety. Wytlumaczmy to na przykładzie starego dowcipu z kabaretu Pod Egidą, w którym monolog o PRL-owskiej władzy, która chciała dobrze, kończył się słowami: „ideałem byłaby władza, która zawsze chciałaby źle i której też by nie wyszło”.

Jesteśmy w kropce. Nie wiemy, o co chodzi. Bo Beatę Michniewicz wywaloną z Trójki zastąpiła niejaka Renata Grochal. OK, myślimy, wiemy, która to. Ale jednak nie. W komunikacie Polskiego Radia stoi bowiem jak byk, że zatrudniając „znakomitą dziennikarkę” Renatę Grochal. No i tu kłops, bo skoro tak, to na pewno nie tę z „Newsweeka”.

Zaglądamy za kuliszy dorzynania wymiaru sprawiedliwości. Jak już donosiły media, przedstawiciele adwokatury odmówili uczestnictwa w procedurze wyboru szefa prokuratury krajowej. Oficjalnie ze względu na upolitycznienie tej procedury. Ale – jak nam zdradzili przedstawiciele palestry – są też inne powody. Pierwszy z nich to strach. Strach, że jak wezmą udział w procedurze, to rzeźnik praw Bodnar zażąda wpływu na wybór władz adwokatury. Drugi powód jest bardziej prozaiczny. Chaos prawny, który obowiązuje w tej chwili, jest na rękę obrońcom. Nie muszą już używać wyrafinowanych środków. Wystarczy, że podadzą w wątpliwość status oskarżyciela publicznego, zwanego prokuratorem. A to już się dzieje. Sąd (nie tylko na tej podstawie) umorzył np. sprawę adwokata ze Szczecina podejrzanego o przewały. Sam oskarżony żąda od prokurator, która go oskarżała, dwóch baniek. ©



Maciej Korkuć

„To dowód mojego szacunku do mniejszościowej grupy górali, którzy od wieków żyją na południu w Tatrach” – deklaruje Marcin Koszałka, reżyser i współautor scenariusza filmu „Biała odwaga”. Czy tak jest naprawdę?

Najpierw garść faktów. Górale byli i czuli się Polakami. To Niemcy w podbitym kraju rozpoczęli działania mające „udowodnić” ich rzekomą rasową i narodową odrębność od Polaków. Aby osiągnąć ten cel, zaczęli mieszkańców Skalnego Podhala opisywać jako potomków germańskich Gotów, a nie Słowian. W XX w. rzekomo mieli oni stanowić odrębny, spokrewniony z Niemcami „naród góralski” – Goralenvolk. To w optyce Berlina miało być w dalszej perspektywie krokiem w kierunku pełnej germanizacji.

Pozyskali do współpracy kilku ludzi, cieszących się wcześniej na Podhalu autorytetem. Najważniejszym z nich był nie jakiś pogubiony w życiu młokos, tylko doświadczony polityk, w czasie wojny zbliżający się do pięćdziesiątki Wacław Krzeptowski – długoletni prezes Stronnictwa Ludowego w powiecie nowotarskim, cieszący się mirem jeden z przywódców lokalnych protestów chłopskich lat 30., a zarazem człowiek, który spotykał się z najważniejszymi politykami II RP. Od jego nazwiska wzięła się góralska nazwa całej tej niemieckiej akcji: „Krzeptowszczyzna”. To na Podhalu od czasów wojny do dzisiaj powszechnie znany synonim zdrady narodowej, słowo wypowiedane z odrazą. Żadne „narodowe tabu”, żaden tam „przemilczany temat kolaboracji” – jak napisał jeden z portali reklamujących film, odsłaniając bardziej ignorancję autora tekstu niż jakąkolwiek znowę milczenia.

Nagłośniona w latach wojny akcja grupy działaczy była i jest wśród górali najpowszechniejszym uosobieniem zaprzaństwa i zdrady. Jednym z promotorów rzekomego góralsko-niemieckiego pokrewieństwa był renegat Henryk Szatkowski,



który bynajmniej sam góralem nie był. Jedynie mieszkał w Zakopanem i ożenił się z góralką. Był pracownik Ministerstwa Komunikacji, dyrektor zarządu kolejki na Gubałówkę. W czasie okupacji zaczął podpisywać teksty nazwiskiem Heinrich Schatkowsky i blisko współpracował z przedwojennym jeszcze agentem wywiadu niemieckiego Witalisem Wiederem.

Niemcy mogli liczyć na w sumie niewielkie grono aktywnych działaczy, chociaż słyszeli obietnice, że na ich stronę Krzeptowski przeciągnie całą góralszczyznę. I to poczucie polskości górali stało się największą przeszkodą w powodzeniu tej akcji. W czasie spisów ludności często kreatywnie wypełniano rubrykę z „góralską narodowością”. Kiedy mieszkańcy

deklarowali się jako „polski góról” czy „górol-Polok”, odpowiednio poinstruowani rachmistrze spisowi często celowo pomijali człon „polski” w deklaracjach narodowości. Jednak nawet tak naciągane rejestry były dalekie od oczekiwań.

Krzeptowski widział, że to nie idzie dobrze, ale w okresie niemieckich zwycięstw na wschodzie nie przejmował się przestrogami typu „Wacuş, bedzies wisioł”. Ogłosił powstanie Komitetu Góralskiego (Goralisches Komitee), który miał być autonomiczną władzą góralską w zakresie oświaty, kultury, a także pomocy społecznej. Wojciech Kuraś z Waksmundu pisał, że Krzeptowski „mając swoich kumpli, po wsiach zaczął ich bałamucić, a nawet przekupywać, dając bliższym [współpra-

Głównym motywem kampanii promocyjnej uczyniono kompletnie wyszany z palca, quasi-operetkowy mundur „góralskiego” SS. Nigdy nieistniejący, ale zapadający w pamięć

FOT. ADAM GOLEC

po niemiecku

cownikom] skonfiskowane Żydom zakłady przetwórcze, którzy za tę łaskę musieli wiernie służyć”.

Latem 1942 r., czyli w czasie, kiedy się wydawało, że Niemcy już na wieki będą władcami Europy, przeprowadzono akcję wydawania „góralskich” kenkart. Odbierającym je obiecywano bezpieczeństwo i przywileje pod władzą okupanta. Tych, którzy przyjmą „polskie” kenkarty, straszono wysiedleniami, pozbawieniem kartek żywnościowych i wywózką do obozów koncentracyjnych. I w atmosferze terroru „góralskie” kenkarty przyjęło w sumie zaledwie 16–18 proc. mieszkańców Podhala. A ponad 80 proc. zdobyło się na demonstrowanie polskości, poprzez opowiedzenie się za „gorszymi” dowodami tożsamości

z deklaracją narodowości polskiej. Strach przed Niemcami zrobił swoje, ale nawet wśród tych, którzy takie dowody tożsamości przyjęli, wielu się Krzeptowskiemu brzydziło. I bynajmniej nie wszyscy z nich popierali tezę „Wacka”, że Niemcy ich wyzwolili spod „polskiej okupacji”. A samo wzięcie dowodu z literą „G” to bardziej kategoria oportunistów niż współpraca z Niemcami. Akcja już wtedy była fiaskiem.

Krzeptowski skończył powieszony przez żołnierzy AK na początku 1945 r. I naprawdę niespecjalnie miał kto po nim płakać.

FABUŁA PRZECIW HISTORII

„Biała odwaga” to naprawdę solidnie nakręcony film. Monumentalne ujęcia

gór i scen wspinaczkowych (ich autorem jest również Koszałka), budzące podziw zdjęcia z wdrapywania się na szczyt wieży kościoła św. Józefa w Krakowie. Bardzo dobra gra aktorska Filipa Pławiaka (który – mimo braku doświadczenia – ponoć samodzielnie realizował wspinaczkowe sceny) w roli Jędrka Zawrata i Juliana Świeżewskiego w roli starszego brata. Jakub Gierszał – nie po raz pierwszy doskonale obsadzony w roli rodowitego Niemca. Wartka akcja, dobrze skomponowany scenariusz. Żadnych dłużyzn. Wiele scen wzbudzających autentyczne napięcie: i tych wspinaczkowych, i tych wynikających ze zwrotów akcji. Aż dziwne, że autorzy, mając pomysł na ciekawą i niebanalną historię miłości pokiereszowanej przez rodowe układy i wielką historię, postanowili po swojemu wejść w buty historyka.

W ocenie tego filmu należy bowiem odróżnić trzy przestrzenie narracyjne. Pierwsza to mniej lub bardziej fikcyjna opowieść o losach głównych bohaterów. Druga to sposób osadzenia tych bohaterów w dziejowych realiach. Obie są podstawą każdego filmu historycznego. I mamy trzecią przestrzeń. Można ją sprowadzić do odpowiedzi na pytanie: Jak autorzy pokazują widzowi historię tego regionu i tej społeczności? To z reguły zasadniczy element filmów dokumentalnych. W filmie fabularnym jest możliwość pokazania wydarzeń historycznych w dalekim tle, nie wyczerpując tematu do końca, korzystając z prawa do pokazania jedynie wycinka rzeczywistości. Autorzy mogli się więc ograniczyć do tych dwóch pierwszych przestrzeni, pokazując w dalszym planie tylko ważniejsze odniesienia do wielkiej historii. Jednak – to trzeba niestety podkreślić – mieli ambicję, żeby na tym polu pohlalać. Nie oparli się więc pokusie przerabiania faktów historycznych w ramach równoważnego ciągu narracyjnego. Ulepili sobie tę historię na obraz i podobieństwo własnej wyobraźni. Zupełnie niepotrzebnie.

Głównym motywem kampanii promocyjnej uczynili kompletnie wyszany z palca, quasi-operetkowy mundur „góralskiego” SS. Nigdy nieistniejący, ale zapadający w pamięć. I na tysiącach plakatów oglądamy dzisiaj głównego bohatera w mundurze z baśni tysiąca

■ i jednej nocy. Bo przecież nie z historii. A na innych – zgrabne pomieszenie tegoż munduru i niemieckich oznak z czasów Hitlera z góralskimi, ludowymi portkami. Doprawdy trudno to w dzisiejszych czasach uznać za „dowód szacunku”, o którym mówił Koszałka.

CYRKOWIEC PRZYWÓDCĄ

W tej pierwszej przestrzeni narracyjnej mamy więc bardzo zgrabnie zagraną historię dwóch braci z rodziny Zawratów. Młodszy z nich jest zakochany w dziewczynie z sąsiedzkiego rodu. Drugi mu kibicuje. Ojcowie dogadują się w sprawie małżeństwa, kierując się przede wszystkim sprawami majątkowymi. Tyle że córkę... ma pojąć starszy brat. „Bo taka jest u nas tradycja”. Trochę to naciągany punkt wyjścia, ale dla dramaturgii opowieści – lepiej. Nieco razi, że wykreowani na głowy wiodących góralskich rodów ojcowie to wiecznie nieogoleni krzykacze. Niech tam! To fabuła. Odrzucony młodszy syn idzie własną drogą. Umiejętności wspinaczki po górach przekłada na wspinanie się po budynkach w Krakowie w aurze quasi-cyrkowych występów. W tym czasie jego była dziewczyna rodzi mu dziecko, już jako żona starszego brata.

Ta historia mogłaby się toczyć dalej w aurze zmian, które przyniosły wojna i niemiecka okupacja. Znamy z dziejów Podhala przypadki, kiedy w tej samej rodzinie jeden brat był w niepodległościowej partyzantce, a drugi postawił wszystko na kartę służby Niemcom. Takie incydenty się zdarzały. Dramat głównych bohaterów mógłby być świetną opowieścią o ludzkich losach z prawdziwą wielką historią w tle.

Jednak – i tutaj mamy drugą przestrzeń opowieści – autorzy postanowili z młodszego brata cyrkowca zrobić odmłodzonego quasi-Krzepetowskiego, filar całej operacji Goralenvolku. Film na pewno nie straciłby nic ze swego wigoru, gdyby autorzy swych wymyślonych bohaterów nie obsadzali dziwnie w rolach ludzi znanych z prawdziwej historii. Fikcję z faktami mieszają absurdalnie. To Jędrrek Zawrat ni stąd, ni z owąd jest na Wawelu partnerem najważniejszych niemieckich dygnitarzy. To on staje się przywódcą górali, którzy odcinają się od Polaków jako „odrębny naród”. Wiesz ma wierzyć, że Niemcom wystarczył ktokolwiek, a górale



Najbardziej zadziwia to, co jest bazą, na której zbudowano tę opowieść. Autorzy naprawdę zdają się wierzyć, że górale nie byli Polakami i nie czuli się Polakami. FOT. ADAM GOLEC

– przynajmniej ich część – poszli za dwudziestokilkuletnim pogubionym w życiu cyrkowcem. Mało realistyczne? No trudno.

W międzyczasie jego brat zostaje kurierem przeprowadzającym przez Tatry oficerów Wojska Polskiego (to nawiązanie do zupełnie innego przedstawiciela rodu Krzepetowskich – kuriera tatrzańskiego Józefa Krzepetowskiego). A rodzice dziewczyny ustawiają się w roli kolaborantów, którzy gotowi są donosić na sąsiadów i zwracać się do Niemców z prośbami o pożydowskie benefity.

Obraz zbiorowości oraz historii regionu i zamieszkującej go ludności, który wyłania się z tego, co przekazują autorzy, to najślabsza strona tego filmu. Jednak dla widzów w większości nieznających historii Podhala będzie to zupełnie niezauważalne, choć bałamutne.

GÓRALSZCZYZNA À LA GOEBBELS

Najbardziej zadziwia to, co jest bazą, na której zbudowano tę opowieść. Autorzy naprawdę zdają się wierzyć, że górale nie byli Polakami i nie czuli się Polakami. Tymczasem każdy, kto w sposób elementarny zna historię Podhala, doskonale wie, że przed wojną (również przed pierwszą) nie było żadnego góralskiego separatyzmu, który miałby podkreślać odrębność od polskości. Wręcz przeciwnie: jeszcze w czasach austriackich górale tłumnie (nie w kilkusobowych delegacjach, jak w przypadku wizyty

Krzepetowskiego u Hansa Franka na Wawelu, ale tłumnie!) uczestniczyli w wielkich manifestacjach polskości. Takich jak np. podczas odsłonięcia pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie w 1910 r. czy w organizowanych przez nich obchodach rocznicy antyaustriackiego góralskiego powstania chochołowskiego. To były olbrzymie manifestacje polskości góralszczyzny, realizowane w czasach władzy zaborców. Trudno o zarzut jakichkolwiek nacisków polskiej władzy.

A w „Białej odwadze” konsekwentnie mamy kreowany obraz, w którym górale mówią o Polakach jako o obcych. Dla nich obcy jak inni zaborcy i najeźdźcy. Górale starzy i młodzi sami siebie przeciwstawiają Polakom, którzy rzekomo ich gnębili. I wiedzą, że są „odrębnym narodem”. Współgra to ze zwierzeniami Koszałki. „Górale byli dla mnie jak odrębne plemię, jak polscy Tybetańczycy czy Nepalczycy” – mówił w jednym z wywiadów. Jego zdaniem to Polacy „uzurpowali sobie do nich prawa”. Porównuje te relacje do Amerykanów, którzy „manipulowali Indianami, wykorzystując ich do swoich celów”. Trudno nie zauważyć, że w ten sposób autor jawi się nieco w roli zagubionego w czasie epigona narodowo-socjalistycznej propagandowej hucpy.

Film wskazuje, że jego twórcy zdają się nie widzieć, iż Niemcy ów „separatyzm” musieli stworzyć od zera. Totalitarne państwo nie potrzebuje faktów,



żeby wykreować użyteczne dla niego teorie. Rzeczywistość dla propagandy jest jak plastelina: wszystko można ulepić. Niemcy uznali, że warto wykreować takie „coś” na potrzeby bieżącej polityki. I naprawdę smutne, że to, co było cyniczną operacją propagandzystów Rzeszy, staje się dzisiaj wyznaniem wiary filmowców.

A przecież właśnie sztuczność całej akcji była przyczyną fiaska całej „Krzep-towszczyzny”. Była to kombinacja wpisana w okupacyjne „dziel i rządź”. Volksdeutsche z całego GG są przykładem uznaniowości, z którą Niemcy kwalifikowali ludzi do rasowego „nowego lepszego świata”. Była decyzja polityczna – trzeba było wyprodukować „naukowy” background. Znamy ten problem ze stalinowskiego podwórka lat 50. Zakładano specjalne dobrze opłacane instytucje, które miały udowodnić tezę z góry przyjętą przez władze. Prowadzono badania antropologiczne, mierzono czaszki. Tymczasem rzeczywista nauka, otwierając się na różne teorie, zawsze szuka prawdy. Badania nad dziejami zmieniających się miejsc osiedlenia różnych ludów w Europie z czasów przełomu antyku i średniowiecza to jedno. Przedwojenne, pełne zastrzeżeń domniemania na temat wędrówek ludów sprzed półtora tysiąca lat nie zmierzały przecież do absurdalnych wniosków, że Polacy górale nie są Polakami. Wszak większość z nas ma domieszki krwi różnych ludów zamieszkujących kontynent, a także tych

współtworzących potem Rzeczpospolitą. I to nie czyni z nas „obcych wobec Polaków”. Ilu z takich – pokazywanych w filmie – niemieckich „naukowców” naprawdę wierzyło w to, co głosiły władze Rzeszy? A ilu z nich oficjalnie pisało to, czego oczekiwały władze, widząc, że rzeczywistość jest zupełnie inna? Antropolog Imma von Günther-Swart dostrzegała, że „górale [...] uważają się za Polaków”. Urzędnik niemiecki skierowany na Podhale, Hermann Mentz, w wewnętrznych opiniach dla zwierzchników stwierdzał, że „sami górale także twierdzą ponad wszelką wątpliwość, że są Polakami, że czują i myślą po polsku”.

PRZECIW ARCYHITLEROM

W filmie nie znaleziono miejsca na prawdziwie góralski opór przeciw Niemcom – czyli na Konfederację Tatrzańską. Ta aż się prosi, żeby ją pokazać jako przeciwwagę dla propagandowej akcji Goralenvolku. Jej twórca, Augustyn Suski z Szaflar, podkreślał, że „honor nakazuje, by Goralenvolk został zdławiony przez samych Podhalań”. Dlatego wielki nacisk położono na wierność legalnym władzom RP na uchodźstwie. Prowadzono działalność dywersyjną i sabotażową, drukowano gazety konspiracyjne, w sołectwach i urzędach gmin niszczone spisy ludności i dobytku. Paraliżowano ściąganie obowiązkowych świadczeń rzeczowych. Suski pisał wprost, że „Podhale i górale to Polska i Polacy, jest to fakt, którego nie zmieni jakiś tam Wacek czy arcyhitler”. Mimo groźby śmierci Konfederacja szybko się rozrastała. Zaledwie w ciągu kilku miesięcy zorganizowano placówki aż w 39 miejscowościach. I to, że została krwawo spacyfikowana przez Niemców, nie zmienia jej znaczenia dla dziejów Podhala. Tego w filmie – aspirującym do odkrywania przemilczanej historii regionu – nie ma.

Wspomniany jeden kurier tatrzański to trochę za mało na zrównoważenie całego Goralenvolku. No i jest jedna scena z – oczywiście stereotypowo nieogolonymi – partyzantami w polskich mundurach. Ciekawa, dość dynamicznie nagrana, ale niekoniecznie w tych partyzantach ktokolwiek mógłby się dopatrzyć górali. A przecież rdzenni

mieszkańcy Podhala współtworzyli państwo podziemne: zasilali i struktury Armii Krajowej, i podziemny ruch ludowy, i oddziały partyzanckie. Wykonywali wyroki śmierci na zdrajcach. Prowadzili tajne nauczanie, tworzyli ogromne zaplecze dla wyżywienia i utrzymania niepodległościowej konspiracji.

W filmie – trzeba to przyznać autorom – padają słowa jednego z Niemców, że w Goralenvolku mieli być wszyscy, a jest tylko garstka. I że cała ta akcja to fiasco. Ale to tylko słowa. Istotne, ale tylko przelatujące przez pojedynczy dialog. A ludzie zapamiętają obraz. Ten epatuje kolejnymi rozbudowanymi scenami, które utrwalają obraz górali uwikłanych w związki z niemieckim okupantem. I oglądają wyssaną z palca historię owego Jędrka niby-Krzepetowskiego, który, inaczej niż sam Krzeptowski, idzie na czele góralskich ochotników służyć w SS. To tutaj pojawia się plakatowy mundur, wymyślony przez twórców filmu. Tutaj jest scena, w której do transportu pakują upitych wcześniej rekrutów. Nie dowiemy się, że z grupy ok. 300 młodych ludzi, postawionych przed komisją poborową, na szkolenia skierowano połowę, z której na skutek różnych okoliczności, w tym ucieczek i dezercji, do jednostek SS trafiło finalnie 12 ludzi. Za to w filmie mamy rozbudowane sceny z Jędrkiem Zawratem i góralami w mundurach SS, którzy w jakichś tam wymyślonych działaniach uczestniczą, zostają przysłani w góry, a mając strzelać do cywilów, aby udowodnić wierność wobec Rzeszy, się buntują. Jędrak zabija niemieckiego oficera i idą zbiorowo w góry. Filmowe. Ale nieprawdziwe.

Gdyby autorzy nie mieli pokusy opowiedzenia historii całej góralszczyzny – film by zyskał. Ale mieli ambicję, aby po swojemu pokazać wielką historię regionu. Ci, którzy o dziejach Podhala nie mają bladości pojęcia, uwierzą, że to film oparty na faktach i przełamujący wymyśloną na potrzeby promocji „zmowę milczenia”.

„Białą odwagę” naprawdę dobrze się ogląda. Tym bardziej szkoda, że ta barwna filmowa opowieść w tak wielu miejscach gubi łączność z szacunkiem dla faktów.



REŻ. MARCIN KOSZAŁKA
„BIAŁA ODWAGA”
POLSKA 2024

© Wszelkie prawa zastrzeżone



W wypadku pierwszych 20 minut filmu zagraniczny widz, nieznający specyfiki Podhala, miałby duży problem z odgadnięciem, w którym to kraju mieszkają ekranowi górale

FOT. ADAM GOLEC



Piotr Semka

Autorzy „Białej odwagi”, jak się zdaje, koncertowo wywiedli w pole szefostwo resortu kultury, przedstawiając swój film w takim świetle, by nie stracić wsparcia mecenatu państwowego

Jeżeliby „Białą odwagę” Marcina Koszałki sprowadzić jedynie do artystycznych zdjęć tatrzańskich turni, to byłby to niewątpliwie jeden z ładniej zrealizowanych filmów ostatnich lat. Widać, że reżyser jest pasjonatem wspinaczki wysokogórskiej i kocha nasze tatrzańskie szczyty. Autor zafascynowany jest góralami i ich wyrazistą specyfiką. Problem w tym, że wskutek tych fascynacji Marcin Koszałka postanowił zająć się tematem epizodu Goralenvolku z lat drugiej wojny światowej i przy okazji rozprawić się z symbolem góralszczyzny jako archetypem narodowej tożsamości.

W rezultacie powstał film, który ma dwa plany. Pierwszy to czysto autorska wizja zjawiska kolaboracji części górali z hitlerowcami potraktowana w sposób w dużej mierze dowolny i wymyślony w stosunku do rzeczywistych faktów. A gdy już Koszałka wykreował swoją wymyśloną wizję współpracy części górali z Niemcami na Podhalu, pojawił się drugi plan – relatywizacja kolaboracji. Twórca filmu umodelował losy bohatera, którego można utożsamiać z Wacławem Krzeptowskim, liderem Goralenvolku, w taki sposób, by jawił się on jako bohater szekspirowskiej tragedii. Postać, która w większym stopniu wzbudza współczucie niż niechęć.

A przecież wystarczyłoby z pewną dozą pokory wobec faktów po prostu zrekonstruować autentyczne losy Wacława Krzeptowskiego, który przed wojną był jednym z politycznych liderów górali jako działacz Stronnictwa Ludowego, potem poszedł na kolaborację z nazistami i wreszcie zginął powieszony przez partyzantów AK na ulicznym słupie w Zakopanem.

Góralu, zmanipulujemy wiele – by ci nie było żal

Ale prawdziwe dzieje Krzeptowskiego wydały się Koszałce za mało atrakcyjne. Jak można się domyślić, uznał, że ta dość banalna kariera zdrady nie jest na miarę tatrzańskiej góralskiej legendy. Dlatego zaczął manipulować historią, a skala i efekt tych przeinaczeń muszą budzić sprzeciw. Bo nie można przesadzać w manipulowaniu autentycznymi wydarzeniami. A gdy jeszcze dodatkowo chodzi o zjawisko, które jest bolesną zadrą dla wielu mieszkańców Podhala, to irytacja siłą rzeczy musi być odpowiednio większa.

Jak wielu artystów Marcin Koszałka ma na to jedną odpowiedź: „Jako reżyser mam prawo do trawestowania przeszłości”. Tyle że zrealizował swoje kontrowersyjne wizje w niemałej mierze za państwowe pieniądze z Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Ta ostatnia okoliczność musi bulwersować w kontekście wcześniejszych zapowiedzi ministra Piotra Glińskiego o zamiarach przeniesienia na ekran doświadczenia walki o polską wolność. Film Koszałki to przykład tego, jak PISF realizował za rządów PiS produkcje, które muszą budzić poważne zastrzeżenia. O czym jednak mówić, skoro Radosław Śmigulski (mianowany na szefa PISF w 2017 r., gdy ministrem kultury był Piotr Gliński), już po przegranej PiS wręcz szczyli się tym, że „Biała odwaga” powstała za jego rządów.

„Warto tu wspomnieć także o filmach historycznych, wzbudzających ogromny protest prawicy, jak choćby »Biała odwaga« – publicznie wystąpiłem w obronie wizji reżysera i twórców, narażając się na ataki ze strony choćby ówczesnego ministra Zbigniewa Ziobry” – chwali się Śmigulski.

Spróbujmy podzielić techniki manipulowania historią, które zostały użyte w filmie „Biała odwaga”.

1. W TATRACH, CZYLI NIGDZIE W wypadku pierwszych 20 minut filmu zagraniczny widz, nieznający specyfiki Podhala, miałby duży problem z odgadnięciem, w którym to kraju mieszkają ekranowi górale. Nie ma żadnego choćby wprowadzenia pokazującego, jaki był stosunek górali do polskość. Tak jakby to był jakiś temat tabu. A przecież można byłoby pokazać, że te relacje były bardzo różne. Od autentycznego zaangażowania górali w polskie organizacje polityczne czy udział w walkach lat 1918–1920

Film Koszałki to przykład tego, jak PISF realizował za rządów PiS produkcje, które muszą budzić poważne zastrzeżenia

do przykładów, gdy sanacyjna władza potrafiła być dla górali uciążliwa. Ale nie. Tu nie ma nic. Obserwujemy tylko konflikt dwóch braci o jedną dziewczynę i dosyć naciągany przypadek jednego z nich – Jędrka – który staje się obiektem uwodzenia ze strony agenta Abwehry prowadzącego quasi-naukowe badania nad rzekomo germańskim pochodzeniem tatrzańskich górali.

Aby zbliżyć Jędrka do Niemca, filmowy młody góral doskonale zna niemiecki z racji tego, że rzekomo tatrzańskim przewodnikiem zdarzało się towarzyszyć w górach austriackim miłośnikom wspinaczki. Bardzo to naciągane, bo Zakopane przyciągało w 90 proc. polskich turystów. Austriacy mieli swoje, lepsze kurorty. Ale ten rzekomy niemiecki akcent w postaci doskonałej niemieczyny Jędrka ma być punktem wyjścia do jego przyszłej kolaboracji z Niemcami. Zresztą tutaj Koszałka w największym stopniu wydaje się być inspirowany innymi filmami o „ukąszeniu nazistowskim” od filmu „Mefisto” Istvana Szabo poprzez „Limuzynę Daimler-Benz” Filipa Bajona do niemieckiego filmu „Nordwand” Philippa Stölzla. Ten ostatni film, jak się zdaje, stanowi wzorzec dla Koszałki w rozmachu filmowania górskich krajobrazów.

2. WSZYSTKOIZM FILMU, CZYLI WRZUCIĆMY DO FILMOWEGO GARA, CO TYLKO SIĘ DA

Autorzy „Białej odwagi” nie mogli się powstrzymać, by do filmu o losach Zakopanego po nastaniu okupacji niemieckiej nie dorzucić wątków żydowskich. Pierwszy z nich jest zupełnie nieprawdopodobny. Oto Jędrka jako lider ruchu górali kolaborujących z III Rzeszą ukrywa na poddaszu jednego z pensjonatów swoją przedwojenną kochankę, żydowską malarzkę zafascynowaną silnie zbudowanym góralem. Zakopiańskie gestapo bardzo szybko wykryłoby, że ich sojusznik ma taki sekret. I bez skrupułów położyłoby temu kres.

Bardziej wiarygodny, choć też mimo wszystko problematyczny, jest motyw przejęcia przez Jędrusia schroniska Moriskie Oko z rąk żydowskiej rodziny, która ulega zapewnieniom górala, że w zamian za oddanie pensjonatu dostaną równie luksusowe mieszkanie w Krakowie. Autorzy filmu nie precyzują, czy filmowy Jędrus – wódz kolaborantów – ulega kłamliwym zapewnieniom Niemców czy też z premedytacją oszukuje żydowską rodzinę, aby przejąć atrakcyjny obiekt. W obu wypadkach wątek żydowski jest wsadzany na siłę i w mało przekonujący sposób.

3. KOCHACIE GÓRALI JAKO SYMBOL POLSKOŚCI? NO TO WAS PODENERWIJĘ

Na łąkach pod Giewontem zgromadzone góralskie dzieci śpiewają uroczystą pieśń: „Witajcie gubernatorze na tej góralskiej hali, hej! Byście gazdowali, górali wspierali”. To dziewczynki i chłopcy z Zakopanego witają postać, w której rozpoznać można Hansa Franka, który przybył z Krakowa zobaczyć pobratymczy, nordycki ród. Rozpromieniona żona Franka entuzjazmuje się: „Przepiękne to wszystko, takie malownicze”. Nie trzeba dużej wyobraźni, by dośpiewać sobie, że autorzy filmu w kąśliwy sposób nawiązali do sceny z jednej z wizyt Jana Pawła II w Zakopanem, kiedy połączone orkiestry góralskich dziewczynek i chłopców wyśpiewały papieżowi Polakowi wdzięczną pieśń podziękowania za wszystko, co zrobił dla Polski.

W innej scenie górale – weterani pierwszej wojny światowej – prezentują się gubernatorowi z Krakowa w mundurach cesarsko-królewskiej armii. Towarzyszący gubernatorowi Jędrka wyjaśnia, że górale austrowęgierskie mundury „po chałupach schowane mieli”. Skąd ta sugestia, że ktokolwiek w niepodległej przedwojennej Polsce prześladował za posiadanie mundurów armii Franciszka Józefa lub szykanował za dumę z wojskowych austriackich odznaczeń za walki w pierwszej wojnie światowej?

Totalnym zakłamaniem jest wykreowanie opowieści o tatrzańskim legionie SS. Supermystyfikacją jest oczywiście wymyślenie fantastycznego munduru Goralenfolkführera, który notabene jest też głównym motywem plakatu filmu

„Biała odwaga”. Reżyser w wywiadzie dla „Polityki” dosyć prostolinijnie przyznaje, że to jest całkowite zmyślenie i kreacja, ale z miną niewiniątka głosi, że to jak najbardziej akceptowalny wybór reżysera. Podobnie nie widzi nic nagannego w wykreowaniu opowieści o oddziale góralskiego SS, który ma zwalczać ruch oporu na Podhalu, choć z przewrotnym akcentem – gdy esesman, nadzorca Jędrka, zmusza go, aby rozstrzelał góralską rodzinę, ten zabija esesmana i swoim żołnierzom radzi, aby rozeszli się do domów. I znów reżyser zapewne uzna, że ma pełne prawo do takiej reżyserskiej mistyfikacji. Tyle że iluś ludzi za granicą, którzy obejrzą ten film, będzie potem twierdzić, że polskie roszczenia do niewinności są śmiechu warte, bo sami widzieli polskich esesmanów w filmie polskiego reżysera.

4. NAJPIERW NADYMAMY KOLABORACJĘ DO SPOREJ SKALI, A POTEM ZACZYNAJMY JĄ USPRAWIEDLIWIĆ W filmie w piwnicy jednej z chałup zbiera się starszyzna góralska. Leciwy dziadek Jędrka, z długą siwą brodą, przekonuje: „Jak było za Franza Józefa? Dogadaliśmy się z nimi? Dogadali. Co za różnica – Niemiec czy Austriak? Wszystko jedno. Trzeba się ułożyć, spokój mieć i wypchane kieszenie”. W tej pierwszej scenie prezentując poglądy zwolenników kolaboracji, reżyser Koszałka dopuszcza jeszcze głosy oburzenia na przენiewierstwo. Oponent zwolennika kolaboracji argumentuje: „Ale to są najeźdźcy, okupanci. Do zdrady namawiasz?”. Jednak znacznie poważniej od dość naiwnej obrony polskości brzmi wypowiedź Jędrka – lidera kolaborantów. Mówi on: „Tu nie ma żartów. Oni są gorsi od Austriaków. Posłuchajcie go”. I ta wypowiedź ma oddziaływać na widza znacznie mocniej niż spieranie się o to, czy współpraca z Niemcami to zdrada czy nie.

Argumenty sugerujące, że trzeba kolaborować albo na górali mogą spaść represje, formułowane są tak, aby widz traktował je serio i ze zrozumieniem. Brak zaś w filmie jakichkolwiek dłuższych scen pokazujących górali, którzy traktują przywiązanie do polskości serio. Owszem, Maciek, filmowy brat Jędrka, przeprowadza przez górskie przełęcz polskiego oficera, ale nie dowiadujemy się, czy robi to dla zysku, z posłuszeństwa dla rozkazów podziemia czy po prostu z polskiego patriotyzmu. A gdy do chaty matki Jędr-

kowego syna wkraczają polscy partyzanci pod wodzą dowódcy „Pioruna” (wyrażna aluzja do Józefa Kurasia „Ognia”) – ci zaprezentowani są jako żołdacy nienawidzący górali. Żona kolaboranta zostaje zgłodzona przy wtórce wyzwicka „za zdradę Polski, ty góralska kur.o”. W tej scenie reżyser bardzo wyraźnie każe widzowi poczuć współczucie do strasznego losu mieszkańców Tatr, którzy znaleźli się w kleszczach między nazistami opętanymi rasowymi ideami a szowinistami z polskiej partyzantki, którzy aż płoną nienawiścią i pogardą do górali.

Skoro wykreowało się filmową wersję kolaboranta Wacława Krzeptowskiego w postaci Jędrka jako postać naznaczoną heroizmem zła i szekspirowskimi dylematami, to nie można pozwolić filmowemu bohaterowi zginąć byle jak. A już na pewno nie na stryczku na Krupówkach, jak to było udziałem autentycznego Krzeptowskiego. Reżyser każe Jędrkowi podjąć próbę ucieczki za Tatry, w której trakcie bohater filmu w podniosły sposób ginie w przepięknej scenerii majestatu gór. Mistyczna śmierć bohatera, który chciał wyrwać bogom prawo do decydowania o swych losach. A film kończy przypomnienie o tym, jak to każda władza próbowała wykorzystywać górali do swoich celów propagandowych. Sowietki pułkownik NKWD przypomina góralom, że rzekomo masowo podpisywali folkslisty, więc teraz niech się nie boczą, tylko szybko popierają nową władzę ludową. Brat Jędrka zostaje mężem zaufania Sowietów i otrzymuje zarząd górskich sanatoriów.

Wniosek – polskich panów, nazistów, polskich partyzantów i Sowietów niewiele różniło. Każdy chciał grać góralami po swojemu. Jedni byli warcy drugich.

JEDNO PRZEINACZENIE POCIĄGA KOLEJNE

Powtórzę raz jeszcze. Niestety film „Biała odwaga” jest to, że jego autor jest pochodzącym z Krakowa miłośnikiem kultu Tatr i górali. Ktoś urodzony pod Giewontem być może rozłożyłby akcenty mądrzej. Koszałka widząc w mieszkańcach rejonu Zakopanego grupę wyjątkową, nie mógł ograniczyć się do prostej opowieści o wodzu kolaboracji i niewielkiej grupie górali, którzy poszli za jego syrenim śpiewem. Musiał wynieść dylemat, czy kolaborować czy

Twórcy filmu na temat relacji z Ministerstwem Kultury mogą teraz mówić dowolne rzeczy. Wiadomo, że zaprzeczenia poprzedniej władzy mało kogo będą interesować

nie, do poziomu antycznej tragedii. A skoro wybrało się już tę formułę, to bohater – filmowa postać nawiązująca do Wacława Krzeptowskiego – musiał zostać wykreowany na dramatycznego herosa rozdwojonego między dobrem a złem. A przy okazji twórcy filmu zaprezentowali znajomą z innych tego typu produkcji solidną porcję ojkofohii.

Jak podejrzewam, film podzieli społeczność spod Giewontu. Ci, którzy będą pozować na oświeconych, wychwalać będą Marcina Koszałkę za zmierzenie się z narodowym tabu i zachwycać się będą odwagą w zerwaniu z wizerunkiem bezgrzesznej polskości. A ci, którzy widzą w filmie piramidalną manipulację historyczną, będą tylko mogli po cichu wyrażać swą irytację zasypywani mentorskimi wyzwaniem i do tego, by potrafili „stanąć w prawdzie”.

Marcin Koszałka dodatkowo pomaga sobie w lansowaniu filmu swoistą martyrologią. „Gdyby nie zmiana władzy i klęska prawicy w ostatnich wyborach, data premiery filmu pewnie stałaby pod znakiem zapytania” – mówi reżyser w wywiadzie dla tygodnika „Polityka”. Mam wrażenie, że to dorabiana ex post dramatyczna legenda wokół obrazu. Autorzy filmu, jak się zdaje, koncertowo wywiedli w pole szefostwo resortu kultury, przedstawiając swój film w takim świetle, by nie stracić wsparcia mecenatu państwowego. Teraz mogą mówić na temat swoich relacji z Ministerstwem Kultury dowolne rzeczy, bo i tak wiadomo, że zaprzeczenia poprzedniej władzy mało kogo będą interesować. Na walce z polskimi mitami i przypominaniu o niechlubnych kartach można w polskim filmie nadal dziś robić niezłą karierę. I Marcin Koszałka korzysta z tych możliwości z ogromnym wyczuciem i zadowoleniem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO

Radość dawania i otrzymywania

Młodość jest czasem, „w którym człowiek odczuwa największą potrzebę akceptacji i wsparcia – pisał św. Jan Paweł II w orędziu na II Światowe Dni Młodzieży – kiedy najbardziej pragnie być wysłuchany i kochany”. Szczególnie potrzeba tego młodym ludziom z małych miejscowości, którzy choć odkrywają swój wielki potencjał darów i talentów, to często nie potrafią uwierzyć, że mogą zrealizować rodzące się w ich sercu nieśmiałe marzenia. Każdego roku blisko 2 tys. takich ludzi przychodzi z pomocą Fundacja „Dzieło Nowego Tysiąclecia”.

OTRZYMANA SZANSA

Stypendium, które otrzymują podopieczni Fundacji, pozwala opłacić pobyt w bursie, wynająć pokój w akademiku, zapłacić za bilet, by dojechać do dobrego liceum, zakupić pomoce naukowe, komputer, tablet, mikroskop czy teleskop, sprzęt sportowy, a także opłacić kurs językowy lub lekcje śpiewu.

Stypendyści oprócz wsparcia finansowego otrzymują wychowanie w duchu św. Jana Pawła II. Uczestnicząc w rekolekcjach i obozach wakacyjnych, poznają

życie i nauczanie św. Jana Pawła II. W jego świetle szukają odpowiedzi na nurtujące ich pytania, kształtują hierarchię wartości, a także oceniają zmiany i procesy dokonujące się w świecie. „Starajcie się doskonalić nieustannie swoje umiejętności zawodowe – pisał do młodych św. Jan Paweł II – byście mogli wykonywać kompetentnie swoją pracę, ale zarazem nie zaniedbując pogłębiania wiary, która będzie dla was światłem we wszystkich decyzjach, jakie przyjdzie wam podjąć, w życiu osobistym i w pracy”. Łącząc formację duchową z pomocą w rozwoju intelektualnym, Fundacja realizuje ideał wychowania nakreślony przez św. Jana Pawła II.

Comiesięczna wypłata stypendium pomnaża w stypendystach wiarę we własne siły, a także poczucie obowiązku, że muszą spełnić pokładane w nich nadzieje. Dlatego nieodłącznym elementem programu stypendialnego jest udział stypendystów w wolontariacie. Podopieczni Fundacji m.in. udzielają darmowych korepetycji, włączają się w zbiórki żywności, ubrań i pieniędzy, odwiedzają szpitale, hospicja, przygotowują świąteczne paczki dla podopiecznych domów

dziecka, piszą kartki z życzeniami do osadzonych w zakładach karnych.

PODARUJ UŚMIECH

Wyjątkową wartością otrzymywanego przez podopiecznych Fundacji stypendium jest to, że pochodzi ono wyłącznie z indywidualnych ofiar ludzi dobrej woli. Stypendystom towarzyszy świadomość, że darczyńcy nie tylko przeznaczają pieniądze na rzecz ich rozwoju, lecz także wierzą, że dobrze wykorzystają oni otrzymane środki i kiedyś w przyszłości wezmą odpowiedzialność za losy naszej Ojczyzny i Kościoła.

Program stypendialny Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia” można również wesprzeć, przekazując 1,5 proc. swojego podatku dochodowego, podając nr **KRS Fundacji: 0000150776**. Wspierając w ten sposób program stypendialny, dajemy nie tylko możliwość wyrównania szans edukacyjnych dla młodzieży z małych miejscowości. Przede wszystkim sprawiamy, że na twarzach stypendystów pojawia się uśmiech będący znakiem zrealizowanych marzeń, aspiracji naukowych i zbudowanych relacji.

ks. dr Łukasz Nycz

Tak mało trzeba,
by podarować
UŚMIECH

FUNDACJA
DZIEŁO NOWEGO TYSIĄCLECIA

PRZEKAŻ NAM
1,5%
SWOJEGO PODATKU

KRS: 0000 **150 776**

ARTYKUŁ SPONSOROWANY



Rafał A. Ziemkiewicz

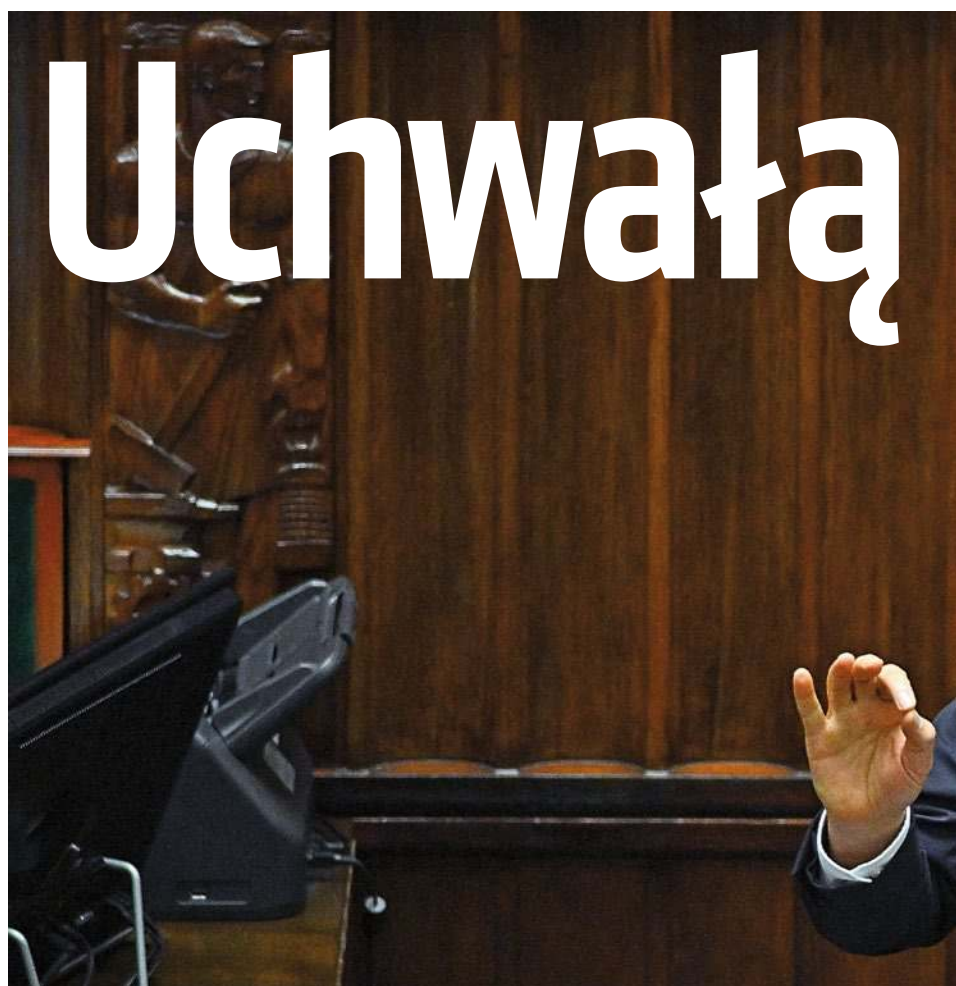
Pod powtórными rządami Tuska wszystko idzie znacznie szybciej. Granica, którą poprzednio decydował się przekroczyć po długim czasie, w drugiej kadencji padła już po kilku miesiącach. Nie można tego tłumaczyć naturalną dynamiką, zdarzenia nie wynikają same z siebie: to premier i lider dominującej formacji dąży do stałej eskalacji napięcia, ewidentnie naciskając na podwładnych i koalicjantów, by działali szybciej, bardziej brutalnie i prowokacyjnie

Takie działanie wydaje się sprzeczne z polityczną logiką, która nakazywałaby mu utrzymać do wyborów europejskich, a nawet przyszłorocznych prezydenckich, względny spokój, a radykalne działania podjąć dopiero po umocnieniu swej władzy.

Uchwała sejmowa, której sensem jest zanegowanie ustrojowej pozycji Trybunału Konstytucyjnego, i apel do urzędów oraz sądów, by ignorowały jego orzeczenia – zarówno bieżące, jak i wydane w ostatnich ośmiu latach – są oczywistym przekroczeniem Rubikonu prawnego chaosu i otwartym odrzuceniem konstytucyjnego porządku Rzeczypospolitej Polskiej. Można by długo wyliczać horrenda, z których się składa. Pierwszym i podstawowym jest samo wymyślenie przez rządzących podobnego ruchu.

CHAOS I ESKALACJA

Zgodnie z konstytucją źródłami prawa są w Polsce (w tej hierarchii): konstytucja, ustawy, ratyfikowane umowy międzynarodowe oraz rozporządzenia. Uchwały sejmowe, obojętnie, czy przyjęte większością zwykłą czy kwalifikowaną, nie rodzą żadnych skutków prawnych i nie mogą rodzić. Nie mogą tego zmienić ani żadne opinie „ekspertów”, ani żadne zachęty i wyrazy poparcia ze strony przywódców



obcych państw i organizacji międzynarodowych, do których Polska należy. Sejm, który poczuł się władny orzekać uchwałami o statusie Trybunału Konstytucyjnego i jego sędziów, równie dobrze może na następnym posiedzeniu uchwalić np. przejęcie przez zarządy partii koalicyjnych prywatnych oszczędności obywateli, złożonych na kontach bankowych.

Uchwalić można zatem już wszystko – pytanie, co da się wyegzekwować. Kiedy w analogiczny do Tuska sposób uchwałą Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, odwołującą się do „woli ludu”, zdelegalizował rosyjski parlament Lenin, uchwała ta stała się obowiązującym prawem, ponieważ Lenin miał do dyspozycji licznych uzbrojonych zbirów, którzy na polecenie Rady po prostu fizycznie konstytuante rozpędzili. Na razie nie wydaje się, aby Tusk stworzył sobie podobne możliwości. Zresztą ewentualne siłowe przejęcie siedziby Trybunału żadnych

skutków prawnych – czy to za pomocą policji albo wojska (trudno wyobrazić sobie, by któryś z wysoko postawionych funkcjonariuszy zaryzykował podpisanie stosownego rozkazu, więc wcześniej zapewne trzeba by i tam dokonać rewolucyjnych zmian), czy też, jak w wypadku państwowych mediów, prywatnej firmy ochroniarskiej, przy obojętności policji i zdemolowanej już wcześniej prokuratury – wciąż jeszcze samo w sobie niewiele by dało.

Jak wymusić posłuszeństwo na 9 tys. sędziów, z których zdecydowana większość, wbrew zapewnieniom przywódców „Iustitii” i innych partyjnych jacejek PO w tym środowisku, przyjmuje „przywracanie praworządności” przez obecne władze z rezerwą i biernym – a w wypadku niektórych sądów nawet otwartym – oporem? Wymagałoby to stworzenia sprawnego aparatu terroru i skutecznych represji.

i pałą



Tym natomiast, co niewątpliwie Tuski osiąga, są chaos i eskalacja napięcia. I wydaje się, że o nie właśnie chodzi – „cel jest niczym, ruch jest wszystkim”, by odwołać się do klasyka rewolucji. Partie lewicowo-liberalnej koalicji i ich celebrycko-medialne zaplecze w ciągu kilku lat przeszły na skrajnie odmienne pozycje od tych prezentowanych w początkach rządów PiS. Od paradowania w koszulkach z napisem „Konstytucja” i sklerotycznego traktowania litery zapisów prawa, „o których się nie dyskutuje”, do jej całkowitego odrzucenia w imię kierowania się „duchem prawa”, „domniemaniem” i „koniecznością uniknięcia prawniczego formalizmu”, a przede wszystkim – mającego rozgrzeszać wszystkie „oczekiwania wyborców”.

Od idolatrii prezesa Trybunału Konstytucyjnego i apelowania do sędziów, by orzekali wbrew obowiązującemu prawu – „bezpośrednio na podstawie konstytu-

cji” – do całkowitego ich dezawuowania – praktycznie li tylko na tej podstawie, że każdy, kto rozpoczął kadencję w ostatnich ośmiu latach, jest przedstawicielem „antydemokratycznego reżimu” i jako taki musi zostać usunięty – „legitymizowanego” pochwałami członków Komisji Europejskiej, z jej przewodniczącą na czele, oraz Parlamentu Europejskiego.

Z naprawdę niewielką przesadą można powiedzieć, że wszystko to samo, co insynuowane Kaczyńskiemu budziło furję oskarżeń i nienawiści, dokonywane przez Tuska i na korzyść „naszych” budzi dziś w tych samych środowiskach entuzjazm i uwielbienie. Wbrew legendzie stworzonej przez lewicowo-liberalne media Kaczyński nigdy nie dysponował tak doskonale wytresowanym, a zarazem tak wpływowym gronem wyznawców – w czasach największych sukcesów jego formacji badania pokazywały, że pod radykalnym przekazem PiS (np. w kwestii

„zamachu w Smoleńsku”) skłonna była się podpisać mniej niż połowa deklarujących poparcie tej partii w wyborach.

Tak zdyscyplinowany Kościółek celebrycko-medialnych „autorytetów” i wielkomiejskiej „biurowej klasy średniej”, nad którą sprawują one „rząd dusz”, to jednak grupa mniejszościowa. Mimo wszystkich błędów PiS i ogromnej kanonady medialnej na rzecz „jednej listy obozu demokratycznego” Tuski nie zdołał przebić szklanego sufitu 30 proc. poparcia. Rządzi dziś wyłącznie dzięki wynikowi wyborczemu Trzeciej Drogi, na rzecz której zmobilizowali się wyborcy w mo- wie spin doktorów, okreśłani mianem „lotnych piasków”. W dużej części ci sami, którzy jeszcze kilka miesięcy wcześniej deklarowali głosowanie na Konfederację – za kilka miesięcy gotowi popierać ją znowu albo stać się zapleczem jakiejś nowej siły politycznej.

W politycznym komentarzu spotyka się opinię, że decyzja Tuska, by zamiast spokojnie korzystać z zapowiadającej się jeszcze na wiele miesięcy politycznej koniunktury do stopniowego utrwalania i umacniania nowego układu u władzy, zarządzić nerwową i brutalną polityczną bandyterkę – nieprzygotowany merytorycznie atak na media państwowe, skutkujący raczej ich zniszczeniem niż przejęciem, awanturę z uwięzieniem na kilka tygodni Kamińskiego i Wąsika oraz usunięciem ich z Sejmu, a teraz brutalny atak policji i propagandy na rolników – jest skutkiem spełniania oczekiwań tej pierwszej grupy – żelaznego elektoratu domagającego się jak najbardziej brutalnych rozliczeń, zemsty, czystek i antypolskiego terroru. Nie wydaje się to trafne. Owszem, brutalne działanie owocuje w tej grupie wzmożonym zadowoleniem z poparcia dla Tuska jako przywódcy „sprawczego”, ale takie utwardzanie betonu w niczym sytuacji politycznej przywódcy nie zmienia – nawet mniej zadowolony popierałby on równie gorąco, w najgorszym razie racjonalizując sobie brak sprawczości swego idola zdradą ze strony koalicjantów. Potraktowanie niegdyś z góry Obywateli Kultury, które powtórzyło się niedawno w zlekceważeniu oczekiwań środowiska filmowców, ponad które przełożył rząd Tuska interesy wielkich internetowych koncernów, dowodzą, że lider PO doskonale wie, iż

FOT. ZBYSZEK KACZYŃSKI/FOTUR

■ tak bardzo oddanych sobie, że aż wręcz skazanych na niego środowisk kupować po raz kolejny nie ma potrzeby.

OBEZWŁADNIĆ KOALICJANTÓW

Głównym czynnikiem determinującym zachowanie premiera jest właśnie konieczność współdzielenia władzy z Trzecią Droga, której jeden z liderów nie ukrywa w dodatku ambicji prezydenckich, sprzecznym z planami PO i samego Tuska. Czy drogą uchwał da się skutecznie wprowadzić dyktaturę i czy aparat przemocy państwa jest pod wystarczającą do tego kontrolą – można, jak się rzekło, powątpiewać. Ale potęgowanie chaosu i wzmocnienie wzajemnej nienawiści pomiędzy swoim wielkomiejskim betonem a „pisowcami” skutecznie obezwładnia koalicjantów Tuska i poddaje ich jego władzy.

Czy jest przypadkiem, że horrendalna uchwała stwierdzająca „nieistnienie” Trybunału Konstytucyjnego oraz prezes Przyłębskiej, zapowiadana i dyskutowana od kilku miesięcy, praktycznie od pierwszych dni po wygranych dla anty-PiS wyborach, ostatecznie stała się ciałem właśnie teraz, po dwóch spektakularnych spięciach wewnątrz koalicji, w dniu wielkiego protestu rolników i związkowców? I czy przypadkiem doszło tego dnia ze strony policji do pokazu siły i, prawdopodobnie, celowej prowokacji mającej go umożliwić?

Oba wspomniane spięcia były wynikiem podjętej przez Trzecią Drogę próby wyemancypowania się spod coraz wyraźniejszego zarządu PO. Najpierw jej liderzy postawili premierowi warunek, że musi spełnić wspólną wyborczą obietnicę i przywrócić sposób naliczania składki zdrowotnej od drobnych przedsiębiorców (którymi formalnie są także, przypomnijmy, tzw. samozatrudnieni). Nie zagrozili wprowadzić niczym konkretnym w wypadku zignorowania ich żądań, ale stawiając je, odważyli się robić dość groźne miny. To nośny społecznie postulat, którego Tusk spełnić nie może, choćby chciał, bo już próba częściowego wywiązania się z obiecanych w kampanii podwyżek dla nauczycieli zachwiała budżetem, a z rabunku przedsiębiorców, wprowadzonego Polskim Ładem, czerpie on ok. 10 (a zdaniem niektórych nawet 20) mld zł.

Czynnikami determinującym zachowanie Tuska jest konieczność współdzielenia władzy z Trzecią Droga

Drugim emancypacyjnym posunięciem, tym razem już samego Hołowni, było ogłoszenie, że odsuwa w czasie procedowanie projektu pełnej legalizacji aborcji. Co prawda, towarzyszyła mu cicha, niezauważona przez większość wyborców obietnica dodania do prawa antyaborcyjnego „przesłanki zagrożenia zdrowia psychicznego matki”, co w praktyce oznaczałoby aborcję na każde żądanie (wystarczałyby deklaracja ciężarnej, że odmienny stan źle wpływa na jej samopoczucie). Ale w sporze o aborcję nie chodzi przecież o samą aborcję, tylko o zdobycie „skalpu” – jedyne, na jaki liczyć może całkowicie już pozbawiona swej tradycyjnej tożsamości lewica. Posunięcie Hołowni, z jego punktu widzenia zrozumiałe – jeśli chce poważnie myśleć o wyborach prezydenckich, to musi demonstrować, że bliżej mu do umiarkowania niż do skrajności – wywołało więc oburzenie Lewicy, które zresztą działa bardziej na korzyść PO niż jej samej, bo ostatecznie pokazuje lewicowemu elektoratowi, że nawet w tej sprawie, ostatniej, która pozostała w lewicowej agendzie, sprawcza jest nie Lewica, a partia Tuska.

Nikt, kto zna praktykę działania policji, nie ma wątpliwości, że do gwałtownych scen dochodzi wtedy, gdy chce tego ona sama, a nie wskutek spontanicznych zachowań demonstrujących. W chwili, gdy piszę te słowa, trudno ocenić, ile jest trafności w wypełniających Internet doniesieniach, jakoby prowokatorzy, którzy zaczęli wyrywać pod Sejmem bruk, zostali rozpoznani, z imienia i nazwiska, jako wprowadzeni w tłum funkcjonariusze; doświadczenie z Marszów Niepodległości i akcji „Wielec” w poprzednim okresie rządów Tuska także uważać takie domniemania za prawdopodobne. Nawet jednak bez celowej prowokacji atak policyjny, gazowanie i pałowanie spokojnie w większości manifestujących rolników nie mogłyby się odbyć bez przyzwolenia zwierzchników; bez niego

policjanci zachowują się potulnie, jak pokazały to liczne przypadki opluwania ich i okładania przez działaczy KOD i Obywateli RP, z Frasyniukiem i „Babcią Kasią” na czele. Całkowicie zaś rozpraszają wątpliwości propagandowe zagospodarowanie tej sytuacji. Jeszcze przed zwołaną na środę demonstracją analitycy internetowi zwracali uwagę na nagłą aktywność tysięcy uśpionych w ostatnich miesiącach kont na społecznościówkach, wcześniej agregujących wyborcze przekazy PO. Tym razem upowszechniały one jednobrzmiące przesłanie: rolnicy to roszczeniowa dzicz, prymitywna, skazana na wymarcie grupa wroga postępowi i Unii Europejskiej, rozzuchwalona nadmierną pomocą, której jej przez lata udzielano – czas im wreszcie bezlitośnie pokazać, gdzie ich miejsce.

Zważywszy na to, że nazajutrz po pałowaniu Tuska, dotąd swoim zwycięstwem będący to za rolnikami, to przeciw nim, przeszedł w ton stanowczej obrony Zielonego Ładu przed wrogami „naszego bycia w Europie”, można stwierdzić, że rolnicy zostali świadomie wybrani przez Tuska na „czarnego luda”, jak poprzednio kibice, i partyjna propaganda będzie w najbliższym czasie szczuła przeciw nim po całości. To czyni sytuację PSL nieznosną – raczej wątpliwe, by odważyło się ono porzucić liczne posady w bez mała już 140-osobowym rządzie i podległych mu instytucjach, będzie więc musiało spokojnie i błagać premiera o złagodzenie linii.

BEZ ODWROTU

Pytanie, czy konsumując krótkoterminowe korzyści z dalszego demolowania polskiego życia publicznego, eskalowania napięć społecznych oraz potęgowania chaosu, na ten moment dla niego i dla jego unijnych protektorów tak korzystnego, liczy się z długofalowymi skutkami swego postępowania? Czy sądzi, że z pomocą zagraniczną sobie poradzi, czy wierzy, że w porę ucieknie przed odpowiedzialnością? Stare powiedzenie, potwierdzone losami praktycznie wszystkich dotychczasowych dyktatorów, że bagнетem można się podeprzeć, ale długo na nim siedzieć nie sposób, opisuje prawidłowość stosującą się również do zarządzania uchwałami i pałami – od którego po tym, co zrobił w minionym tygodniu, Tusk nie będzie już miał odwrotu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

„Rozmawiam o polityce. Z moimi gośćmi komentuję najważniejsze wydarzenia z kraju i z zagranicy. Zadaję konkretne pytania i oczekuję rzeczowych odpowiedzi. Zapraszam od wtorku do piątku o 18:20 do Telewizji Republika”
– Miłosz Kłeczek

MIŁOSZ KŁECZEK ZAPRASZA



od **wtorku**
do **piątku**
18:20

w Telewizji Republika

RYSZARD GROMADZKI: W wywiadach odwołuje się pan często do bokserkiej sagi filmowej o Rockym Balboa. Rocky, w legendarnej roli Sylvestra Stallone'a, nie był faworytem walki z Apollo Creedem, nie miał nazwiska w świecie wielkiego boksu, a jednak zdołał wspiąć się na szczyt. Z Tobiaszem Bocheńskim będzie podobnie? Miesiąc przed wyborami samorządowymi jest pan gotowy do walki o Warszawę?

TOBIASZ BOCHEŃSKI: Myślę, że tak. Za nami jest już etap treningów, jak u Rocky'ego. Teraz wychodzimy na ring. Do wyborów zostało niespełna 30 dni, czas zacząć poszczególne rundy. Jestem gotów.

Pana konkurentka, kandydatka Lewicy na prezydenta Warszawy Magdalena Biejat, powiedziała, że wystawienie pana kandydatury przez PiS świadczy o tym, że partia oddaje Warszawę walkowerem. Jej zdaniem nie ma pan żadnego pomysłu na Warszawę.

To całkowicie chybiony zarzut. Mamy bardzo ambitny program dla Warszawy, który będziemy prezentowali mieszkańcom. Dotyczy on wszystkich najważniejszych aspektów funkcjonowania stolicy jako samorządu. To, co jest największym mankamentem i przekleństwem Warszawy, to to, że pada ona łupem polityki ogólnopolskiej.

Obecny prezydent stolicy uwielbia wikłać się w spory polityczne, rozbudzać emocje, a zostawia to, co jest ważne, czyli to, jak wygląda miejsce, gdzie mieszkamy, gdzie pracujemy, relaksujemy się czy jak podróżujemy po Warszawie. Trzaskowski zostawia to nie wiadomo komu. Nie wiemy, czy samorząd Warszawy ma w tym momencie gospodarza. Co do pani Biejat, mam dla niej szacunek, choć jest to osoba, z którą się nie zgadzam praktycznie w żadnej sprawie. Ale przynajmniej reprezentuje jakiś światopogląd. Obecny prezydent raz chce być lewicowcem, innym razem jest gotowy iść w Marszu Niepodległości, kiedy potrzebuje głosów Konfederacji. Wspiera skrajnie lewicowe teatry, żeby za chwilę ciepło mówić o Caritasie. Na pewno nie jest to polityk, który ma kręgosłup ideowy. Wolę dyskutować z kimś, kto taki kręgosłup posiada.

À propos kręgosłupa ideowego. Po tym, jak Prawo i Sprawiedliwość wysunęło pana kandydaturę w wyborach na prezydenta stolicy, odciął się pan w mediach od krytycznej wypowiedzi byłego kuratora oświaty w łodzi na temat ideologii LGBT.



Wcześniej, będąc jako wojewoda łódzki zwierzchnikiem kuratora, publicznie się pan z nim zgadzał. Wiadomo doskonale, że Warszawa, gdzie prowadzi pan kampanię, jest miastem liberalnym. Ale czy polityk konserwatywny musi zawsze przeproszać, robić uniki, żeby przypodobać się wyborcom?

Wielokrotnie wypowiadałem się już na ten temat. Słowa kuratora były po prostu głupie. Czym innym jest spór między lewicą a prawicą toczony w Stanach Zjednoczonych, Europie Zachodniej i u nas na temat fundamentalnych wartości, a czym innym sposób jego prowadzenia. Sytuacja, o której pan mówi, dotyczyła odwołania kuratora, który moim zdaniem wypowiedział te słowa koniunkturalnie, licząc, że zapewni mu parasol ochronny, który uniemożliwi jego odwołanie. Nie chcę poruszać tematów ideologicznych w wybo-

rach samorządowych. Politycy z różnych stron bardzo często lubią mówić, że każde wybory są o aborcji. Uważam, że to nie są wybory o aborcji. Prezydent Warszawy o tym nie decyduje. To jest tak, jakby spytać ekipę, która ma wyremontować nam mieszkanie, o światopogląd, a nie o koszt i harmonogram remontu.

Mówi pan, że prezydent Warszawy nie decyduje o aborcji, ale to nie kto inny jak Rafał Trzaskowski decydował o przeznaczeniu milionów złotych z budżetu miasta na wsparcie programu in vitro w stolicy. Jak pan zachowałby się w tej konkretnej sprawie, gdyby wygrał pan wybory?

Program zostałby podtrzymany, ale przystępujący do niego, po pierwsze, otrzymaliby pełną informację na temat innych możliwych metod dotyczących

dziethości. Po drugie, nie widzę powodu, skoro prezydent Warszawy finansuje z pieniędzy samorządowych metodę in vitro, dla których nie miałby np. finansować w ten sposób programu naprotechnologii.

Pana konkurentka w wyborach, wspomniana już Magdalena Biejał, mówi wprost, że nie ma nic przeciwko przyjęciu przez Warszawę migrantów z Afryki i Azji w ramach ich relokacji narzuconej nam przez Unię Europejską. A pan?

Jako państwo, jako naród, przyjęliśmy miliony uchodźców uciekających przed wojną na Ukrainie. Pokazaliśmy, że jesteśmy humanitarnym mocarstwem. Uważam, że w sytuacji gospodarczej, w jakiej jest Polska, frontowego państwa wschodniej flanki NATO, żadna relokacja migrantów nie wchodzi w rachubę. Niech przyjmują ich Niemcy i Francuzi, jeśli tego chcą. Jako prezydent Warszawy z jednej strony musiałbym przestrzegać przepisów prawa ustanowionych przez parlament, ale w sferze ideowej jest to bardzo zły pomysł.

Warszawa uchodzi za bastion liberałów i wszelkich postępców. Nie kusi pana odwzorowanie niekonwencjonalnej kampanii Javiera Milei, która wyniosła zwolennika pierwotnego kapitalizmu na urząd prezydenta Argentyny, kraju od dekad zdominowanego przez socjalistów?

(Śmiech). Śledziłem kampanię pana Milei. Wszystko, co się w niej działo, oddawało jego temperament. Zapowiadając likwidację kolejnych ministerstw, występował z piłą mechaniczną wśród skąpo ubranych tancerek. Mam inny temperament. Ale niektóre jego postulaty dotyczące funkcjonowania miasta są mi bardzo bliskie. Na przykład zamrożenie etatów urzędniczych, żeby dokonać głębokiej reformy całej struktury urzędu miasta. Nie mówię o zwalnianiu ludzi, ale o zamrożeniu etatów, żeby umożliwić likwidację gigantycznego nawisu administracyjnego w Warszawie. Ponadto kampania, którą prowadzę, musi oddawać charakter mojej osoby. Staram się być autentyczny w tym, co robię. Nie będę taki jak pan Milei, choć śledzę jego poczynania z zainteresowaniem.

Jaka atmosfera jest na pańskich spotkaniach z wyborcami? Spotyka się pan z „dobrą chemią” wśród ludzi?

Na spotkaniach z wyborcami czy na ulicach Warszawy nie spotykam się z żadnym

mi przejawami agresji czy hejtu, który jest w Internecie. Jest dużo ciekawych głosów i fajnej rozmowy. Ludzie doskonale widzą, że to jest miasto, które obecnie nie ma gospodarza. Warszawa stanowi kwiatek do kożucha ogólnopolskiej polityki prowadzonej przez Rafała Trzaskowskiego.

Prezydentem Warszawy powinien być ktoś, kto chce pracować przez 18 godzin dziennie. Gotowy do naprawiania i reformowania miasta, które jest naszym symbolem. Trzeba pielegnować stołeczność Warszawy, bo to ważne nie tylko dla naszego państwa, lecz także dla komfortu ludzi, którzy tutaj żyją. Ludzie czują, że coś jest nie tak, kiedy prezydenta nie ma tam, gdzie powinien być. Warszawiacy stoją codziennie w gigantycznych korkach, a cena metra kwadratowego mieszkania dobija do 17 tys. zł.

Mówi pan o korkach w Warszawie. Ale potencjalnie jeszcze większym problemem są dyskryminacja kierowców, wypychanie ich z centrum miasta, poprzez tworzenie tzw. strefy czystego transportu. Jaki jest pana stosunek do Zielonego Ładu, którego częścią są te wszystkie działania?

Jestem bardzo krytyczny wobec całej tej agendy. Uważam ją za bardzo ideologiczną i lewicową, za projekt imitacyjny. To znaczy, bierze się coś, co wprowadzono w innych miastach Europy czy świata i na zasadzie „kopiuj, wklej”, i wdraża w Warszawie, abstrahując do tego, że miasto ma specyficzną tkankę miejską i układ ulic, który został całkiem nieźle zaprojektowany po drugiej wojnie światowej, pomijając wszelkie kontrowersje związane z odbudową stolicy. Dysponując siecią dróg dobrze przystosowaną do ruchu kołowego, powinniśmy działać w oparciu o wolny wybór. Jeśli polska rodzina chce posiadać kilka samochodów, to ma do tego pełne prawo. Można przekonywać do komunikacji miejskiej, to jest wskazane, ale na zasadzie dobrowolności. Ona musi być atrakcyjna, wtedy ludzie sami będą chcieli z niej korzystać. Nie można tego robić przez nakazy w postaci strefy czystego transportu.

Rafał Trzaskowski broni jak niepodległości lotniska Okęcie, argumentując, że Centralny Port Komunikacyjny to przejaw megalomanii, a Warszawa nie jest do niczego potrzebny. CPK powinien w przyszłości zastąpić Okęcie w roli głównego lotniska Warszawy?

Stawiam tę sprawę trochę inaczej. Prezydent Warszawy tu nie decyduje, bo nie jest to jego teren. Mówię oczywiście o CPK, a nie o Okęciu. Jestem wielkim zwolennikiem Centralnego Portu Komunikacyjnego. Mało tego, jako wojewoda wykonałem wiele działań i podjąłem wiele decyzji, które urzeczywistniły ten projekt. Uważam, że jest on konieczny dla rozwoju Polski. Jednocześnie warszawiacy cenią sobie możliwość dojeżdżania w ciągu 15 minut na Okęcie i lądowania w świat z tego lotniska. W procesie rozwoju obydwu lotnisk CPK będzie przejmował ruch z portu Chopina, ale nie będzie uśmiercał Okęcia. Tu należy bazować na ekspertyzach dotyczących logistyki i ruchu lotniczego. Podkreślam: profesjonalnych ekspertyzach, a nie niby-ekspertyzach, które zapowiadał Donald Tusk, których nikt nie widział, a które wprowadzały żenujący poziom debaty na temat CPK. Z Centralnym Portem Komunikacyjnym integralnie łączy się projekt budowy Kolei Dużych Prędkości, dzięki któremu warszawianka czy warszawiak wsiadający do pociągu w centrum miasta będą mogli w ciągu 15 minut znaleźć się w Centralnym Porcie Komunikacyjnym i polecieć bezpośrednio w dowolne miejsce na świecie.

Pałac Saski powinien być odbudowany za niemieckie pieniądze, jak zasugerował niedawno szef MSZ Radosław Sikorski?

Niech Niemcy przekażą nam pieniądze w ramach reparacji, a my już sami zdecydujemy, na co je wydamy. Mamy przyjeżdżać do Berlina z projektami kolejnych rewitalizacji, a oni będą je łaskawie rozpatrywać? Taki sposób myślenia jest nie do przyjęcia.

Dostał pan zadanie polityczne od prezesa Kaczyńskiego. Jeśli uda się panu zaistnieć w bitwie o Warszawę, to otworzą się przed panem drzwi do wielkiej polityki, jak przed Rockym, po pierwszej walce z Apollo Creedem. Ponadto zdobycie Warszawy przez polityka prawicy to klasyczna misja kamikaze...

Prezes Kaczyński wyznaczył mi zadanie wygrania tych wyborów. Oczywiście dla każdego kandydata prawicowego wybory samorządowe w Warszawie są najtrudniejsze w całej Polsce. To jest rzeczywistość „misja Rocky’ego”. Ale ja lubię takie misje.

Ziobro na celowniku



FOT. TOMASZ CZEL/PAP



Zuzanna Dąbrowska

Zagrażająca życiu choroba Zbigniewa Ziobry nie stanowi dla jego politycznych przeciwników powodu, by choć na chwilę dać mu spokój. Wręcz przeciwnie – stała się przyczyną napędzania obrzydliwego hejtu

Jeśli chodzi o usprawiedliwienie nieobecności pana posła Ziobry, nie ma żadnego problemu – stwierdził jakiś czas temu wicemarszałek Sejmu z PSL Piotr Zgorzelski, dopytywany o lidera Suwerennej Polski. Pytanie dziennikarki TVP Info nie wzięło się znikąd – od tygodni pojawiają się insynuacje, jakoby choroba byłego ministra sprawiedliwości

była tylko „przykrywką”, dzięki której ma on zamiar uciekać przed chcącą go przesłuchać sejmową komisją śledczą do spraw Pegasus. – Pan poseł Zbigniew Ziobro formułuje swoje usprawiedliwienia w formie pisemnej i dołącza do tego zaświadczenia lekarskie – podkreślił Zgorzelski.

O chorobie Ziobry głośno mówi się od kilku miesięcy. Uważniejsi obserwatorzy dostrzegli, że podczas jednego ze swoich ostatnich wystąpień w Sejmie polityk mówił z wyraźną trudnością. Wyjaśnienie tej sytuacji przyszło dość szybko – u prezesa SP wykryto zaawansowanego raka przełyku. Zbigniew Ziobro nie wziął udziału w głosowaniu nad wotum zaufania dla rządu Mateusza Morawieckiego 11 grudnia, co media początkowo odczytywały jako manifestację wrogości. Tymczasem tego dnia polityk trafił do Centrum Onkologii Ziemi Lubelskiej. Po informowano, że jego chorobę zdiagnozowały trzy ośrodki medyczne.

Partyjni koledzy byłego prokuratora generalnego regularnie przekazują nowe informacje. Nie brzmią one optymistycznie. – Pan minister Zbigniew Ziobro walczy o powrót do zdrowia i jest to trudna walka. Najbliższe tygodnie będą w jego walce bardzo ważne, wszyscy trzymamy za niego kciuki – poinformował poseł SP, były wiceminister sprawiedliwości Sebastian Kaleta.

Na pytanie, czy Zbigniew Ziobro jest leczony w Polsce, Kaleta odpowiedział twierdząco. To reakcja na rozsiewane przez polityków obozu rządzącego plotki, jakoby polityk wyjechał z kraju. Takie domniemanie snuł m.in. poseł KO Witold Zembaczyński, członek sejmowej komisji śledczej do spraw Pegasus. W jednym z wywiadów stwierdził, że „docierają do niego informacje, iż Zbigniew Ziobro przebywa za granicą, że miewa się nieźle”. – To, co robią niektórzy politycy aktualnie rządzący wokół stanu zdrowia Zbigniewa Ziobry, jest nikczemne – odpo-

wiada Sebastian Kaleta. Poseł oznajmił także, że informacje o tym, iż lider SP leczy się za granicą, „to nieprawda”.

Problemy zdrowotne szefa Suwerennej Polski były na tyle poważne, że musiał w trybie natychmiastowym zostać poddany hospitalizacji. Partyjne obowiązki przekazał europosłowi Patrykowi Jakiemu, który poinformował jakiś czas temu, że Ziobro przechodzi chemioterapię i konieczna będzie operacja. Z kolei Marcin Warchoł (również członek Suwerennej Polski) informował w lutym, że Zbigniew Ziobro „walczy o życie”. „Literatura medyczna podaje, że w Polsce przed upływem pięciu lat umiera ok. 90 proc. chorych” – napisał w mediach społecznościowych.

BEZWZGLĘDNE ATAKI

To wszystko nie ma jednak znaczenia dla części polityków i komentatorów, którzy wykorzystują chorobę byłego ministra do atakowania go. Najgłośniejszą, wywołującą najwięcej krytyki wypowiedzią była ta lewicowej publicystki Elizy Michalik. – Ziobro ogłasza chorobę zaraz po tym, jak stracił władzę i zaczął być rozliczany, i jak zaczęły mu grozić bardzo poważne konsekwencje prawne – stwierdziła w swoim wideokomentarzu. – Najpierw było, że choruje, potem było, że choruje na raka, a potem – że zaawansowany rak przełyku, że „walka o życie”, czyli stopniowanie. Profesjonalna akcja PR-owa zawsze tak wygląda w przypadku polityka, który się chce wycofać – przekonuje Michalik, oceniając (bez żadnych podstaw), że choroba byłego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry jest próbą uniknięcia odpowiedzialności. – Ziobro jest tchórzem, tak uważam [...]. On nie chce ponieść odpowiedzialności za to, co zrobił, i robi wszystko, żeby tego uniknąć. I właśnie to robi. Tym jest, moim zdaniem, ta zupełnie strategiczna choroba – mówi na nagraniu Eliza Michalik.

Jej kolejne słowa wywołały prawdziwą burzę. Publicystka stwierdziła bowiem, że jeśli się myli i „Ziobro umrze”, to ona „bardzo przeprosi”. – Nie będą to vlogowe przeprosiny, ale nawet wtedy powiedziałabym, że jego wcześniejsza działalność dawała asumpt i podstawę do takich opinii, jakie wygłaszam dziś – powiedziała.

Nie bez przyczyny wielu na myśl przyszły mroczne czasy polowania na czarownice i „próba wody”. Jeżeli kobieta oskarżona o czary nie tonęła, to była wiedźmą; jedynie utonięcie było dowodem niewinności. Analogicznie – dla osób pokroju Michalik tylko śmierć Ziobry pokaże, że faktycznie był on chory.

Po tej wypowiedzi lewicowej komentatorki nadeszła ostra riposta założyciela Kanału Zero. Krzysztof Stanowski stwierdził, że Michalik ma „deficyt mózgu” i jest „pier.....ta”. W odpowiedzi oskarżyła ona Stanowskiego o bycie „przemocowcem” i zagroziła sądem. Dość powiedzieć, że w obronie Michalik stanęły postacie takie jak znany na portalu X głosiciel najdziwniejszych antypisowskich teorii spiskowych Tomasz Wiejski.

Jednak stwierdzenia, że nowotwór Zbigniewa Ziobry to kłamstwo, pojawiają się znacznie częściej i nie zawsze przybierają aż tak drastyczną formę. „Ja nie mam pewności, czy on jest rzeczywiście chory...” – powiedział były premier, europoseł Leszek Miller, poproszony o komentarz do zapowiedzi przesłuchania Ziobry w szpitalu. Zdaniem polityka dowodem na prawdziwość jego teorii jest to, że „żadna zaprzyjaźniona telewizja nie weszła na oddział, na którym leży, w mediach społecznościowych nie pojawiło się ani jedno zdjęcie ze szpitala”. Miller dowodzi, że „historia zna sytuację, że ludzie udawali ciężko dotkniętych najróżniejszymi schorzeniami, również chorobami psychiatrycznymi, byle tylko uniknąć odpowiedzialności”. „Teraz trzeba więc dojść do odpowiedzi na zasadnicze pytanie: czy i na co Zbigniew Ziobro jest chory” – przekonuje eurodeputowany.

W prawdziwość choroby szefa SP zdaje się nie dowierzać także wiceminister sprawiedliwości Arkadiusz Myrcha, który jeszcze w grudniu mówił w mediach: – Musimy wierzyć doniesieniom medialnym, że ma problemy zdrowotne, ale wszyscy chcielibyśmy wiedzieć, kiedy wróci, co tam się faktycznie stało i że nie jest to próba unikania kłopotów i odpowiedzialności, która po prostu na niego czeka.

Niekryjąca swojej niechęci do PiS prokurator Ewa Wrzosek podkreśla, że „każda osoba, która jest wezwana w dowolnym charakterze, czy to świadek, czy podejrzany, ma obowiązek stawić się na

wezwanie”. Choć nie podważa wprost trudnej sytuacji zdrowotnej polityka, to nie pozostawia wątpliwości co do tego, że choroba, nawet najpoważniejsza, nie stanowi taryfy ulgowej. – Mówimy o komisji śledczej do spraw zbadania Pegasusa, więc to być może będzie pierwszy taki moment, kiedy stan zdrowia pana Zbigniewa Ziobry będziemy w stanie zweryfikować. Natomiast stan zdrowia nie stanowi przesłanki do uchylenia odpowiedzialności i konieczności stawiania się na wezwania organów – powiedziała w jednym z wywiadów.

MACHINA SIĘ ROZPĘDZA

To, jak daleko są w stanie posunąć się krytycy (a może bardziej zasadne byłoby określenie „hejterzy”?) Zbigniewa Ziobry, pokazała informacja o śmierci prof. Elżbiety Starosławskiej, wieloletniej szefowej Centrum Onkologii Ziemi Lubelskiej. Informację o odejściu lekarki „Gazeta Wyborcza” wykorzystała do uderzenia w zmagającego się z rakiem polityka. „Nie żyje prof. Elżbieta Starosławska, wieloletnia szefowa Centrum Onkologii Ziemi Lubelskiej. To w jej szpitalu na leczenie zdecydował się Zbigniew Ziobro” – napisano w poście w serwisie X, który zawierał link do artykułu.

Z kolei w tekście przekonuje się, że wybór lubelskiego szpitala przez byłego ministra sprawiedliwości nie był podyktowany względami tylko medycznymi. „Według naszych informatorów Ziobro zdecydował się na leczenie w Lublinie ze względu na bliskie relacje szefowej COZL z politykami PiS. Kliniki w Krakowie i Warszawie nie wchodziły w grę z powodu śledztw prokuratorskich dotyczących okoliczności śmierci ojca i tzw. sprawy prof. Mirosława Garlickiego” – opisuje „GW”. Temat chętnie podłapała wspomniana wcześniej Eliza Michalik. „Zmarła zaufana lekarka Ziobry. Miała w przeszłości kłopoty i przygody z prawem, i podejrzanymi zwolnieniami” – napisała.

Niedawno, przy okazji ataku na byłego ministra sprawiedliwości, prof. Starosławską próbował oczernić skompromitowany biznesmen Janusz Palikot. „Rozmawiałem z kilkoma profesorami medycyny w Lublinie. Cała sprawa z Ziobrą to ustawka szefowej onkologii Lublinie. Czemu nikt tego nie zbada?” – pytał. Machina hejtu się rozpędza.

Obstawiać u bukmacherów nie lubię, typować nie umiem, głosować nie mogę – wszak nie jestem członkiem amerykańskiej Akademii Filmowej przyznającej Oscary. Ale mogę – jak co roku – przedstawić własny prywatny i subiektywny ranking najciekawszych osiągnięć kinowych roku, trzymając się zasady „wybieram spośród oficjalnie nominowanych”. W tym roku jest o co się spierać. Jak głosowała Akademia, dowiecie się 10 marca. Dziś poznamie moich zwycięzców.

Porachujmy nominacje: w tegorocznym zestawie prowadzi „Oppenheimer” (13 nominacji), drugie miejsce dla filmu „Biedne istoty” (13), podium zamyka „Czas krwawego księżyca” (10). „Barbie” – 8 nominacji, „Maestro” – 7, potem mamy aż cztery filmy nominowane czterokrotnie: „American Fiction”, „Anatomia upadku”, „Przesilenie zimowe” i „Strefa interesów”. Każdy, kto oglądał te tytuły, może zastanawiać się, jak u licha jest możliwe, by o ten sam laur ubiegały się tak różne filmy jak prostacka „Barbie” oraz arcydzieło, którym jest „Strefa interesów”. Cóż, Oscary znają takie starcia przeciwieństw – ot, choćby w 1970 r. walczyły ze sobą staromodny „Hello, Dolly” i kontrkulturowy „Easy Rider”.



NAJLEPSZY FILM NIEANGLOJĘZyczny

Z pięciu filmów nominowanych w tej kategorii nie oglądałem jeszcze „Io capitano” Mattea Garrona, jednego z najlepszych włoskich reżyserów ostatnich lat. Ale właściwie nie ma to znaczenia, bo mamy w tej kategorii film, który zamyka dyskusję – jeśli mamy ją prowadzić na poważnie.

Poważnym kinem, niektórzy mówią: arcydziełem, jest bowiem „Strefa interesów” Jonathana Glazera. To film, który zdecydowanie wyrasta nad konkurencję.

Z pozostałej czwórki najlepszy jest moim zdaniem „Perfect Days” Wima Wendersa – popis minimalizmu, głęboko ludzka

Oscary subiektywnie



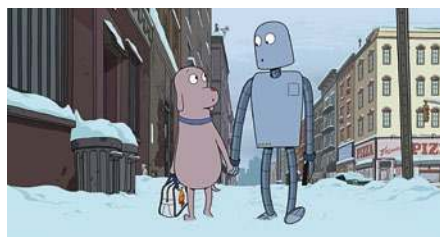
Piotr Gociek

To był dobry rok – powstało wiele bardzo dobrych lub wybitnych filmów. Czy nominacje oscarowe oddały im sprawiedliwość? Mam wrażenie, że nie

opowieść z ulic i wychodków Japonii, którą powraca do fabuły wielki reżyser, oddający się ostatnio głównie kręceniu dokumentów. „Śnieżne bractwo” J.A. Bayona to piękne zdjęcia oraz wypychanie widza ze strefy komfortu – niewiele więcej. „Pokój nauczycielski” İlker Ağaoka okrzyknięto najlepszym filmem niemieckim ostatnich lat. Cóż z tego, skoro niemieckie kino ostatnich lat jest hm... takie sobie?

NAJLEPSZY FILM ANIMOWANY

Sam się dziwię, że nie wskażę tu jako mojego zwycięzcy filmu „Chłopiec i czapla” w reżyserii legendy japońskiej animacji, czyli Hayao Miyazakiego. Ale już tłumaczę: choć jest to opowieść piękna i wzruszająca, i osobista („Mój najbardziej osobisty film” – prawi mistrz ze studia Ghibli), to nie wnosi do dorobku Miyazakiego niczego nowego. Nagradzam więc fenomenalną animację hiszpańską „Pies i robot” Pabla Bergera, film, który już



rekomendowałem na łamach „Do Rzeczy” (nr 6/2024). Jest to moim zdaniem osiągnięcie wybitne, które zachwyca zarówno oryginalnością wizualną, jak i połączeniem poważnego tematu z lekkością narracji. Co ważne, ten film z duszą obywatela się bez dialogów, jak arcydzieła Chaplina czy Bustera Keatona.

Pozostała trójka nie zbliża się do tego poziomu. „Spider-Man: Poprzez multiwersum” to efektowna, ale jednak powtórka z rozrywki. „Między nami żywiołami” to najsłabszy film Pixara od lat, a „Nimona” (jedna z animowanych premier Netflixa) trafiła do grona nominowanych tytułów chyba tylko z powodów pozafilmowych: główna bohaterka jest „niebinarna”.



NAJLEPSZE ZDJĘCIA

Zdumiony jestem, że wśród nominowanych w tej kategorii znalazł się Matthew Libatique za zdjęcia do filmu „Maestro” o Leonardzie Bernsteinie, bo

zrobił robotę dobrą, ale nie wybitną. Za nadmiernie manieryczne mam dokonania Edwarda Lachmana (zdjęcia do horroru o Pinochecie wampirze „Hrabia”). W mieście tych nominowanych wstawiłbym Erika Messerschmidta za świetną robotę w filmie „Ferrari” Michaela Manna oraz Pedra Luquego za „Śnieżne bractwo”, bo to jego zdjęcia odpowiadają za niezwykłą atmosferę filmu Bayony.

No dobrze, a kto u mnie wygrywa? Z trójki: Rodrigo Prieto („Czas krwawego księżycza”, Hoyte van Hoytema („Oppenheimer”) i Robbie Ryan („Biedne istoty”) wskażę van Hoytema, bo zadanie miał najtrudniejsze. Zatem wyróżniam autora zdjęć do filmu „Oppenheimer”.



NAJLEPSZA AKTORKA DRUGOPLANOWA

Bardzo wyrównana stawka nominowanych aktorek, nikt tu nie wybija się wyraźnie ponad resztę. Emily Blunt jako Kitty Oppenheimer w filmie Nolana – niezła, ale nie wybitna. Danielle Brooks w „Kolorze purpury” – nie wiem, jeszcze nie widziałem. W pozostałej trójce mamy Americę Ferrerę w filmie „Barbie”, dla której to zbyt wysokie progi, i dwie poważne kandydatki: Jodie Foster jako Bonnie Stoll w filmie „Nyad” oraz D’Vine Joy Randolph z filmie „Przesilenie zimowe”. I wskazuję właśnie tę ostatnią, bo była, moim zdaniem, w całej tej stawce najbardziej prawdziwa.

NAJLEPSZY AKTOR DRUGOPLANOWY

Aktorom w tej kategorii należy współczuć, bo mieli w tym roku pecha



– idą kursem na zderzenie jak „Titanic” w górę lodową. Robert De Niro nominowany za rolę arcyłotra (zimny jak gad William King Hale) w „Czasie krwawego księżycza” przebijają konkurencję. I to on dostaje mojego Oscara (byłby to jego trzeci, a nominowano go dotąd dziewięciokrotnie).

Czy miał silną konkurencję? Nie bardzo. Gdyby w tym roku nie strato- wał De Niro, to nagrodziłbym Roberta Downeya Jr. za rolę Lewisa Straussa w „Oppenheimerze”. Pozostali to już inna, niższa liga. Mark Ruffalo w „Biednych istotach” bardzo jednowymiarowy, Ryan Gosling jako Ken w „Barbie” to żart (cały ten film to zbyt długi i łopatologiczny żart), Sterling K. Brown w „American Fiction” jest dobry, ale nie wybitny.

NAJLEPSZA AKTORKA

Gdyby nagradzano najbardziej dziką szarżę, to Emma Stone za „Biedne istoty”; na przeciwnym biegunie mamy wyciszoną, skupioną, grającą półtonami Lily Gladstone w „Czasie krwawego księżycza”. Carey Mulligan w „Maestro” Bradleya Coopera nie dorównuje własnym najlepszym osiągnięciom sprzed lat (nie jej wina, lecz słabego scenariusza).



Annette Bening w filmie biograficznym „Nyad” pozostawiła mnie chłodnym jak Atlantyck.

Za to nie kryję słów uznania dla Sandry Hüller, która w tym roku przyćmiła konkurentki – i zrobiła to dwukrotnie, bo choć nominowana jest za fenomenalną rolę oskarżonej o morderstwo pisarki w „Anatomii upadku”, to przecież stworzyła też niesamowitą kreację u Glazera w „Strefie interesów”, gdzie zagrała Hedwigę Höss, żonę komendanta niemieckiego obozu zagłady w Auschwitz. Sandra Hüller to dla mnie odkrycie roku, fenomen roku, najlepsza aktorka roku – nie tylko tegorocznych Oscarów.



NAJLEPSZY AKTOR

W tej kategorii najłatwiej było mi dojść do werdyktu poprzez najłatwiejszą eliminację. Bradley Cooper jako „Leonard Bernstein” – pretensjonalny i nieciekaw. Colman Domingo w filmie „Rustin” (rola tytułowa) – na jednej nucie. Jeffrey Wright w „American Fiction” robi, co może, ale scenariusz się rozłaził i od połowy filmu nieszczęśnik nie ma co grać. Zostaje nam dwóch: Cillian Murphy jako Oppenheimer w filmie Nolana oraz Paul Giamatti jako surowy profesor odkrywający sens życia w „Przesileniu zimowym”.

Mój subiektywny Oscar idzie do Giamattiego, jestem jego rolą zachwycony. W „Oppenheimerze” nie widziałem człowieka, lecz figurę, symbol, pretekst do rozważań snutych przez reżysera. Giamatti w filmie Alexandra Payne’a był zaś głęboko ludzki.

NAJLEPSZY SCENARIUSZ ADAPTOWANY

Tu także będę wyrzucał za burtę głównie ze względu na niezasłużone pochwały. Tony McNamara zredukował arcydzieło postmodernizmu, którą była pełna rozważań polityczno-filozoficznych powieść Alasdaira Graya „Biedne istoty”, do prostackiej historyjki o dojrzewaniu przez ra- dosny seks.

Jonathan Glazer nie powinien być tu nominowany, bo w „Strefie interesów” niewiele jest z powieści Martina Amisa, książka jest dobra, film świetny, ale scenariusz to nie adaptacja, bardziej pasowałyby słowa „z inspiracji”.

Najtrudniej mieli Greta Gerwig i Noah Baumbach, bo pisanie scenariusza do



„Barbie” to próba zrobienia czegoś z niczego. No ale i efekt to wielkie nic. Cord Jefferson zbyt wiele chciał w filmie „American Fiction” zmieścić materiału źródłowego (powieść „Erasure” Percivala Everetta), zabrakło mu odwagi wielkiego krojczego. W ten sposób na placu boju pozostaje Christopher Nolan, który z obszernej biografii ojca bomby atomowej (autorstwa duetu Kai Bird i Martin J. Sherwin) uszył scenariusz do filmu „Oppenheimer”. Dają jednak tego Oscara bez przekonania, bo przecież w drugiej połowie u Nolana wizje wygrywają z precyzją słowa.



NAJLEPSZY SCENARIUSZ ORYGINALNY

Moim zdaniem najbardziej wyrównana w tym roku kategoria, w dodatku jest to równanie w górę, a nie w dół. Odrzucmy pretensjonalnego „Maestro” (scenariusz: Bradley Cooper i Josh Singer), który jest obok „Barbie” i „Biednych istot” najbardziej przecenionym filmem tej edycji Oscarów. Każdy z pozostałych filmów w dowolnym innym roku zasłużyłby na statuetkę. No, może oprócz sentymentalnego i trącego czasem banałem (ale i tak dobrego) filmu „Poprzednie życie” (scenariusz i reżyseria: Celine Song).

Pozostałe scenariusze to ekstraklasa, ręce same składają się do okłasków. Wieloznaczna „Anatomia upadku” (scenariusz autorstwa reżyser Justine Triet oraz Arthura Harariego). Precyzyjne i zaskakujące „Przesilenie zimowe” (napisał je David Hemingson). I wreszcie „Obsesja” (napisali ją Samy Burch i Alex Mechanik).

Wykorzystam więc wybieg znany z prawdziwych Oscarów, kiedy to członkowie Akademii kalkuluje: skoro film X wyróżniła w jednej kategorii, to może w innej dajmy szansę innemu tytułowi, żeby splendory rozłożyły się bardziej sprawiedliwie. Skoro więc dałem Oscara Sandrze Hüller za rolę główną w „Anatomii upadku”, to teraz mogę wy-

bierać między „Obsesją” a „Przesileniem zimowym”. I wybieram „Przesilenie zimowe” (więcej o tym filmie pisałem w „Do Rzeczy” nr 6/2024).



NAJLEPSZY REŻYSER

W tej kategorii warto porównywać, jak dany reżyser wypada nie tylko na tle konkurentów, lecz także własnych wcześniejszych dokonań. „Biedne istoty” to dla mnie najsłabszy film Yorgosa Lanthimos, więc skreśliam go bez wahania. Czy Christopher Nolan był w lepszej formie, niż kręcąc „Oppenheimer”? Moim zdaniem – tak. Justine Triet w „Anatomii upadku” jest precyzyjna, ale film niesie na swych barkach wspomnianą już Sandra Hüller. Co oznacza, że będę musiał wybrać między Martinem Scorsese i „Czasem krwawego księżyca” a „Strefą interesów” Jonathana Glazera. Podobnie widzę finałową dwójkę w następnej kategorii (Alexandra Payne’a proszę o wybaczenie, „Przesilenie zimowe” będzie musiało obejść się miłością widzów). Decyduję się więc na werdykt salomonowy. Najlepszym reżyserem ogłaszam Jonathana Glazera („Strefa interesów” to jego najlepszy dotąd film). Co oznacza, że...

NAJLEPSZY FILM

... mój subiektywny Oscar dla najlepszego filmu trafi w ręce producentów „Czasu krwawego księżyca”, którymi są Dan Friedkin, Bradley Thomas, Martin Scorsese oraz Daniel Lupi. Uważam, że ze wszystkich ubiegających się o nagrodę



w tej kategorii produkcji „Czas krwawego księżyca” jest dziełem najpełniejszym: scenariusz, reżyseria, aktorzy, muzyka Robbiego Robertsona, wszystko to składa się w piękną całość. I jest to film mądry i ważny dla publiczności nie tylko w Ameryce, bo nieszczęście Osagów, rugowanych podstępem, słodkim słówkiem i przemocą ze swego dziedzictwa, to historia, w której mogą się przejrzeć także okupowane przez Rosję i Niemcy narody Europy Środkowej. Także Polacy.

ZAGINIENI W AKCJI

Na koniec o tych, których całkowicie pominięto. Brakuje mi dwóch nominacji dla „Dream Scenario” (za scenariusz i główną rolę Nicolasa Cage’a). „Ferrari” powinno moim zdaniem dostać nominację za zdjęcia Erika Messerschmidta. Jedną z najlepszych adaptacji scenariuszowych roku była robota Kelly Fremon Craig, która przekuła powieść Judy Blume



w scenariusz uroczego i mądrego filmu „Jesteś tam, Boże? To ja, Margaret” (była też jego reżyserem). Barry Keoghan w „Saltburn” był moim zdaniem lepszy niż Colman Domingo w „Rustinie” czy Jeffrey Wright w „American Fiction”.

Wreszcie wyrzuciłbym z nominowanych animacji „Między nami żywiołami” i wstawił tam niedoceniony film „Wojownicze Żółwie Ninja: zmutowany chaos”, bo choć franczyzę poważni krytycy lekceważą, to wizualnie rzecz jest dużo bardziej oryginalna od tego, co oferuje Pixar. A chciałoby się jeszcze jakoś docenić „Pamięć”, „Air”, „BlackBerry”... Ech, długo by wymieniać.

Czytając te słowa, będziecie już wiedzieli, jak zdecydowała Akademia, ja obstałem przy swoich Oscarach. A podsumowując rok 2023, powiem tylko, że tym razem mieliśmy wiele bardzo dobrych filmów, lecz mniej aktorskich popisów. Zwykle bywa odwrotnie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO

Orle jaja z wolnego wybiegu

FOT. JACAR KUBIS



Remigiusz
Włast-Matuszak

Nudny pseudodokument w „kanonie” obowiązkowych zachwyków

Polityczne, filmowe agitki powstawały za czasów każdego reżimu rządzącego w wiekach XX i XXI. Studio filmowe UFA dr. Josepha Goebbelsa (autora wielu grafomańskich scenariuszy) mogło się pochwalić produkcją filmów gromadzących masową widownię. Sztandarową agitkę III Rzeszy pt. „Jud Süß” obejrzało ponad 12 mln Niemców, a nad Sekwaną ponad milion Francuzów, z własnej woli i za własne franki.

Nasza powojenna kinematografia też może się pochwalić kilkoma politycznymi agitkami. Wyjątkowo perfidna i „służna” ideologicznie była „Przygoda na Mariensztacie” z przełomu lat 1952/1953. Reżyserem był Leonard Buczkowski, a scenarzystą i autorem tekstów piosenek Ludwik Starski. W komediowej formie, ze śpiewem i z tańcem, pokazywano publicę aktywistów komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej (ZMP), jak współzawodniczą o tytuły Przewodników Pracy. Brygada dziewcząt buduje kolejne osiedle – „Niech się mury pną do góry”, a na wiecach robotniczych „władza ludowa” wręcza przewodnikom

klucze do mieszkań. W 1953 r. w więzieniach MBP „kiblowało” 50–70 tys. „politycznych”, a na Rakowieckiej odbywały się egzekucje. Centralny Urząd Kinematografii pod wodzą towarzyszy Dory Gromb ocieplał zamordyzm naiwną komedyjką (6 mln widzów).

Następna polityczna agitka wyszła spod ręki Andrzeja Wajdy i było to „Pokolenie” 1955 r. Agitka kończyła się słynnym „Za wami pójdą inni”. Etap Stalina i Bieruta skończył się nagle i nieprzewidzianie w latach 1953–1956.

W gorącym politycznie okresie lat 1964–1968 szef MSW „gen.” Mieczysław Moczar (Mikołaj Demko) zażądał sfilmowania swojej powieści „Barwy walki” – de facto napisanej przez partyjnego literata Janusza Przymanowskiego. Moczarowska agitka polityczna z 1964 r. w reżyserii Jerzego Passendorfera pt. „Barwy walki” spełniła swoją funkcję. Milionowa widownia (szkoły itd.) zobaczyła i uwierzyła w etos Armii Ludowej (w porywach ok. 2 tys. partyzantów). Etos nadal działa – al. Armii Ludowej to jedna z ważniejszych ulic w stolicy.

Agitkami o mniejszym zasięgu (konkurencja setek kanałów TV i Internetu) okazały się: „Pokłosie” 2012 r., „Ida” 2013 r., „Kler” 2018 r. I oto nagle w 2023 r. prezydentka i polityczka Agnieszka Holland zrealizowała pod Konstancinem (nie fatygując się na granicę polsko-białoruską) agitkę

polityczną, która miała ponad 750 tys. widzów i przyczyniła się do pokazania Europie i światu, do czego zdolni są Polacy, Straż Graniczna i chłopci donosiciele (w czasie drugiej wojny światowej według prof. Grabowskiego „zamordowali” ok. 200 tys. Żydów).

Teatr Polski gnębiony przez „faszystów”, po ośmiu latach rządów brunatnego g...., które „podchodziło pod nasze drzwi”, nareszcie mógł 4 marca na 26. Gali „Polskich” Orłów zachłysnąć się wolnością. „Dziękujemy Ci za ten haust wolności”, Andrzej Sewerynie, prezydentce Darku Jabłoński i prezydentko Agnieszko Holland.

Już kilka dni przed galą przyznano Agnieszce Holland Orła za osiągnięcie życia. W trakcie gali prezydent Jabłoński zaprezentował na ekranie cytaty: „Ikoniczne zdjęcie” Agnieszki Holland samotnie stojącej przed Sejmem naprzeciw watahy policyjnych osiłków! Prawdziwie ikoniczne i heroiczne zdjęcie to był obraz samotnego studenta na placu Tiananmen zatrzymującego w 1989 r. reżimowy czołg! Fotka Holland to zwykła ustawka. Osiem lat temu powstało jej podobne zdjęcie. Na Krakowskim, pod św. Anną. Pani Holland to wytrawna polityczka, propagandystka w drugim już pokoleniu.

Po odebraniu nagrody wygłosiła polityczne przemówienie o wolności i walce za złem: „Żyjemy dzisiaj w świecie, którym zaczynają rządzić potwory”. Schlebiam sobie –

poczułem się trochę jak jeden z tych „potworów”.

Prezentację filmografii Holland Dariusz Jabłoński mocno ocenzurował. Nie wspomniano o filmach nieudanych. A ja pragnę przypomnieć film „Mężczyzna niepotrzebny” z 1981 r. powstały według udanego scenariusza Agnieszki Holland! Dramat ten był/jest bardzo mocnym protestem przeciw aborcji! (Polecam go wszelkim „filmoznawcom” z Onetu).

Za najlepszy film Orłów ’24 uznano „Zieloną granicę”. Co wywołuje natrętą poprawność polityczną? Dlaczego nudny (2 h 26 min) czarno-biały pseudodokument staje się „kanonem” obowiązkowych zachwyków? Reżyserka z premedytacją stosuje wszelkie „stałe elementy propagandowych trików”. Dwa razy dziecko sika w majtki, kilka razy dzieci są głodne. Maciej Stuhra cierpi na brak erekcji, bo faszyści maszerują przez Warszawę (chodzi o Marsz Niepodległości), strażnicy graniczni – sadyści przerzucają przez druty kolczaste Arabkę w zaawansowanej ciąży. W rezydencji Stuhra młodzi emigranci z Konga mówią literacką francuszczyzną i zawstydzają brakiem wiedzy nastolatków – dzieci Stuhra. Takich psychologicznych szablonów Holland stosuje w filmie kilkanaście. Mamy podręcznikową socjalitkę. Ponoć włoscy dziennikarze w Wenecji po projekcji siedzieli na schodach i głośno płakali ze wzruszenia!

Na zakończenie gali pani Holland zażartowała głośno do producenta „Zielonej granicy”: „Byłeś w dużym niebezpieczeństwie”, bo ja „mam kilka paszportów”. Kilka, to znaczy: francuski, polski, amerykański? Czeski? Izraelski?

Tak więc Orła za osiągnięcia życia i najlepszy film zdobyła Pani Europejska Poprawność Polityczna. © ©



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

KINO

Ziemia i wolność



★★★★★
REŻ. NIKOLAJ
ARCEL
„BĘKART”
(„BASTARDEN”)
DANIA 2023

wyst. Mads
Mikkelsen, Amanda
Collin, Simon
Bennebjerg

Opowieść jak z Dzikiego Zachodu – samotny ranczer kontra bogaty, bezlitosny i zachłanny sąsiad. Tyle że akcja rozgrywa się w Danii w XVIII stuleciu. Emerytowany kapitan, bękart, który o własnych siłach wspina się mozolnie w górę społecznej drabiny, rusza na jutlandzkie wrzosowiska, by dokończyć niemożliwego: na niegościnniej, piaszczystej ziemi rozpocząć uprawy. Król sprzyja jego wysiłkom, ale jest daleko, tymczasem miejscowy magnat Schinkel robi wszystko, żeby kpt. Kahlen poniósł klęskę. Wszystko, to znaczy, że on i jego siepacze nie cofną się przed niczym, otrzymujemy więc nie western, lecz posępny nordycki historyczny sado-noir.

Film Nikolaja Arcela jest przede wszystkim popisem

aktorskim Madsa Mikkelsena w roli głównej. Kahlen to postać stworzona dla niego, kreacja jest oszczędna, a mimo to pełna wyrazu. W walce o własny kawałek ziemi nie ma ani krztu romantyzmu, to straszliwy znoj, w którym mało kto chce mu pomóc, a trudnych, okrutnych wyborów dokonywać trzeba co chwila. Budzi się w nim coś więcej, ale nigdy nie traci z oczu celu. W porównaniu z nim wszyscy inni zdają się postaciami nakreślonymi ledwie szkicowo. „Bękart” jest opowieścią trochę w duchu „Kosa” Pawła Maślony, ale na poważnie. No i zapatrzony w postmodernistyczne zabawy polski reżyser nigdy nie zdobywa się na tak mocną deklarację, że ziemia to wolność, że własność to wolność.

Arcel po sukcesie „Kochanka królowej” (2012) dostał swą szansę w Hollywood, ale jego ekranizacja „Mrocznej wieży” Stephen Kinga okazała się rozczarowaniem. W swoich klimatach czuje się dużo lepiej, „Bękart” to jego najlepszy i najbardziej dojrzały film. Co nie znaczy, że pozbawiony wad: o ile postać Ann Barbar, kobiety, która dzieli los Kahlena, nakreślona jest intrygująco, o tyle czująca miętę do kapitana arystokratka Edel jest dość typową „damą w opałach”, którą ratować trzeba przed złym samcem. Cień prawdziwego dramatu kryje się w relacji Edel i Kahlena, ale zabrakło miejsca, by ów dramat wybrzmiał: Czy może ich łączyć prawdziwe uczucie czy jest to jedynie chęć wykorzystania się nawzajem (ona dla ucieczki przed niechcianym małżeństwem, on – by dalej piąć się w górę hierarchii społecznej)? Kahlen to figura historyczna, jego dzieje nie przynoszą łatwego pocieszenia, ale „Bękart” to dobre kino, choć nie dla każdego. ©©



NOWE SERIALE: „CZERWONA KRÓLOWA”

Ekranizacja bestsellera Juana Gomeza-Jurado, pierwszego z serii o Amandzie Scott. Bohaterka tyleż genialna (IQ 242), co ekscentryczna, bo za swe zdolności płaci zdrowiem psychicznym. Wciela się w nią Vicky Luengo, a partnerem w śledztwie jest niedźwiedziowaty Gutierrez (Hovik

Keuchkerian), postać wzorowana na Milo Sturgisie z książek Kellermana (policjant gej o złotym sercu). Coś dla fanów thrillerów Jamesa Pattersona i Stiegra Larssona. ©©

Piotr Gociek

• sezon 1 „Czerwona Królowa” („Reina Roja”), Hiszpania 2024

prime video

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Taika Waititi „Pierwszy gol” („Next Goal Wins”), USA 2023
- miniserial „Nowa konstellacja” („Constellation”), USA/Francja 2024
- reż. Jakub Piątek „Pianoforte”, Polska 2023



Kwiaty z Auschwitz

KINO

Powtórzę za myszami pożerającymi taśmę filmową: „Książka była lepsza”. Co nie znaczy, że genialna. Martin Amis celował w moralitet. Analizując mroki teutońskiej duszy (a w posłowie nawet przypadek Hitlera), zastanawiał się, czy w cieniu komór gazowych mogły rozkwitać uczucia inne niż nienawiść. Jonathan Glazer obszedł się z tą prozą brutalnie. Pozostawił tylko tytuł, miejsce akcji i dwoje bohaterów, którym przywrócił prawdziwe imiona i nazwiska. Komendant obozu zagłady, Doll, prymityw i alkoholik, stał się Hössem – obsesyjnie dbającym o higienę pedantem. Wieczorami głowi się, jak usprawnić wydajność krema-

torium i czyta dzieciom bajki na dobranoc. Hannah gardziła mężem, Hedwig go wspiera. Ma się w Auschwitz jak pączek w maśle – tak kocha swój ogród, oddzielony murem od obozu, że odmawia wyprowadzki.



★★★★★
REŻ. JONATHAN GLAZER
„STREFA INTERESÓW” („THE ZONE OF INTEREST”)
WIELKA BRYTANIA/POLSKA/USA 2023

wyst. Christian Friedel, Sandra Hüller, Freya Kreutzkam

Amis stworzył galerię ludzkich typów. Glazer zawęził perspektywę do jednej rodziny i jednej postawy. Hösseowie – oraz ich goście – udają, że nie słyszą krzyków mordowanych i nie czują zapachu palonych zwłok. Tezę o banalności zła trudno nazwać odkrywczą, akcja zaś toczy się na jałowym biegu. Filmowa „Strefa interesów” jest monotonnym, wyzutym z emocji manifestem minimalizmu. ©©

Wiesław Chełmniak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

TOWARZYSZU, POMÓŻCIE!



Wśród filmów udostępni-nych przez Ninatekę z okazji 92. urodzin Jerzego Hoffmana największym kuriozum są „Trzy kroki po ziemi”. W tej hybrydzie fabuły i dokumentu udało się pokazać część prawdy o gomułkowskiej Polsce, lecz za wysoką cenę. Po latach rzuca się w oczy przede wszystkim namolna propaganda. Jej nośnikami są partyjniacy upozowani na świeckich świętych. Niczego nie chcą dla siebie. „Działacz społeczny” z pierwszej noweli nawet mieszkanie odda bardziej potrzebującym. Lekarka z części trzeciej nie ma w torebce czerwonej legitymacji, więc w ratowaniu umierającego dziecka muszą jej pomagać chwały z Milicji Obywatelskiej. Chwała Bogu, w PRL wszystkie trudności były przejściowe. Film, nagrodzony w Moskwie, okazał się łabędzim śpiewem tandemu Hoffman/Skórzewski. Podobno rozdzieliła ich wódka, ale nie da się ukryć, że jako dokumentaliści doszli do ściany. Pozostała ucieczka w historię. ©©



★★★★★
REŻ. JERZY HOFFMAN, EDWARD SKÓRZEWSKI
„TRZY KROKI PO ZIEMI”
POLSKA 1965

wyst. Ludwik Pak, Tadeusz Fijewski, Anna Ciepielewska

EGOIŚCI W GŁUSZY

Rakuten

Natura wzbudza w mieszcuchach lęk wręcz zabobonny, nie mówiąc o możliwości znalezienia się „poza siecią”. Dlatego pomysł, by na okrągły rok odciąć się od cywilizacji i zamieszkać nad jeziorem otoczonym gęstym lasem, od początku rokuje kiepsko. Stine i Teit, jak na milenialsów przystało, pragną być eko. Doszli do wniosku, że na łonie przyrody łatwiej będzie wychować synka tudzież przełamać twórczy kryzys (ona pisze powieść, on nagrywa podcast). Z czasem wyjdzie na jaw, że chcą też naprawić związek. Przyjechali z Kopenhagi, która uchodzi za najbardziej przytulną z europejskich stolic. I jak tu wierzyć rankingom? Potem robi się jeszcze dziwniej. Reżyserka debutantka trochę potyka się o własne nogi, aktorzy wyglądają na totalnie zdezorientowanych, ale napięcie rośnie. Hollywoodzka zasada, że psu ani dziecku nie może stać się krzywda, w Skandynawii nie obowiązuje. ©©



★★★★★
REŻ. KAROLINE LYNGBYE
„SUPERPOSITION”
DANIA 2023

wyst. Marie Bach Hansen, Mikkel Boe Følsgaard, Mihlo Olsen

Wiesław Chełmniak

GRA TYGODNIA: „MARIO VS. DONKEY KONG”

Mario goni za Donkey Kongiem, by odzyskać skradzione figurki. Każda misja rozpoczyna się od odnalezienia klucza (a raczej sposobu, by się do niego dostać), a następnie dojścia z nim do zamka, za którym kryje się figurka. Misje składają się na etap, który kończy

się konfrontacją z tytułowym antagonistą. Kolejne udane odświeżenie i rozbudowanie gry sprzed lat. Wygląda ładnie, wciąż jest grywalna, dobrze sprawdzi się jako gra dla młodszych i starszych. Na najniższym poziomie trudności nie jest zbyt wymagająca,



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ale już ukończenie jej na 100 proc. wymaga pewnego zaangażowania.
©©
Radosław Wojtas
• **Gatunek:** platformowa
• **Platforma:** Nintendo Switch
• **Producent; wydawca PL:** Nintendo, ConQuest

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Graj, piękny Cyganie

Ujęło mnie wyznanie bohatera tej książki, który już na jej początku stwierdza: „Moje serce nie ma rozumu”. Niestety, w trakcie lektury u czytelnika rośnie przekonanie, że nie tylko serce Michała Urbaniaka, tytułowego „Michasia”, cierpi na rozumu tego niedostatek.

W każdym razie sławny muzyk jazzowy, jak powiadał Tadeusz Konwicki, nie obcyndala się. „Nie lubię się pierd... z tematem” – oświadcza. Ma 81 lat i wie, co mówi. A już z dzieciństwa zapamiętał, że Polska „to taki kraj łapówkarzy i cwaniaków, którzy szczekają do czasu, kiedy przestawi się im przed pyskiem trochę szmalcu”. I to się nie chce zmienić: „Nie mogę się nadziwić, że Polacy są tak skostniałym i sfrustrowanym narodem”. Nic dziwnego więc, że w czasach pandemii stawiał sobie pytania: „Co ja robię w Polsce?” i „Po co tu jestem?”, skoro jego uczuciowy dom znajduje się w Nowym Jorku.

Rozmowy prowadzone z Urbaniakiem przez Jacka Góreckiego odbywały się jeszcze w straszliwych czasach PiS-owskich rządów, które „rozpiera.... kraj”, a królowały „hucpa, cyrk, disco polo i nacjonalizm”. Jego polityczne preferencje są oczywiste; w końcu Rafał Trzaskowski nosił na rękach, a ten mu po latach się odwdzieczył, zapraszając na Campus, „wspaniałe miejsce do dialogu i spotkania z młodymi ludźmi, bez wciskania propagandy, bzdur mających wypruć mózgi”.

Ma swoje autorytety: „Miles Davis jako guru muzyki. Jeśli chodzi o heroizm i walkę o wolność, to zawsze będzie to Lech Wałęsa. Był, jest i będzie dla mnie najważniejszym prezydentem. I Barack Obama za całokształt”.

Niestety, jak wiadomo, większość Polonusów w Ameryce jest

innego zdania: „Polonia w Chicago masowo głosowała na Donalda Trumpa” – ubolewa muzyk. A już o polskich wyborach teź lepiej nie mówić. „Uważam, że ktoś, kto od kilkunastu albo kilkudziesięciu lat nie mieszka w tym kraju, nie powinien mieć prawa do głosowania” – wyrokuje, zapominając, że i on przez lat 13 żyjący w Ameryce byłby, zgodnie z jego pomysłem, tego prawa pozbawiony. Prawdopodobnie z korzyścią dla wszystkich.

Oczywiście najwięcej jest w tej książce o muzyce, o jazzie, gorzej, że i o kulturze w ogóle. Narzeka np. Urbaniak, że nawet w czasach komuny było pod tym względem lepiej, choćby dlatego, że na festiwalach opolskich występowali Czesław Niemen, Ewa Demarczyk i Zbigniew Wodecki, a dzisiaj nie...

Dotyka też innych kwestii, także tych drażliwych. „To wielce niesprawiedliwe, że z Romka Polańskiego robi się pedofila. Widziałem w moich łódzkich czasach symbiozy jazzu z filmem, czyli na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, całą masę nieletnich dziewczyn, które świadomie pchały się do łóżka starszym i znanym facetom. Wtedy nie było social mediów i smartfonów, życie towarzyskie kwitło. Obowiązywało hasło: wino, kobieta i śpiew”. Ośmielam się zauważyć, że hasło to znane było już grubo wcześniej, i to nie tylko w kręgach artystycznych. A smartfony nie mają tu nic do rzeczy, bo albo ktoś potrafi zrobić użytek z trzech komórek (bynajmniej nie telefonicznych), które posiada, albo nie. A jeśli nie, to niestety nawet ktoś taki jak „Romek” w świetle prawa jest pedofilem i już.

A skoro o seksie... Naprawdę w opowieściach o tym, jacy to fajni

byliśmy jeszcze wczoraj, przydałoby się rozkosznemu „Michasiowi” trochę dyskrecji. Pewnie, że o zmarłych trudno mówić wyłącznie dobrze, ale niektóre z jego historii, zwłaszcza te, w których żadna z występujących w nich osób nie była trzeźwa, lepiej byłoby sobie darować.

We wstępie książki autor tak przedstawia swojego bohatera: „Artysta. Jazzman. Prekursor. Niepoprawny romantyk. Momentami bluźnierczy. Niewinny marzyciel. Czarodziej dźwięków. Stworzony z kobiet. Możliwe, że podobnie jak w przypadku Felliniego, Urbaniak jest kobietą. A przynajmniej jego dusza. To cholerny wrażliwiec. Amerykanin urodzony w Warszawie, wychowany w Łodzi. Ale przede wszystkim człowiek, który kocha. Kocha życie. Hedonista. Smakosz. Dla niektórych bluźnierca”.

Z bluźnierstwami nie przesadzałbym, nie utożsamiając z nimi każdego głupstwa wygadywanego przez starzejącego się muzyka. W sumie przykra to lektura dla kogoś takiego, jak piszący te słowa, który pamięta Michała Urbaniaka i z jego nagrań z Czesławem Niemenem i Wojciechem Młynarskim, i z koncertów na Jazz Jamboree, i z pamiętnego występu w Filharmonii Narodowej w 1973 r., gdy publika wyważyła drzwi wejściowe niczym na koncercie Stonesów. A i później śledziłem jego dokonania na rynku amerykańskim, udział w nagraniu „Tutu” z Milesem Davisem, występy z Weather Report, Herbiem Hancockiem, Chickiem Coreą... No cóż, był jazz. I tu trzeba położyć akcent na „był”, dochodząc do niewesołych wniosków, że „kiedy człek się robi starszy, wszystko w nim powoli parszy...”. ©



★★★★★
JACEK GÓRCEKI
„MICHAŚ.
WYWIAD RZĘKA
Z MICHAŁEM
URBANIAKIEM”
MARGINESY,
WARSZAWA 2024



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Fantazja polska

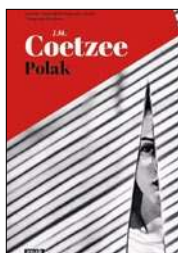
Jak Polska, to Chopin – problem z banalnymi stereotypami polega na tym, że nazbyt często są prawdziwe. Jak nas słyszą, tak nas piszą, więc gdy oczekująca klimakterium Beatriz, bogata mężatka z Barcelony, ma poznać kogoś, kto zmusi ją swym romantycznym porywem do przemyślenia życia, to oczywiście będzie to Polak grający Chopina. Starszy od niej o 30 lat, obdarzony bujną srebrną grzywą, wyglądający jak brat Maxa von Sydowa („To von Sydow wygląda jak mój zły brat” – twierdzi Witold). To nie harlequin, to nowa powieść noblisty (nagroda z roku 2003), wydana premierowo po hiszpańsku (czyżby angielskim wydawcom zdała się mało odkrywcza?).

Choć są tu kawałki dobrze napisane, to całość nie trzyma się kupy. Wszystko dzieje się deus ex machina, bez wytłumaczenia, ot tak, bo akurat autorowi pasowało. Dlaczego romantyczny Polak w sekundę zakochał się w Hiszpance? Dlaczego Hiszpanka mu uległa? Co chciał powiedzieć, przesyłając jej – już zza grobu, bo mówimy o zapisie z testamentu – 84 wiersze napisane specjalnie dla niej? Nic, nic, nic. Wiersze, w dodatku koszmarnie. A taki Vladimir Nabokov poszedłby pewnie na całość i uczynił

z dziejów romansu Witolda i Beatriz barwny przypis do kunsztownej poezji (wspomnijmy „Błady płomień”).

„Polak” to opowieść pretensjonalna, a nieustanne próby porównywania kochanków do Dantego i Beatrycze, do Orfeusza i Eurydyki są po prostu nie do zniesienia. Nic w tym, co przed nami nakreślono, nie sprawia też, żebyśmy mieli ochotę jakoś bardziej przejąć się losami bohaterów. Mocne są rozważania o starości, ale może żeby w pełni docenić ich gorzki smak, trzeba samemu mieć siedemdziesiątkę?

Skoro już wywołano naszą nację w tytule: dowiemy się o Polsce i Polakach tylko tego, żeśmy sentymentalni i nie do zrozumienia, że Żydzi nas nie lubią, bo kiedyś było źle, „a teraz jest gorzej” (nie mam pojęcia, co Coetzee miał na myśli), że nadal istnieją u nas konduktory w autobusach. I że w Polsce „całe wieki śmieci nazbierane, a my ich nie grzebiemy”. „Żeby kochać Polskę, trzeba się w niej urodzić”. I tak dalej. Ale że i ślepej kurze też się czasem trafi ziarno, to jedna sentencja ma sens: Polska „jest uwięziona w przeszłości”. Słaba książka dobrego pisarza. Zdarza się. ©©



★★★★★
J.M. COETZEE
„POLAK”
ZNAK 2024

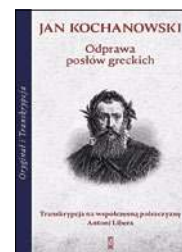
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Kolejna publikacja w znakomitej serii „Myśl o kulturze”. Pięć radiowych wykładów wybitnego antropologa, wygłoszonych w 1977 r. Słowo wstępne przygotował Andrzej Wójtowicz.



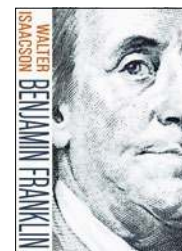
CLAUDE LÉVI-STRAUSS
„MIT I ZNACZENIE”
NARODOWE CENTRUM KULTURY

Oryginał i transkrypcja, której dokonał (jakże udanie!) Antoni Libera na współczesną polszczyznę, przywracając czytelnikowi pierwszą polską tragedię. Przypisy autora transkrypcji, wstęp: Paweł Stępień.



JAN KOCHANOWSKI
„ODPROWA POSŁÓW GRECKICH”
PIW

Obszerna biografia jednego z założycieli Stanów Zjednoczonych – w sam raz, by przypomnieć sobie o historii, nim zaczniemy w kwietniu oglądać miniserię Apple TV+ z Michaeliem Douglasem w roli głównej.



WALTER ISAACSON
„BENJAMIN FRANKLIN”
ZYSK I S-KA

Znany historyk antyku („Pax Romana”, „Upadek Kartaginy”) w nowym wcieleniu, jako autor powieści historycznych. Początek serii, której akcja rozgrywa się w Brytanii, dwie dekady przed budową muru Hadriana.

recenzuje Piotr Gociek



ADRIAN GOLDSWORTHY
„VINDOLANDA”
REBIS

KOMIKS TYGODNIA:

„THORGAL. TYSIĄC OCZU”

Choć ukazują się regularnie także tomy trzech innych serii o bohaterach ze świata Thorgala, to wciąż najważniejszy pozostaje cykl oryginalny. Od roku 1980 ukazało się już ponad 40 albumów („Tysiąc oczu” to publikacja nr 41). Scenarzystą cyklu stworzonego przez duet



YANN VIGNAUX
„THORGAL. TYSIĄC OCZU”
STORY HOUSE
EGMONT 2024

Van Hamme – Rosiński jest dziś Yann, a rysownikiem Fred Vignaux.

Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Jeszcze więcej Matejki

Jan Matejko ma w Zamku Królewskim w Warszawie swoją stałą galerię z ikonycznymi wielkoformatowymi pracami. W najbliższych miesiącach w tej przestrzeni będzie można zobaczyć mniej znane prace polskiego wieszczu pędzla. To dzieła z kolekcji prywatnych, rzadko pokazywane publiczności.

„O historii naszej ojczyzny myśliśmy obrazami stworzonymi przez Jana Matejkę, często nawet o tym nie wiedząc – piszą organizatorzy wystawy. – Choć w powszechnej pamięci zapisał się przede wszystkim jako twórca monumentalnych płócien, kipiących dramatyczną ekspresją oraz bogactwem symbolicznych i historiozoficznych treści, Jan Matejko spełniał się także w innych formach wyrazu, m.in. jako wrażliwy portrecista i rysownik”. Portrety stanowią blisko jedną trzecią wszystkich obrazów namalowanych przez Matejkę, który malował je też na zamówienie, ale powtarzał: „Żeby ja namalował portret, ta twarz musi coś wyrażać”. ©©

GDZIE? Zamek Królewski w Warszawie
KIEDY? do 26 maja



FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE



FOT. MCK

Z ODZYSKU

Bogusław Bachorczyk od lat kolekcjonuje najróżniejsze przedmioty, rzeczy, które w jakiś sposób go zaintrygowały czy ujęły, by próbować nadać im status dzieła sztuki. „Czy znalezione, bezużyteczne przedmioty albo śmieci wyrzucone na brzeg przez morskie fale mogą stać się dziełami sztuki? – pytają jakby retorycznie autorzy wystawy w MCK. – Bogusław Bachorczyk w swoich najnowszych pracach wykorzystuje właśnie takie materiały. Układa je w nowe, zaskakujące kombinacje, łącząc elementy naturalne ze sztucznymi”. ©©

GDZIE? Kraków, Międzynarodowe Centrum Kultury
KIEDY? do 14 kwietnia



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Spotkanie na szczycie

Współpraca muzyków, którzy byli centralnymi postaciami sceny manchesterskiej lat 90., wywołała poruszenie na Wyspach. Liam Gallagher był wokalistą Oasis, najpopularniejszego brytyjskiego zespołu lat 90. John Squire był gitarzystą The Stone Roses, najważniejszej brytyjskiej formacji początku tamtej dekady.

Squire przygotował instrumentalne demo, które wedle zaleceń Liama miały zawierać wpływy dokonania Hendrixa, Sex Pistols, Faces i Bee Gees. Następnie duet przemieścił się do Los Angeles, gdzie pod nadzorem Grega Kurstina (Adele, Paul McCartney, Harry Styles) zarejestrował album. Do tego producent zagrał na basie i klawiszach, a skład

studyjnego zespołu uzupełnił perkusista Joey Waronker.

Album otwiera glamrockowy galop „Raise Your Hands”, który zawiera przesłanie dla starzejącej się publiczności: „Podnieś ręce, widzę was, jesteśmy żywi!”. Jest to zaproszenie do nostalgicznej podróży po rockowych brzmieniach, głównie z lat 70. Oprócz wcześniej wymienionych wykonawców wyraźnie słychać wpływy Beatlesów.

Jest to konserwatywny album, utrzymany w zrelaksowanej stylistyce wczesnych lat 70. Nawet jeśli melodie i przesłania nie są tak chwytliwe, jak to miało miejsce w czasach świetności obu muzyków, to na wspólnej płycie brzmią oni bardziej przekonująco niż w projektach solowych. ©©



★★★★★
LIAM GALLAGHER/JOHN SQUIRE
„LIAM GALLAGHER & JOHN SQUIRE”
WARNER



★★★★★
SEAN LENNON
„ASTERISMS”
TZADIK

Syn Johna i Yoko jest od końca ubiegłego

wieku cenioną postacią nowojorskiej sceny alternatywnej. Wydany przez wytwórnię Johna Zorna album Seana zawiera pięć instrumentalnych będących mieszkanką kosmicznego jazzu i psychodelicznych krajobrazów.



★★★★★
POZNAŃSKA ORKIESTRA
„ROZRYWKOWA PR I TV”
„MAGMA”/„DEKODER”
GAD

Po płytach orkiestr katowickiej i łódzkiej wytwórnia GAD odkurza na dwóch kompaktach nagrania poznańskiego big-bandu. Powstałe pod koniec lat 70. nagrania zawierają porywające aranżacje, funkowe rytmy i smyczkowe smaczki. Całość doskonale wytrzymała próbę czasu.



Grzegorz Kondrasiuk

Biografia Jerzego Grzegorzewskiego godzi bezbłędną faktografię, historię mówioną polskiego teatru i mądre interpretacje

FOT. MARTA ANKIERSCHEWICZ/ARCHIWUM ARTYSTYCZNE TEATRU NARODOWEGO



„To” – przypomnienie Jerzego Grzegorzewskiego

Rynek książki teatralnej rządzi się własnymi prawami. Wypuszcza czytała adresowane do jak najszerzego grona – popularne biografie, dzienniki gwiazd, wywiady rzeki – ale potrafi też zaskoczyć dziełami wykraczającymi poza schemat. Takim był „Dejmek” Magdaleny Raszewskiej i takim jest kolejne wydawnictwo Teatru Narodowego – „To. Biografia Jerzego Grzegorzewskiego” Maryli Ziełińskiej. Główna, bogato zilustrowana część w dwóch tomach i tom trzeci, z aneksem mieszczącym zbiór portretów, szkiców i notatek głównego bohatera oraz „kalendarium post mortem” doprowadzone do 2023 r.

Grzegorzewski: malarz, scenograf i kostiumograf, a przede wszystkim reżyser, dyrektor teatrów, który Teatr Narodowy po jego ponownym otwarciu, w latach 1997–2003 uczynił „domem Wyspiańskiego”. Jedną z ikonicznych postaci czasu świetności polskiej kultury, nieodwołalnie już zakończonę, co jest wyraźnie widoczne z dzisiejszej perspektywy i co książki takie jak „To” jeszcze dotkliwiej uświadamiają.

Artysta miał szczęście do biografistki, która komunikatywnie i wciągająco przekazała, „jaka tam była w Grzegorzewskim trucizna”, wychodząc poza teatrologię, czyli sporą półkę książek i artykułów teatro-

logicznych jak dotąd twórcy poświęconych. Opierając się na zbieranych przez lata i obszerne cytowanych świadectwach rodziny, współpracowników i środowiska teatralnego, stworzyła portret reżysera i zarazem przewodnik po jego teatrze, nie bez przyczyny uważanym za hermetyczny. Co ważne, przewodnik adresowany nie tylko do wielbicieli Grzegorzewskiego, lecz także do tych, którzy niewielkie mają o nim pojęcie, stykając się głównie z pogłosami, mitologizacjami czy negatywną legendą.

Niezaprzeczalnie Grzegorzewski był wizjonerem. Z ducha – jeden z ostatnich modernistów, choć dostrzeżenie tego faktu utrudnia awangardowy język jego spektakli. Miał dar tworzenia głębokich, niejednoznacznych metafor, zachowując przy tym doskonałą precyzję konstrukcyjną, co widać w realizacjach Teatru Telewizji, a nawet w technicznych rejestracjach. Jedną krótką sceną Grzegorzewskiego mogłaby obdzielić pomysłami z dziesiątek dziś powstających w naszych teatrach pełnowymiarowych spektakli, zbyt często cierpiących na uwiad wyobraźni.

Bo trzeba tu koniecznie dodać – nie byłoby o co się upominać, gdyby nie to, że Grzegorzewski wywarł wpływ i na kilka generacji aktorów polskich, i na reżyserów, choć pozostawał nieco w cieniu, posłu-

gując się szybko odchodzącym w przeszłość neoawangardowym językiem teatru, unikając roli nauczyciela. Dość powiedzieć, że w jego teatrze stworzyli się Wojciech Malajkat czy Zbigniew Zamachowski, nie mówiąc już o wielkich rolach aktorów pokroju Jerzego Radziwiłowicza czy Marka Walczewskiego. Jak to zwięźle ujął w którymś z filmów dokumentalnych Zamachowski: „Jerzy przerażał nasze granie z prozy na poezję”. Biografistka ujęła istotę tego talentu w formułę potrójnej pułapki. Grzegorzewski był jednocześnie pisarzem, artystą wizualnym i reżyserem, zawsze dążył do realizacji autorskiej wizji na tych trzech płaszczyznach (w duecie z niedawno zmarłym kompozytorem Stanisławem Radwanem). Nieumiejętność pracy na „pół gwizdka”, zwykłego chałturzenia, poczucie wiecznego pościgu na polu sztuki, konieczność sprostanienia najwyższym standardom w zmaganiach z tzw. oporem materii doprowadziły go do autodestrukcji. Frustracje, klęski, nadwrażliwość leczył alkoholem, o czym prosto, prawdziwie i bez sentymentu również opowiada Ziełińska.

W tej notce nie sposób nawet streścić najważniejszych wątków książki, godzącej bezbłędną faktografię, historię mówioną polskiego teatru i mądre interpretacje. W tym oceanie każdy znajdzie coś dla siebie. Ja

znalazłem opowieść o Polsce lat 90., która przeszła w przestrzeń nostalgii, co nie znaczy, że w pełni została zrozumiana i opowiedziana. Ta najbliższa, niepodsumowana i niezrozumiana przeszłość wciąż odbija się refleksami, odczuwamy jej konsekwencje. To czas końca teatru reżyserów i detronizacji kanonu kulturowego, co przekłada się na zamknięcie (klęskę?) projektu „domu Wyspiańskiego”. Ziełińska doкладnie opisała też niesławną kampanię prasową pod światłym przewodnictwem Romana Pawłowskiego, nie tylko cykl jego recenzji (bo nie był to tylko jednostkowy atak personalny pod pozorem recenzji ostatniego spektaklu reżysera w Narodowym), lecz także rozpaczliwy list twórcy do Adama Michnika. Końcowe rozdziały książki to lektura wręcz wstrząsająca, tym bardziej że autorka jest powściągliwa i unika łatwych ocen.

Nie mamy dobrej historii najnowszej polskiego teatru, jest za to sporo manifestów, dokumentów i bajek marketingowych. Książka Ziełińskiej zmniejsza tę wyrwę. ©

MARYLA ZIELIŃSKA, „TO. BIOGRAFIA JERZEGO GRZEGORZEWSKIEGO” (T. 1–2), „JERZY GRZEGORZEWSKI 1939–2005” (T. 3), TEATR NARODOWY, WARSZAWA 2023



Prezydent Macron idzie na wojnę?

FOT. THIERRY MONISSE/GETTY IMAGES



Wojciech Golonka

Buńczuczość prezydenta Emmanuela Macrona, który mówił o możliwości wysłania francuskich wojsk na Ukrainę, to niebezpieczna zabawa z ogniem przy becze prochu

Groźna komedia w kilku aktach czysto werbalnej demonstracji siły rządu prezydenta Emmanuela Macrona wobec Rosji trwała dokładnie tydzień. Tyle czasu minęło od ogłoszenia światu (w poniedziałek 26 lutego), że Francja rozważa wysłanie swych wojsk na Ukrainę bez względu na koszty, poprzez medialną insynuację, że Francja jest w zasadzie gotowa wysłać tam wkrótce swe siły specjalne, do ponownego obwieszczenia (w poniedziałek 4 marca), że Francja swych wojsk na Ukrainę jednak wysłać nie zamierza (choć nie wyklucza takiej możliwości w przyszłości!). W tym czasie francuski życzeniowy interwencjonizm został upokarzająco dezawuowany ze strony praktycznie całego Zachodu, ze Stanami Zjednoczonymi na czele. I w sumie bardzo dobrze, ponieważ jego nieprzemyślana (a może zamierzona?)

buńczuczność stanowiła niebezpieczną zabawę z ogniem przy becze prochu, w tym wypadku – przy becze zdolnej obrócić część naszego kontynentu w nuklearne zgłiszcz.

PERORA FRANCUSKIEGO KOGUTA

Tym wątkiem atomowym – który czasem, w porę, nie w porę, przypominam na łamach „Do Rzeczy” – nie szukam bynajmniej taniej sensacji. Zaczęłem po prostu od tego, co najważniejsze z punktu widzenia możliwych konsekwencji, bo w uznaniu głosów francuskiej prawicy (i nie tylko) był to pomysł szalony, niekonsultowany zresztą z tamtejszym marionetkowym parlamentem: mocarstwa atomowe, do których zaliczają się Rosja i Francja, nie rywalizują ze sobą bezpośrednio na polu walki, a jeśli już się wzajemnie „haratają”, to w ramach wojen zastępczych, jak ta obecna. Przypomnieli o tym zarówno prezydent Joe Biden na początku rosyjskiej inwazji na Ukrainę, jak i prezydent Władimir Putin przed nią i w jej trakcie, przy czym pierwszy powiedział, że bezpośrednia konfrontacja USA i Rosji jest po prostu niemożliwa, podczas gdy drugi powiedział, wskazując już na całe NATO, że w takiej konfrontacji nie byłoby zwycięzców.

Bardzo klarownie w obecnych okolicznościach wyraził to także doświadczony, były już polityk Philippe de Villiers, w obszerniejszym komentarzu dla fran-

cuskiej telewizji CNEWS, podkreślając, że gen. de Gaulle podporządkował powstającą za jego czasów politykę nuklearnego odstraszenia strategicznym interesom istnienia państwa francuskiego, które w przypadku wojny rosyjsko-ukraińskiej po prostu nie są zagrożone. Innymi słowy: nie igra się wojną atomową w obronie integralności terytorialnej Ukrainy, a ku temu, logicznie, zmierzałaby konfrontacja armii francuskiej i rosyjskiej... zakładając w ogóle potencjał armii francuskiej do jakiegokolwiek pełnoskalowej wojny. Po pierwsze, francuskie siły bezpieczeństwa i wojsko będą w najbliższym czasie pochłonięte zapewnieniem bezpieczeństwa igrzysk olimpijskich w Paryżu latem tego roku. Będzie to nie lada wyzwanie, biorąc pod uwagę realne zagrożenia terrorystyczne oraz możliwe kontestacje społeczne (strajki, blokady etc.) dążące od spektakularnego paraliżu państwa. A po drugie, sam program przywrócenia francuskim siłom zbrojnym ich zdolności bojowej do większego konfliktu zbrojnego został zaprogramowany na dekadę 2020–2029 i na razie nie przedawniły się konkluzje różnych komisji parlamentarnych i ekspertów o niegotowości armii do jakiegokolwiek poważnej wojny (samej amunicji miałoby starczyć ponoć na trzy dni, a wojsko nie byłoby zdolne utrzymać frontu szerszego od 80–100 km).

Możliwe jednak, że Emmanuel Macron, najbardziej świadom tej brutalnej rze-

czywistości, bynajmniej nie miał i nie ma zamiaru wysłania swych niedyspozycyjnych i niegotowych zastępów na dalekie ukraińskie stepy (gdzie, dla przypomnienia, francuscy ochotnicy walczyli ostatnio oficjalnie pod francuskim sztandarem w czasie drugiej wojny światowej, jako grenadierzy dywizji SS Charlemagne). Wręcz przeciwnie, patrząc na jego dotychczasowe rządy, jest wielce prawdopodobne, że perora francuskiego koguta pod jamą rosyjskiego niedźwiedzia była tak naprawdę zorientowana na bólczki jego polityki wewnętrznej, a trzeba pamiętać, że od czasów swej drugiej prezydentury, od 2022 r., Emmanuel Macron jest pozbawiony większości parlamentarnej, jego rząd – często autorytarnie, choć zgodnie z prawem – forsuje ustawy bez głosowań, w formie dekrétów, a jeśli nie doszło dotychczas do samorozwiązania tak notorycznie pozbawianego głosu Zgromadzenia Narodowego, to dlatego, że jego rozwiązania nie popierają z różnych powodów Republikanie i Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen.

W rzeczy samej, Emmanuel Macron musiał i nadal musi stawiać czoła poważnym kryzysom, by przypomnieć bunt złotych kamizelek, a także masowe demonstracje przy okazji reformy emerytalnej, a jego obóz w takich sytuacjach bez skrupułów korzystał ze strategii tworzenia nowych linii podziału w społeczeństwie, narzucając po prostu inne, dość kontrowersyjne tematy, odciągające jednak uwagę od najbardziej palącego problemu. Otóż w ostatnim czasie wybuchły we Francji bardzo poważne protesty rolników, a Emmanuel Macron został nawet przez nich pogoniony na słynnym corocznym Salonie Rolnictwa (gdzie ochoczo firmują się politycy). Takie wytłumaczenie, niewykluczające innych wątków (jak choćby chęci słownego rewanzu za postępy Rosji w Afryce kosztem interesów Francji), wydaje się najsensowniejsze, jeśli szukać sensu tam, gdzie w innym razie zdaje się go drastycznie brakować.

Emmanuel Macron zarzucił zatem, po prostu, Francuzom inny, burzliwy temat, a to, że wpłatał w tę rozgrywkę połowę Zachodu i Federację Rosyjską, mogło wizerunkowo być nawet korzystne – oto zamieszanie wokół widma francuskich czołgów testujących na Ukrainie skuteczność rosyjskiej broni przeciwpancernej

chwilowo przyćmiło wysłane do pacyfikacji rolników rzeczywiste pojazdy opancerzone francuskiej żandarmerii (zatem woj-ska!). Nie było nawet problemem, że ok. 80 proc. Francuzów byłoby przeciwnych podobnej wschodniej eskapadzie: wbrew, zdawałoby się, logice i PR akolici Emmanuela Macrona, ministrowie wystawiani w sytuacjach kryzysowych jako możliwi do podmiany po zużyciu prezydencki zderzak, głosili z największą powagą, jak szef MSW Gérald Darminin: „Rosja jest dziś głównym wrogiem Francji”, dodając nieco enigmatycznie, i być może pod adresem wszelkich kontestatorów polityki rządu, z rolnikami na czele: „W wojnie informacyjnej i agresywności na terytorium [Francji]”. Wtórował mu premier Gabriel Attal, komentujący słowa prezydenta: „Francja uczyni, cokolwiek trzeba, aby uniemożliwić rosyjską wygraną na Ukrainie”, choć już kilka dni później, po masowym dezawuowaniu tej polityki przez sojuszników Francji, szef MSZ Stéphane Séjourné, a prywatnie partner Attala, studiował nieco waleczność swego kochanka, ogłaszając z kolei, że konfrontacja z Rosją nie wchodzi w grę, a obecność sił francuskich na Ukrainie nie miałyby służyć bezpośredniemu udziałowi w konflikcie zbrojnym. W tym samym czasie „Le Monde” eskalował jednak, sugerując, że rząd jest gotowy wysłać siły specjalne na Ukrainę.

Po tygodniu tego strategicznego tanga z poważnymi minami w tę i w tamtą, za i przeciw tej kolejnej „śmiesznej” francuskiej wojnie, prezydent Macron najpierw, w zupełnie innym temacie, dopiął swego zamiaru wpisania „prawa” dostępu do aborcji do francuskiej konstytucji poprzez uroczyste finalne głosowanie obu izb parlamentu w Wersalu – a mniej więcej tyle samo, ok. 80 proc., Francuzów popierało to makabryczne posunięcie, co krytykowało wysłanie wojska na Ukrainę. Następnie, już bardziej dyskretnie, w ferworze jednak chwilowego zwycięstwa na tle polityki wewnętrznej, oznajmił on, że na dziś nie wyruszy z odsieczą Ukrainie, ale nie wyklucza tego w przyszłości.

Następnego dnia, będąc w Pradze, grzmiał ponownie: „Wojna powróciła na naszą ziemię [tego dnia rzeczywiście liczna grupa zamaskowanych napastników szturmowała liceum w podparyskim Cachan – przyp. W.G.], mocarstwa, którym puściły hamulce, rozszerzają zagrożenie i co dzień

atakują nas co raz bardziej – trzeba będzie zmierzyć się z wyzwaniem Historii z właściwą dlań odwagą”. Jednocześnie uspokajał, odmawiając „wejścia w logikę eskalacji” (którą wcześniej otwarcie proponował).

ZABAWA Z NIEDŹWIEDZIEM

Jeśli w ogóle traktować prezydenta Francji poważnie, to pojawia się pytanie, w jakiej innej sytuacji chciałby on zatem wysłać swe hufce do walki z Moskalami (główną, jeśli dobrze rozumiem ministra Darmanina, przyczyną zjawiska „decywilizacji” we Francji, by użyć określenia samego Macrona – tak jakby „sakralizację” aborcji w konstytucji Republiki podpowiedział mu sam Putin). Czy zrobi to w chwili, gdy będzie więcej chętnych do ekspedycji – wedle greckiej prasy chętne ponoć były Polska, trzy kraje bałtyckie i Wielka Brytania; zawsze coś – a Francja, pomijając kwestię, że mogłaby po prostu oberwać przy tej okazji paroma głowicami, niegotowa, będzie przede wszystkim kibicować ochotnikom i dokonywać symbolicznych dostaw sprzętu, którego sama już w zasadzie do wydania nie ma?

Przyznam, że czułem się nieswojo, widząc na tej dziwnej naradzie wojennej w Paryżu prezydenta Andrzeja Dudę siedzącego zaszczynie tuż obok ucieleśnienia samowznęczego Jupitera, który chwilowo przybrał postać boga Marsa. Wszak polscy politycy, zwłaszcza z prawej strony, cierpią na niedobór uznania ze strony zachodnich elit dla ich wkładu w polityczną odpowiedzialność za Europę, a Francuzi z kolei doskonale rozumieją ten nasz polski kompleks niedowartościowania. Wspomniany już Philippe de Villiers w swym świątynnym wystąpieniu przytoczył słowa asa francuskiej dyplomacji, a zarazem wielkiego łajdaka w polityce, Talleyranda: „Znam tysiąc sposobów, aby wywołać niedźwiedzia z jego jamy, ale żadnego, aby zawrócić go tam z powrotem”. Złota myśl do medytacji, jeśli na kimś kogucie pianie i czułe klepanie po plecach robiłoby wrażenie. Skądinąd, jeśli dramaturgia tego spektaklu rzeczywiście zdradza ciężkie położenie sił ukraińskich po zdobyciu Awdiijiwki przez Rosjan, to dlaczego nowe, eskalujące wojnę przełomowe pomysły na pokonanie Rosjan mają być bardziej skuteczne od tych dotychczasowych, jeśli formułują je ci sami ludzie, niekoniecznie skorzy do pokory i spójności?

Czy potrafimy dorównać determinacji Rosji?



Piotr Semka

Nie mam ochoty na czekanie, aż rosyjskie czołówki dotrą w końcu pod granicę polską. Dlatego wizja pedagogicznego dozowania pomocy dla Ukrainy budzi mój głęboki niepokój

Dawno, dawno temu moim pierwszym odkryciem w kategorii eseistyki historycznej była książka Stanisława Cata-Mackiewicza, zatytułowana dość figlarnie „Był bał”. Pozytywnie tę otwiera błyskotliwy esej, zderzający polskie myślenie o sukcesach Napoleona z zimną analizą tego, jakie były jego realne osiągnięcia w latach 1798–1815. Jak pisał Mackiewicz, czym innym była chwała Napoleona z powodu błyskotliwych zwycięstw w polu – pod Marengo, Jeną czy Austerlitz – a czym innym analiza

działań Napoleona w sensie dłuższego, wieloletniego planu politycznego.

„Napoleon był nie tylko najgenialniejszym zwycięzcą militarnym, ale także jako polityk wewnętrzny potrafił opanować swój naród – pisał Mackiewicz. – W polityce zewnętrznej był także zwycięzcą. Ale w swej polityce międzynarodowej Napoleon dążył do dwóch celów: do zwycięstwa nad Anglią i do pokoju. Przed każdą bitwą, która pozornie rozstrzygała losy świata, mówił oficjalnie lub nieoficjalnie o tym, że bitwa ta przyniesie pokój i że »złota i złoto Anglii« zostaną złamane. Tymczasem nie było ani tego pokoju, ani tego zwycięstwa nad Anglią [...]. Tylko że o ile zwycięstwo Napoleona było olśniewające, o tyle opór Anglii był jakby niewidoczny, dyskretny, powolny, nudny. O ile na czele jednej strony wojującej, tzn. Francji, stał geniusz rzucający grom po gromie, o tyle uporem angielskim, zwłaszcza po śmierci Pitta i Foxa, rządili ludzie bez wyrazu [...]. Napoleon wydaje się nam, i częściowo cudzoziemcom, być wielkim zwycięzcą, ponieważ przywykliśmy o każdej jego kompanii myśleć

osobno [...]. Zapominamy o tym, że wojna z Anglią toczyła się ciągle i że pokoje z Austrią, Prusami, Rosją, że zwycięstwo nad Papieżem – nie powodowały zwycięstwa nad krajem, który był powodem rozpoczęcia tych wszystkich wojen w Europie”.

Stanisław Mackiewicz wielokrotnie podziwiał w Anglii coś, co nazwał instynktem państwowym, który podzielał lub respektował cały naród. Przykładając to do sprawy konfliktu Anglii z Napoleonem, podziwiać możemy w Brytyjczykach to, że przekonanie, iż trwanie u władzy Korsykańina jest śmiertelnym zagrożeniem dla Brytanii, było podzielane zarówno przez czołowych polityków, bitnych generałów, biznesmenów, jak i przez najprostszego chłopca okrętowego na statkach Jego Królewskiej Mości. Tylko dzięki tej zgodności opinii Wielka Brytania przeczekwała Napoleona i w końcu uwięziła go na skalistej wysepce, położonej gdzieś wśród przestworów Atlantyku u wybrzeży Afryki.

Nikt w Londynie, Liverpoolu czy Edynburgu nie buntował się przeciwko polityce konsekwentnej walki z Napoleonem, np. argumentując, że brak handlu



Wobec takich państw jak Rosja Zachód musi mieć wypracowaną wieloletnią koncepcję powstrzymywania i gotowości do ewentualnej konfrontacji militarnej

planach agresji, koncepcjach destabilizacji sąsiadów czy ideologicznej koncepcji zlikwidowania Ukrainy jako wytworu sił wrogich Rosji. Tyle że zły los sprawił, iż dawna Rosja sowiecka zamieniła się w nowy twór państwowy, pod wieloma względami przypominający dawny ZSRS, który ma wobec reszty świata bardzo niepokojące zamiary. Wobec takich państw Zachód musi mieć wypracowaną wieloletnią koncepcję powstrzymywania i gotowości do ewentualnej konfrontacji militarnej.

W Polsce istnieje pewien nurt opisywania tego problemu w sposób, który – powiem szczerze – mnie zdumiewa. Sugeruje on, że po stronie Zachodu, a szczególnie po stronie elit Stanów Zjednoczonych, występuje jakiś imperatyw wciągania państw Europy Środkowej do wojny z Rosją na zasadzie ideologicznej, irracjonalnej obsesji. Ma to swoje konsekwencje. Skłania to do opisywania publicystyki, która zachęca do determinacji w powstrzymywaniu rosyjskich niepokojących ciągów, jako „partii wojny” czy „zwolenników eskalacji napięcia”. Powoduje to odwrócenie perspektywy. Akcentowana jest wojowniczość przeciwników Rosji, a agresywna polityka Putina uznawana jest za coś na tyle oczywistego, że nie warto o tym pisać.

Jednak jest jeszcze inna konsekwencja tego i zauważyć ją można w polemizującym ze mną tekście Łukasza Warzechy „Twarda gra” („Do Rzeczy” nr 9/2024). Warzecha, prezentując poglądy swoich ulubieńców – Haassa i Kupchana – pisze: „Wskazywali [oni] na jeszcze jeden aspekt. Twierdzili, że realistycznie rzecz biorąc, z punktu widzenia Kijowa dążenie do odzyskania odebranych przez Rosję terenów jest nieracjonalne i wręcz szkodliwe. Wskazywali, że mowa o terenach zniszczonych często do gołej ziemi, których odbudowa pociągałaby za sobą

z Francją bardzo zaszkodzi gospodarce wyspiarzy.

Dlaczego przytaczam ten wywód myślowy Stanisława Mackiewicza? Dlatego że wyrażnym elementem jednego z nurtów myślenia o konflikcie wojny Rosji z Ukrainą, który zauważam także w tekstach mojego redakcyjnego kolegi Łukasza Warzechy, jest ciągłe wypatrywanie jakiegos odpowiedniego momentu do zakończenia tej wojny na zasadach uświęconych zaczarowanym pojęciem realizmu. Tak jakby zimna, długotrwała determinacja powstrzymywania agresywnej polityki Rosji była czymś nieosiągalnym.

POZORNY REALIZM

Zazwyczaj punktem wyjścia do chwaleń „realistycznych” projektów zamrożenia lub zakończenia konfliktu rosyjsko-ukraińskiego jest skonstruowanie ich z jakimiś wcześniejszymi optymistycznymi napomknieniami polityków czy publicystów niechętnych Moskwie. W kółko słyszymy przypomnienia o pyszałkowatych rachubach rozsypania się potencjału Rosji, wyjścia na jaw we-

wewnętrznej słabości armii rosyjskiej czy też nadziejach związanych ze skierowaniem na front nowoczesnej broni zachodniej. Tak, bywały i takie niemądre głosy. Tyle że mojemu koledze po piórze służą one jako wygodne tło do zachwalanego jako „realizm” tego czy innego projektu amerykańskich analityków, dotyczącego „możliwych wariantów zakończenia gorącej fazy walk”. Ulubionymi przedstawicielami amerykańskiego establishmentu, którzy formułują takie zalecenia oparte na założeniu, że trzeba będzie uznać zagarnięcie części ziem Ukrainy przez Rosję na stałe, jest duet analityków Richard Haass i Charles Kupchan.

Dlaczego nie przekonują mnie ich analizy? Bo zawierają założenie, że Rosja ma jakiś przewidywalny limit zdobyczy terytorialnych czy celów politycznych, po którego osiągnięciu państwo Putina stanie się w miarę normalnym krajem sąsiadującym z Europą Środkowo-Wschodnią. Przyjmowanie takiego założenia jest skądinąd cechą normalności polityków Zachodu, którym obca jest wizja prowadzenia polityki opartej na ciągłym nowych

■ wysiłek niewspółmierny do korzyści, a gdyby z niej zrezygnować, byłyby to obszary bez wartości. Ich obrona wymagałaby zaangażowania dodatkowych środków i ludzi, a z jednym i drugim Kijów ma coraz większe problemy. Państwo ukraińskie zatem zamiast starać się o ich odzyskanie, powinno skoncentrować się na konsolidacji obszaru, który faktycznie kontroluje, oraz zadbaniu, aby na przyszłość odstraszyć napastnika. Ta argumentacja wydaje się spójna i rozsądna, o ile wychodzi z punktu widzenia opartego na chłodnym rachunku, a nie na emocjach. Ba, takie podejście jest również korzystne dla Polski, jeśli uznajemy, że w naszym interesie jest Ukraina zdolna do obrony i odizolowania nas od agresji rosyjskiej”.

KIERUNEK KIJÓW?

I znów w sposób arbitralny Łukasz Warzecha radzi Ukraińcom, co jest dla nich racjonalne. Tyle że niech przyjmie do wiadomości, że ktoś inny może uznawać to za nieracjonalne. Choćby na zasadzie przyrównania zaboru części wschodnich ziem Ukrainy przez Rosję do praktyki porzucenia zasady zero tolerancji dla przestępczości w Nowym Jorku przed objęciem władzy w tym mieście przez Rudolpha Giulianię. Giuliani zanegował wtedy stosowaną przez jego poprzedników doktrynę zaniechania ścigania przez policję mniejszych przestępstw, tak aby nie marnować pieniędzy na walkę z tym, co jest teoretycznie mniej szkodliwe społecznie niż ciężkie przestępstwa. Nowojorski republikański burmistrz wskazywał, że świadomość bezkarności pomniejszych przestępstw demoralizuje sprawców i rozzuchwala. I pośrednio pcha do coraz poważniejszych aktów kryminalnych.

Dlatego z mojego punktu widzenia na kwestie zagarniętych obwodów donieckiego, ługańskiego czy części obwodu zaporoskiego nie można patrzeć jedynie pod kątem tego, czy zostały one w dużym stopniu zburzone i czy opłaca się ich odbudowa. Zaakceptowanie zaboru wschodnich prowincji niepodległej Ukrainy może przekonać Rosję, że na zasadzie taktyki salami trzeba powoli przesunąć się w kierunku centralnej części państwa ukraińskiego. W drugą rocznicę wybuchu tzw. pełnoskalowej wojny Rosji z Ukrainą Dmitrij Miedwie-

Rosja postrzega słabnięcie zachodniej pomocy wojskowej dla Kijowa jako wskazówkę, że trzeba jeszcze mocniej naciskać na Ukrainę

diew, zastępca szefa Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej, ogłosił, że Rosja prawdopodobnie zajmie Kijów prędzej czy później. Miedwiediew dość demonstracyjnie stwierdza, że „nie wie, gdzie Rosja powinna się zatrzymać”. Ale na jednej z map, które prezentuje, resztówka Ukrainy ograniczona jest do małego obszaru wokół Kijowa.

Problem w tym, że Rosja postrzega słabnięcie zachodniej pomocy wojskowej dla Kijowa jako wskazówkę, że trzeba jeszcze mocniej naciskać na Ukrainę. To nie są reakcje państwa zmęczonego dwuletnią wojną i wypatrującego jakiegoś wygodnego momentu do rozpoczęcia rozmów pokojowych oraz zamrożenia konfliktu.

CO MOŻE WASZINGTON? CO MOŻE WARSZAWA?

Można, owszem – i Warzecha to robi – zadawać pytania, czy Zachód jest w stanie utrzymać skalę dostaw broni i amunicji na Ukrainę. Tyle że w mojej opinii polską racją stanu jest zachęcanie przywódców państw zachodnich do utrzymania tej pomocy na poziomie gwarantującym przetrwanie państwa ukraińskiego. Łukasz Warzecha bardzo często w takich sytuacjach wybiera rolę realistycznego obserwatora. Ocenia praktykę polityczną Waszyngtonu, Paryża czy Berlina, a następnie stwierdza brak konsekwencji w kwestii kontynuowania pomocy i orzeka: fakty są takie, że pomoc słabnie, Ukraina w coraz większym stopniu sparaliżowana jest konfliktami na szczytach władzy i gołym okiem widać, że wojny na dłuższą metę nie jest w stanie kontynuować.

Tyle że takie oceny są jednocześnie samosprawdzającą się przepowiednią. Polska nie jest decydującym graczem w tej rozgrywce, ale w jej interesie jest zachęcanie Zachodu do kontynuowania pomocy. Sprawa jest o tyle bardziej dramatyczna, że jesteśmy świadkami rosnącego chaosu

po stronie Zachodu w kwestii pomysłu na pomoc dla Ukrainy.

ROZCHWIANIE ZACHODU

Marek Budzisz zwrócił niedawno uwagę, że dywagacje prezydenta Emmanuela Macrona w kwestii samego rozważenia wysłania żołnierzy NATO na Ukrainę mogły być demonstracją uświadomienia USA, co może się stać, jeśli amerykańska pomoc w szybkim tempie się nie zwiększy. Spór w Kongresie pomiędzy republikanami i demokratami, który wpłynął na opóźnienie i spowolnienie dostaw amerykańskiej amunicji dla frontu wschodniego, może mieć trudne do oszacowania konsekwencje. Co będzie, jeśli Ukraina zachwieje się w perspektywie maja, czerwca bieżącego roku?

Być może, z racji narastającego dramatyzmu sytuacji, Ukraina reaguje nietaktownie na próby dawkania skali pomocy. Na propozycję pomagania w taki sposób, by Kijów zatrzymał napór rosyjski, ale jednoczesnego pilnowania, by tej broni nie dostał za dużo, bo to tylko napędzi eskalację konfliktu. Nie, problem w tym, że Ukraina wciąż walczy o przetrwanie. Łukasz Warzecha pisze: „Podsumowując: w interesie Polski jest – po pierwsze – aby Ukraina obroniła się przed Rosją, ale aby – po drugie – obroniła się nie jako państwo silne i ekspansywne. Ukraina ma być naszym buforem przed wschodnią satrapią, ale nie rywalem w UE. To zdecydowanie nie leży w naszym interesie. Po trzecie – konflikt będzie zmierzał do wygaszenia lub zamrożenia. Niezgoda na to to pretensje, że wschodzi słońce”.

Mocno powiedziane. Skąd pewność, że Rosja zechce wygaszenia lub zamrożenia konfliktu? A może każdy objaw słabości ze strony Zachodu czy też ekipy Wołodymyra Zełenskiego uznaje za wskazówkę, że trzeba przeć do przodu jak tylko daleko się da? Ja nie mam ochoty na czekanie, aż rosyjskie czołwki dotrą w końcu pod granicę polską. Dlatego widzę pedagogicznego dozowania pomocy dla Ukrainy budzi mój głęboki niepokój. I, owszem, nasze możliwości na wpływanie na wydarzenia są ograniczone. Ale w ramach tego, co możemy, bądźmy adwokatem jak najszerzej pomocy militarnej państw NATO dla naszych wschodnich sąsiadów. To kwestia instynktu samozachowawczego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO

Winni

Kaczyński i Morawiecki



Łukasz Warzecha

PiS z Jarosławem Kaczyńskim na czele i w obecnej postaci nie ma już racji bytu. To ugrupowanie, które „bezprawnie” okupuje miejsce na prawicy

Jeśli ktoś miał nadzieję, że po wstrząsie, którym była utrata władzy, w PiS, a zwłaszcza u najważniejszej w tej partii osoby, nastąpi głębsza refleksja – to powinien się tego złudzenia wyzbyć. Ostatnie wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego, w szczególności obszerny wywiad dla tygodnika „Sieci”, pokazują, że z tej mąki chleba nie będzie. Wielu komentatorów bliskich PiS zapewne przeczuwa, jaka jest sytuacja, ale mają problem z jasnym, może brutalnym postawieniem sprawy: PiS z Jarosławem Kaczyńskim na czele i w obecnej postaci nie ma już racji bytu. To ugrupowanie, które „bezprawnie” okupuje miejsce na prawicy (choć w istocie ma profil socjaldemokratyczny, jednoznacznie lewicowy), uniemożliwiając dojście do władzy siłom naprawdę prawicowym – konserwatywnym i wolno-rynkowym. W samym Prawie i Sprawiedliwości są politycy, którzy wydają się to pojmować, krępuje ich jednak wodzowska struktura tej partii.

Powie ktoś, że wszystkie partie są w jakimś sensie wodzowskie. Można się z tym twierdzeniem spierać: mniejsze ugrupowania – Konfederacja, Nowa Lewica, PSL – nie mają takiego charakteru. Koalicja Obywatelska faktycznie zbudowana jest na Donaldzie Tusku i jego przywództwie, lecz nawet tam patologia jedynowładztwa nie zaszła tak daleko jak w przypadku ugrupowania do niedawna sprawującego władzę.

O skutkach dworskiej organizacji ugrupowań politycznych napisano już wiele. Nie ma sensu dłużej się nad tym rozwodzić. Wystarczy przypomnieć kilka podstawowych cech takich partii. To brak normalnych mechanizmów awansu, ponieważ wszystko uzależnione jest od dotarcia do ucha wodza. Brak normalnych mechanizmów dyskusji i weryfikacji

FOT. ADAM CHŁECKI/VEBRO

planów, ponieważ nawet jeśli niektórzy mają krytyczną opinię, to boją się ją ujawnić, rozumiejąc, że narazi ich to na niełaskę. Wskutek tego z czasem następuje coraz szersze otórbienie przywódcy, który popada w coraz większe odrealnienie, a zarazem za sprawą opinii pochlebców jest coraz mocniej przeświadczony o własnej genialności. To przeświadczenie jest w stanie przetrwać nawet te sytuacje, gdy rzeczywistość weryfikuje je, wydawałoby się, ostatecznie.

MIT WODZA

Tak jest teraz. Jarosław Kaczyński cieszy się od dawna mitem genialnego stratega, przewidującego na wiele ruchów do przodu. Jednak spojrzenie na wydarzenia ostatnich kilku lat pokazuje dobitnie, że nawet jeśli kiedyś była to prawda, to należy o tej umiejętności mówić już w czasie przeszłym.

Po pierwsze – to Jarosław Kaczyński zdecydował o powierzeniu kształtowania polityki europejskiej Mateuszowi Morawieckiemu, któremu zawdzięczamy m.in. przyjęcie Zielonego Ładu w obecnej postaci oraz mechanizmu „pieniądze za praworządność”. PiS zapłacił za to w wyborach, Polska zapłaciła swoją obecną sytuacją.

Po drugie – całkowicie chybionym ruchem była koncepcja Polskiego Ładu, co przyznał ostatnio nawet sam Jarosław Kaczyński. Tyle że za każdym razem, gdy prezes PiS o tym mówi, zapomina przypomnieć, że za Polskim Ładem stał wspomniany Mateusz Morawiecki, a cała operacja odbywała się z pełnym poparciem tego samego – prezesa PiS. Wyobrażano sobie, że będzie to znakomity motor wyborczy na 2023 r. Okazało się, że to klęska.

Po trzecie – w wywiadzie dla „Sieci” prezes PiS powiada o wyniku w ostatnich wyborach: „Zajęliśmy pierwsze miejsce z poparciem niewiele mniejszym niż cztery lata temu. Było to jednak zwycięstwo samotne, zbyt małe, by utrzymać władzę”. Pomińmy to, że poparcie nie było „niewiele mniejsze” (pół miliona głosów i osiem punktów różnicy to nie jest „niewiele mniej”). Jednak w swojej wypowiedzi Jarosław Kaczyński całkowicie ignoruje to, co nastąpiło bezpośrednio po wyborach. PiS próbował przecież wówczas skusić do koalicji Polskie Stronnictwo Ludowe. Ten manewr nie udał się w dużej mierze

z powodu konsekwentnie przez dwie kadencje prowadzonej przez PiS polityki maksymalnego dociskania opozycji. Politycy PSL wskazywali, że nie widzą możliwości wejścia w koalicję z partią, która w każdej możliwej sytuacji okazywała wobec nich wrogość. Rzekomy genialny zmysł strategiczny Jarosława Kaczyńskiego zawiódł tutaj całkowicie: złudzenie kolejnej samodzielnej kadencji i lekceważenie potężnych błędów, które zmobilizowały przeciwników PiS, sprawiły, że właściwie do końca kampanii trzymano kurs skrajnie agresywnej konfrontacji ze wszystkimi pozostałymi ugrupowaniami – z Konfederacją włącznie – kasując sobie wszelkie zdolności koalicyjne. Jako żywo próżno w tym działaniu poszukiwać strategicznego geniuszu wodza.

Skądinąd groteskowo brzmi inny fragment wspomnianego wywiadu. Prezes PiS pytany jest o to, czy częścią jakiegoś hipotetycznego szerokiego obozu „prawicy” mogłaby być w przyszłości Konfederacja, odpowiada: „Problem w tym, że Konfederacja nie ukrywa, iż chce nas zniszczyć, by potem zająć nasze miejsce”. Mówi to lider partii o wiele większej, mającej za sobą ogromny aparat i potężne pieniądze z subwencji, która w dodatku utrzymywała wobec Konfederacji kurs skrajnie wrogi przez całą poprzednią kadencję. Widać to było szczególnie w tym, jak polityków tego ugrupowania wycięto z opanowanych przez PiS mediów rządowych, a jeśli o nich wspomniano, to w najgorszym możliwym tonie. Ba, ta polityka nie skończyła się nawet po wyborach. Tylko determinacja grupy posłów PiS, skupionych wokół Przemysława Czarnka, zapobiegła głosowaniu przez PiS wspólnie z Lewicą za odwołaniem Krzysztofa Bosaka z funkcji wicemarszałka Sejmu.

Jako punkt wyjścia do rozważań o tym, czy jest przyszłość przed PiS pod obecnym przywództwem i w obecnej postaci, mógłby posłużyć głośny list prof. Andrzeja Nowaka. Nawet jeśli nie ze wszystkim, co się w nim znalazło, można się zgodzić (nie podzielam np. kompletnie tezy, że komisja do spraw rosyjskich wpływów powinna zacząć działać o wiele wcześniej – uznawałem ją zawsze za pomysł skrajnie szkodliwy i sprzeczny z zasadami państwa prawa), to jedna sprawa, na którą wskazuje krakowski historyk, nie ulega wątpliwości: PiS nie dokonał po

wyborach żadnego rozliczenia. Jarosław Kaczyński uznał najwyraźniej, że nie jest ono potrzebne. I nawet jeśli ta decyzja może się jakoś bronić z punktu widzenia logiki wewnątrzpartyjnej, to absolutnie nie broni się z punktu widzenia wyborcy – szczególnie tego, który do PiS się zniechęcił z powodu jego błędów.

Prezes tej partii chce oczywiście przekonać nas – to wybrzmiewa wyraźnie w wątku wywiadu dla „Sieci”, poświęconym budowaniu jakiegoś „szerokiego obozu” – że w gruncie rzeczy dla PiS nie ma alternatywy. Z jednej bowiem strony Jarosław Kaczyński opowiada o otwarciu na inne środowiska, ale z drugiej zaraz dodaje, że nie wolno „marnować głosów” na jakieś nowe projekty czy mniejsze ugrupowania. W tę grę grają oczywiście zgodnie pan Kaczyński z panem Tuskiem. To jednak obłuda. Faktem jest, że wyborca zniechęcony do PiS wcale nie musi do niego wrócić. Ma Polskę 2050, ma Konfederację, ma PSL, a w przyszłości być może dostanie kolejne oferty i naprawdę nie ma powodu, żeby kurczowo trzymać się ugrupowania, które w ciągu ostatnich lat celowało w arogancji wobec każdego, kto nie zgadzał się z nim w 100 proc.

ZEROWA WIARYGODNOŚĆ

Dzisiejszy PiS, krytykujący obecną władzę, ma w wielu punktach zerową wiarygodność. Podczas swoich wystąpień po wyborach Jarosław Kaczyński był w stanie w końcu przyznać, że Polski Ład był błędem. Zapomniał jednak jakoś wspomnieć o tym, kto ten fatalny program firmował. Ten człowiek nadal jest wiceprezesem PiS i jedną z głównych postaci w tej partii: to Mateusz Morawiecki.

W wywiadzie mówi Jarosław Kaczyński o KPO: „Może i lepiej, żeby tego nie było”, a dalej stwierdza, że zatwierdzona wtedy – jakżeby inaczej: przez Mateusza Morawieckiego – warunkowość, czyli zasada „pieniądze za praworządność”, mogłaby zostać zakwestionowana tylko poprzez zawetowanie całego budżetu UE. To oczywiście tylko część prawdy: gdyby takie weto zostało postawione, państwa UE zostałyby tym samym zmuszone do osiągnięcia porozumienia na innych zasadach, bez wspomnianej reguły, bo przecież Unia nie byłaby w stanie działać bez budżetu. Przy tym prezes PiS nie wspomina – a dziennikarze „Sieci” oczy-

wiecie nie pytają – o to, co się w KPO znalazło. Dlaczego wśród kamieni milowych są opodatkowanie samochodów spalinyowych czy zmiany w regulaminie Sejmu – do czego Unia w ogóle nie powinna się mieszać? Który z geniuszy poprzedniego rządu wpisał do planu te punkty?

Wreszcie sprawa Zielonego Ładu, o którym Jarosław Kaczyński – nie tylko w rozmowie z „Sieciami” – mówi „ten akt ideologicznego szaleństwa”. Problem w tym, że pod tym „ideologicznym szaleństwem” trochę ponad trzy lata temu podpisał się Mateusz Morawiecki, a sam Jarosław Kaczyński tak o tym mówił wtedy w Polskim Radiu 24: „Natomiast musimy przyjmować pewne realia i dzisiaj ta tendencja do tego, co można określić jako budowa nowego ładu, jest taka, że odrzucanie jej oznaczałoby ustawienie się na marginesie i innego rodzaju różne kłopoty [...]. Ale też ta druga strona, uczestniczenie w tym projekcie [...] popchnięcia Europy do przodu, a w szczególności takich państw jak Polska, to ten plan jest czymś, w czym warto uczestniczyć nawet za pewną cenę”.

Próby strojenia się w piórka przeciwników programu, do którego to PiS włączył Polskę na całego, są żałosne. Wiarygodność jest w tym punkcie nawet poniżej zera – szczególnie wzięwszy pod uwagę, że nie nastąpiło tu ani przyznanie się do błędu, ani personalne rozliczenie.

PiS w swojej kampanii postawił na Mateusza Morawieckiego, a ten z kolei postawił na najtwardszy możliwy przekaz. Jego wystąpienia z września i października ubiegłego roku to niekończące się tyrady, w których atakowane były wszystkie partie opozycyjne. Ta taktyka nie tylko zaowocowała spadkiem poparcia w liczbach bezwzględnych o pół miliona głosów, lecz także skutecznie zniechęcała bardziej umiarkowanych wyborców. Na kierunek ich migracji wskazuje wyjątkowo wysoki wynik Trzeciej Drogi. Twarda, konfrontacyjna retoryka zaowocowała także nadzwyczajną mobilizacją radykalnej frakcji zwolenników KO. Jarosław Kaczyński nie tylko nie wyciągnął z tego wniosków – przeciwnie, dotąd tę linię kontynuował. Symbolem przekazu kierowanego wyłącznie do najtwardszego elektoratu był występ na ostatniej przedwyborczej konwencji PiS Dominika Tarczyńskiego wyposażonego w dechę.

Tenże Dominik Tarczyński – uosabiający twardą, agresywną, momentami chamską retorykę zderzenia ze wszystkimi – został niedawno szefem delegacji PiS w Parlamencie Europejskim.

Tymczasem 2 marca na konwencji samorządowej PiS prezes wystąpił z hasłem „Jesteśmy na TAK!”. Bez śladu poważniejszej refleksji nad porażką twardej linii, bez jakichkolwiek wniosków personalnych, nagle Jarosław Kaczyński ustroił się w kostium gołąbka pokoju i spróbował czarować odbiorców pozytywnym przekazem. Znow – wiarygodność takiego zabiegu jest zerowa.

Wystąpienie pana prezesa było zresztą w większości beztreściowe. Poza jednym wątkiem: mowa była o tym,

Obserwując wypowiedzi i działania Jarosława Kaczyńskiego, można mieć ogromne wątpliwości, czy faktycznie ma „siły i plan polityczny”

że współpraca ponad podziałami jest możliwa w samorządach, które są – cytując Jarosława Kaczyńskiego – ważne i mogą być ośrodkami wolności w morzu zniewolenia, narzucanego przez nową władzę. I znow – brzmi to groteskowo, gdy takie hasła wygłasza przedstawiciel ugrupowania skrajnie centralistycznego, które przez całe dwie kadencje dążyło do maksymalnego ograniczenia kompetencji samorządów. Teraz, gdy zmieniła się centralna władza, PiS nagle odkrywa, że samorządność jest ważna. Trzeba by mieć pamięć rybki akwariowej, żeby dać się na to nabrać.

ANI ŚLADU REFLEKSJI

W wywiadzie dla „Sieci” najważniejsza jest oczywiście deklaracja dotycząca dalszego kierowania partią: „Dziś jasno mówię: zgłoszę swoją kandydaturę na prezesa Prawa i Sprawiedliwości i poproszę o wybór na kolejną kadencję. Oczywiście to delegaci zdecydują, ja uczynię wszystko, by ich przekonać do takiego wyboru [...]. Jestem też przekonany, że jeszcze

przez jakiś czas mogę skutecznie działać. Mam siły, mam plan polityczny. Nie chcę też, by ktoś mi zarzucał, że jestem dezerterem, że zostawiam partię i całe nasze środowisko w tak trudnym momencie, w starciu z tak brutalnym, nieliczącym się z niczym przeciwnikiem”.

Jarosław Kaczyński w momencie wyboru na kolejną czteroletnią kadencję będzie miał 76 lat. Kończąc ją, miałby lat 80. Obserwując jego wypowiedzi i działania, można mieć ogromne wątpliwości, czy faktycznie ma „siły i plan polityczny”. Ten ostatni może się sprowadzać do „więcej tego samego”. W wypowiedziach prezesa PiS nie ma śladu refleksji na temat tego, w jaki sposób PiS modelował państwo pod siebie przez osiem lat. A przecież ogromna część tego, co dzisiaj wyczynia nowa koalicja, jest bezpośrednią konsekwencją tego, co wyprawiała partia Jarosława Kaczyńskiego, będąc u władzy. Oto przykład: w wywiadzie w „Sieciach” pan prezes zachwyca się tym, że w Krajowym Rejestrze Sądowym znaleźli się ludzie (dokładnie: asesorzy), którzy nie zatwierdzili wniosków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego o likwidację niektórych jednostek mediów państwowych. „I to daje nadzieję, że da się skonstruować uczciwe sądownictwo” – mówi pan Kaczyński. Tylko że to jego siła polityczna zdecydowała, żeby 15 sędziów do Krajowej Rady Sądownictwa mianowali politycy, a nie sędziowie. Istniała przecież koncepcja, żeby te wybory zdemokratyzować i dać każdemu sędziemu, niezależnie od jego rangi, jeden głos. W ten sposób właśnie ci „dający nadzieję” mogliby uzyskać duży wpływ na kształt KRS. Ale to nie pasowało panu prezesowi, który wolał mieć nad wszystkim ścisłą polityczną kontrolę.

Rację mają zapewne ci komentatorzy – a także sam Jarosław Kaczyński, który wspomina o tym między wierszami – że bez obecnego prezesa PiS czekałoby zamieszanie, może rozpad. Ale, mówiąc wprost, wybór jest taki: albo powolne gnicie i staczanie się do roli partii niezdolnej do przekroczenia szklanego sufitu 20–25 proc., albo oczyszczenie, które, owszem, może polegać na rozpadzie, dużym przetasowaniu, fundamentalnej zmianie strategii. Żeby wydarzyło się to ostatnie, Jarosław Kaczyński musi zniknąć z życia politycznego.



FOT. ADOBE STOCK



Janusz Korwin-Mikke

Zauważyłem, że 99 proc. ludzi nie ujmuje właściwie problemu państwowości Chin. Postaram się to w skrócie przedstawić, by czytelnicy „Do Rzeczy” stanowili chlubny wyjątek

Otóż: istnieją Jedne Chiny – i to jest bezdyskusyjne. W tytule tego artykułu widzimy nazwę „Środka Kraj” – bo, jak wiadomo każdemu Chińczykowi, Chiny są pępkiem świata. Napisała dwa razy – nieco odmiennie. Jak to się czyta? A, to zależy! Ale na pewno obydwie tak samo.

Chiny to kraj zespolony pismem chińskim. Chiny – to kultura. Większość Chińczyków, Hanowie, używa języka „mandaryńskiego”. Jednak inni Chińczycy używają innych języków – mówionych zupełnie inaczej, ale pisanych tak samo! Ba! Japończycy (a do niedawna również Koreańscy

cy i Wietnamczycy) też znają większość tych znaków – więc choć się wzajemnie nie rozumieją, to mogą do siebie pisać. To jest tak, jakby Polak i Francuz widzieli te same znaczki – ale jeden je czytał: „Dieu et mon droit” – a drugi: „Bóg i moje prawo”. Dlatego Chiny nie mogą zrezygnować ze swojego pisma.

Tyle o Kraju Środka. Przechodzimy do problemu chińskiego państwa. Historycznie w tym kraju istniało wiele państw – słynna jest np. Epoka Trzech Królestw, ale bywało ich też znacznie więcej. Obecnie istnieją dwa, to znaczy jedno.

Po obaleniu Cesarstwa Chiny były pod okupacją Republiki Chińskiej (używam słowa „okupować” obiektywnie, bez negatywnego kontekstu; jak w angielskim „occupy” – „zająć”. W tej manierze każde terytorium, poza może Antarktydą, jest okupowane przez jakieś państwo, czyli, jak mawiał śp. Karol Marx, przez jakiś aparat ucisku. Na przykład Bawaria i Saksonia są okupowane przez RFN, Czeczenia, Rosja czy Jakucja są okupowane przez Federację Rosyjską, Ohio i Oregon przez Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Polska przez III Rzeczpospolitą [poprzednio przez inne państwo, przez

PRL]. Ten sposób pisania pozwala inaczej, w sposób ujednolicony i obiektywny, patrzeć na geopolitykę i historię...).

Po irredencji komunistycznej Chiny zostały zajęte przez Chińską Republikę Ludową, a Republika Chińska okopała się na Formozie. Ponieważ cała marynarka opowiedziała się po stronie Republiki, ChRL nie mogła jej nic zrobić, nie potrafiła nawet zająć przybrzeżnych wysepek Quemoy i Matsu!

Dla lepszego zrozumienia – porównanie. Powiedzmy, że w 1939 r. rząd II Rzeczypospolitej nie uciekł do Rumunii – Francji – Anglii – tylko okopał się na Podhalu. Cała artyleria była posłuszna II Rzeczypospolitej. Na nic zdały się próby III Rzeszy, Związku Sowieckiego i PRL – II Rzeczpospolita dzielnie trwała. Wskutek tego exodusu większość ludności Podhala stanowili uciekinierzy.

Jednak procesy dziejowe pomalutku coś zmieniają... PRL stawała się coraz mniej socjalistyczna, coraz mniej zależna od Związku Sowieckiego – a w 1988, po „Ustawie Wilczka”, stała się najbardziej liberalnym i niesocjalistycznym państwem w Europie (jeśli pominąć Liechtenstein

49



Lech Mazewski

Powinniśmy pamiętać o XIX-wiecznych nadwiślańskich odpowiednikach Talleyranda, bo to niezwykła rzadkość wśród polskich polityków ostatnich trzech stuleci

Polacy na wojnę z Rosją w 1812 r. szli w celu doprowadzenia do odbudowy Królestwa Polskiego; Księstwo Warszawskie utworzone w 1807 r. na mocy pokoju w Tyłży miało stanowić jedynie początek tego procesu. Z punktu widzenia Napoleona był to tylko jeden z możliwych efektów konfliktu z Aleksandrem.

Cesarz Francuzów podjął zbrojne starcie z imperatorem Rosji nie z myślą o Polsce, tak było jedynie w warstwie propagandowej. W rzeczywistości chodziło o uszczelnienie systemu blokady kontynentalnej i powrót do tyłżyckiej współpracy w ramach sojuszu francusko-rosyjskiego, z tym że Petersburg musiałyby wreszcie zacząć zachowywać się wobec Paryża w sposób podobny do reszty państw kontynentu europejskiego. Innymi słowy, los Polski w czasie wojny z Rosją miał dla Napoleona całkowicie drugorzędne znaczenie i był jedynie funkcją ułożenia na nowo wzajemnych stosunków, gdyż l'alliance franco-russe nigdy nie przestał być jego l'idée favorite. Tego większość z ówczesnych Polaków nie rozumiała, a z pewnością nie przyjmowała do wiadomości. Jednym z wyjątków był ks. Adam Jerzy Czartoryski.

28 czerwca 1812 r. na posiedzeniu sejmu Księstwa Warszawskiego Tadeusz Matuszewicz, jeden z czołowych ministrów Księstwa, a jednocześnie zaufany Napoleonowi, przedstawił raport z pamiętnymi słowami: „Powstanie więc Polska, co mówię? Jest już Polska, a raczej nigdy ona być nie przestała”. Odczytano Akt Konfederacji Generalnej, który w art. 2 stwierdzał: „Królestwo Polskie jest przywrócone i naród polski w jedno ciało złączony”. Wybrano Radę Konfederacji i zalimitowano sejm.



1 lipca w katedrze wileńskiej odbył się uroczysty obrzęd potwierdzenia unii polsko-litewskiej. Oczekiwano powszechnie, że cesarz Francuzów ogłosi połączenie Litwy z Księstwem w jedno królestwo, ale to nie nastąpiło. 11 lipca Napoleon przyjął w Wilnie na uroczyste posłuchanie deputację Konfederacji Generalnej z Józefem Wybickim na czele.

W odpowiedzi na mowę twórcy hymnu narodowego cesarz Francuzów do niczego wyraźnie się nie zobowiązał, ponieważ pominięto tu choćby problem, komu miałyby przypaść polski tron, a granice przyszłego państwa polskiego wskazano jedynie bardzo pośrednio. W zachowaniu Napoleona wyraźnie było widać, że nie chciał on palić za sobą mostów w sprawie porozumienia z Aleksandrem, stąd unikał tworzenia faktów dokonanych. Jednak niektórzy Polacy usłyszeli wtedy to, co chcieli usłyszeć na temat obietnicy wskrzeszenia niepodległej Polski. Ale nie dotyczyło to wszystkich. Kajetan Koźmian zanotował słowa Stanisława Sta-

szica: „Czy po pierwszym starciu z Rosją [Napoleon – przyp. L.M.] znowu się z nią kosztem naszym pogodzić myśli lub inne i olbrzymie przedsiębiorząc zamysły chce się przedrzeć wraz nią do Indii, aby ostatni cios zadać Anglii? Ta ciemna zasłona zamiarów cesarza niepokoi mnie”.

NEGOCJACJE Z CAREM

Przebieg kampanii 1812 r., a dokładnie brak widocznych sukcesów, a później bezprzykładna wręcz klęska, postawił przed polską elitą polityczną pytanie, co należy czynić dalej. Politycy Księstwa, kierując się jedynie *raison d'Etat* [intereselem narodowym – przyp. red.], starają się jak najwięcej uzyskać od każdego możliwego kontrahenta. W rezultacie Matuszewicz, jeszcze do niedawna zwolennik Napoleona, próbuje nawiązać niejawne kontakty z władzą Rosji.

21 listopada władze Księstwa Warszawskiego i Konfederacji Generalnej dały Czartoryskiemu, który od początku zajmował stanowisko antyfrancuskie,



„Napoleon i książę Józef Poniatowski pod Lipskiem” FOT. DOMENA PUBLICZNA

**Skoro zmienia się układ sił,
od którego zależy nasz los,
to trzeba się do tego
dostosować, bo inaczej może
nie być jakiegokolwiek Polski**

szewiczem czy Czartoryskim na czele świadczyło, że dla nich zasada dominacji własnego interesu w działaniach z zakresu polityki zagranicznej była oczywista. Tego rodzaju zachowanie nie jest żadnym powodem do wstydu, jak często sądzi się nad Wisłą. Skoro zmienia się układ sił, od którego zależy nasz los, to trzeba się do tego dostosować, bo inaczej możemy wrócić do stanu z 1795 r., a więc może nie być jakiegokolwiek Polski. Naciskająca klęska Francji w wojnie z Rosją skutkować musiała zmianą dominującej konstelacji mocarstw w Europie, a to z kolei tworzyło także inną perspektywę dla sprawy polskiej. Z tego należało wyciągnąć stosowne wnioski i to zrobiono.

24 grudnia 1812 r. w Wilnie Aleksander odezwał się do Polaków. Ogłosił przebaczenie dla swoich polskich poddanych angażujących się po stronie Napoleona, Księstwu Warszawskiemu ofiarował zawieszenie broni, czynił nadzieje na utrzymanie państwa polskiego, ale tylko z nim na tronie, gdyż innego rozwiązania nie przyjąłoby Rosjanie. Nie było to mało, tym bardziej że w toczącej się wojnie z Francją Aleksander musiał dbać o poszerzenie koalicji o inne podmioty niż tylko Polaków; Prusy i Austria, będące żywotnie zainteresowane sposobem rozwiązania sprawy polskiej, były także bardzo pożądanymi sojusznikami.

Enuncjacje wileńskie współgrały z dążeniem Czartoryskiego i Matuszewicza oraz skupionych wokół nich polityków, starających się o doprowadzenie do przejścia Księstwa Warszawskiego do obozu antynapoleońskiego, a przynajmniej opowiedzenia się po stronie Rosji. Polacy mogli być partnerem dla Aleksandra jedynie przed pozyskaniem współdziałania Prus i Austrii, dotychczasowych sojuszników Francji, i tylko wówczas, gdy zmiana stanowiska Księstwa przyniesie istotny uszczerbek siłom słabnącego Napoleona. Realizacja powyższych zamierzeń zależała

w dużym stopniu od szybkości działania polskich polityków, przede wszystkim zaś od stanowiska wodza naczelnego ks. Józefa Poniatowskiego.

Na początku lutego 1813 r. wojsko i władze cywilne Księstwa Warszawskiego oraz przedstawiciele Konfederacji Generalnej opuścili stolicę, unikając kontaktu z wojskami rosyjskimi operującymi na północy Księstwa, co mogło ułatwić negocjacje z Aleksandrem. 26 lutego doszło do zawarcia sojuszu rosyjsko-pruskiego, a wkrótce i rosyjsko-austriackiego. Niewątpliwie Prusacy i Austriacy okazali się szybsi niż przywódcy Księstwa, ale chyba nie wszystko jeszcze zostało stracone, bo próby porozumienia Polaków z Rosją trwały dalej.

TRZY WYJŚCIA

W marcu została ustanowiona w Warszawie Rada Najwyższa Tymczasowa Księstwa Warszawskiego w roli czynnika rządzącego na terenach okupowanych przez Rosję. Okupacja nie objęła obszaru całego Księstwa, gdyż wokół Krakowa utrzymała się polska administracja, a w samym mieście stacjonowało wojsko polskie pod dowództwem Poniatowskiego. W rzeczywistości z matni krakowskiej były trzy wyjścia: wdanie się w nierówną walkę z wojskami rosyjskimi, które właśnie opuściły Warszawę, żeby obezwładnić i rozbroić polskie zgrupowanie; zawarcie ugody z Aleksandrem za cenę odstąpienia Napoleona, na co było coraz mniej czasu, oraz wycofanie się na zachód w celu dołączenia do wojsk francuskich. O kontynuacji polityki Księstwa mogła przesądzić tylko realizacja drugiego rozwiązania.

Sam Poniatowski wahał się długi czas między próbą zawarcia ugody z Rosją a wyprowadzeniem wojska na zachód i podjęciem dalszej walki przy boku Napoleona. Czartoryski przekonywał listownie polskiego wodza do pierwszego rozwiązania, zapewniając, że Aleksander zdecydowany jest do odbudowy państwa. Stąd konieczne byłoby przejście armii na stronę rosyjską i połączenie sprawy polskiej ze sprawą koalicji antynapoleońskiej.

W połowie kwietnia z jeszcze innymi propozycjami przybył ks. Antoni Radziwiłł. Tę wizytę opisał w swoich

nie ufając Napoleonowi, upoważnienie do podjęcia rokowań z Aleksandrem. Pod koniec 1812 r. czy na początku następnego roku Polska, reprezentowana przez Konfederację Generalną Królestwa Polskiego, mogła być stroną, oferując imperatorowi bazę operacyjną do dalszej walki z Napoleonem oraz udział w tym odtworzonej armii.

Na przełomie lat 1812 i 1813 Matuszewicz mówił Koźmianowi: „Napoleon nie chciał nigdy szczerze wskrzeszenia Polski, tyle nas dźwigał i łudził, o ile mu byliśmy potrzebni do jego niepojętych zamiarów i planów. My dla Polski, dla Ojczyzny przelewaliśmy krew i ofiary czynili, nie zaś dla Francji. Ktokolwiek nam tę Polskę daje, powinniśmy z nim trzymać”. Maurice Talleyrand lepiej by zasad polityki prowadzonej na zasadzie *raison d’Etat* nie ujął w tym konkretnym momencie.

Zachowanie polityków polskich czynnie uczestniczących w próbie nawiązania rokowań z Aleksandrem z Matu-

„Nadanie Konstytucji Księstwu Warszawskiemu przez Napoleona”, obraz Marcella Bacciarellego, 1811 r.

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE



■ wspomnieniach ks. Leon Sapieha: „Przyjechał skrycie xiażę Antoni Radziwiłł [...] z polecenia króla [Prus – przyp. L.M.] i cesarza Alexandra do xięcia Poniatowskiego. Proponowali mu, aby nie łączył się z Napoleonem. A to obiecywali, że wojska obce opuszczą Xięstwo. Zostanie w niem tylko wojsko polskie. Rząd Xięstwa zostanie niezależny, jak był. To wszystko do chwili zatwierdzenia ostatecznego pokoju. Xiażę Józef zażądał 24 godzin do namysłu, po których dał odmowną odpowiedź i postanowił nie odstępować Napoleona i króla saskiego”. Nieco inaczej cel wizyty ks. Radziwiłła przedstawił Stanisław Barzykowski, XIX-wieczny historyk i polityk. Chodziło o „Uznanie neutralności Księstwa Warszawskiego w dalszej wojnie z Napoleonem; wojska polskie, jakie były, pod bronią utrzymane być miały; książę Józef ich dowódcą pozostawał, Księstwo dla konsystencji dwóch oddzielnych wojsk podzielone [...]; jakkolwiek obrót wojna weźmie, Księztwu Warszawskiemu narodowość i odrębność zapewnione będą. Ze strony ks. Józefa miało być tylko dane słowo, iż żadnego udziału w toczącej się wojnie nie przyjmie”. Byłoby to znakomite ukoronowanie prowadzonej właśnie przez cywilne elity polityki. Na te propozycje Poniatowski na posiedzeniu władz Księstwa miał oświadczyć: „Nie, z honorem nie ma transakcyi, odrzucam układy. Zginąć możemy, ale honor Polski nieskalany pozostanie!”.

Pod koniec pobytu w Krakowie nadeszło do naczelnego wodza upoważnienie od księcia warszawskiego Fryderyka Augusta do pozostania na miejscu i zawarcia zawieszenia broni albo działania zupełnie samodzielnego. Wydawałoby się, że problem honoru wojskowego zostałby rozwiązany. Jednak 7 maja wojsko polskie rozpoczęło opuszczać Kraków, wkrótce w ślad za nim udały się władze cywilne Księstwa Warszawskiego i konfederackie.

Jest tu pewna niejasność. Otóż 27 kwietnia Poniatowski nadciągającemu z Warszawy dowódcy wojsk rosyjskich miał przedłożyć propozycję zawieszenia broni, ale ten ją odrzucił, żądając złożenia broni przez Polaków, czego nie przyjął polski wódz. Stąd problem nie polegałby na tym, że ks. Józef nie widział niczego poza honorem wojskowym, ale sprowadzały się do tego, że czas na porozumienie z Aleksandrem minął, bo w tym momencie nie byliśmy Rosji potrzebni. Cała ta sytuacja z trudnością przebija się do naszej świadomości. Ale przecież Poniatowski był na służbie Polski, którą wtedy reprezentowało Księstwo, a nie Francji, chyba że mamy go za napoleońskiego kondotiera! Komu był winien lojalność wódz naczelny? Dlaczego tak długo nie mógł tego pojąć?

Jakby wyglądał przebieg wypadków w Krakowie na przełomie kwietnia i maja 1813 r., to ostateczne stanowisko naczelnego wodza nie zawierało żadnej perspektywy dla sprawy polskiej w sytuacji Europy uwalnianej od francuskiej hegemonii. Odnosi się to nie tylko do położenia Księstwa jako embrionu państwa polskiego, lecz także przyszłości z takim trudem odtwarzanej po klęsce w wojnie z Rosją armii. Innymi słowy, hołdowanie zasadzie *nothing but honour* stawałoby się niesłychanie ryzykowne z punktu widzenia interesu Polski.

UTRACONA SZANSA

W efekcie Księstwo Warszawskie utraciło szansę znalezienia się wśród uczestników antynapoleońskiej koalicji, co dałoby nam miejsce przy stole obrad kongresu wiedeńskiego. Jeszcze w 1814 r. niektórzy działacze Konfederacji Generalnej Królestwa Polskiego planowali wysłanie swojego delegata na kongres ustalający zasady organizacji ponapoleońskiej Europy, ale to wyraz zupełnego

wishful thinking. Wiadomo przecież, że ci, którzy w polityce nie dysponują żadną siłą, nie mają racji, czego dowodził choćby przypadek polityków konfederackich.

Z pewnością ustanowione w 1815 r. Królestwo Polskie miało lepsze warunki do istnienia, gdyby w 1813 r. wysiłki Matuszewicza i Czartoryskiego, poparte przez innych polityków polskich, się powiodły. Pozostanie wojska polskiego pod dowództwem Poniatowskiego na terenie Księstwa zmieniłoby naszą sytuację na dużo lepszą, ale tak się nie stało. Trudno zrozumieć, z jakiego powodu wódz naczelny wzgardził propozycją zatrzymania w polskich rękach – chodziło o wojsko i administrację – całego Księstwa, a przynajmniej jego połowy. A może rzecz nie w honorze wojskowym, a raczej w niemożności porzucenia francuskiego protektora w odpowiednim czasie, i to na rzecz Rosji, która, co prawda, była zwycięską potęgą, ale w oczach większości Polaków pozostawała ciągle wcieleniem barbarzyństwa? Słowem, zasada *raison d'Etat* nie obowiązywałaby wobec Petersburga, ale też, choć z innych przyczyn, nie odnosiłaby się do relacji z Zachodem. Na pewno? Czy w takim razie w ogóle byłoby dla niej miejsce w polskiej polityce? Francuzi, praktycy w stosowaniu doktryny *raison d'Etat*, w taki właśnie sposób odnosili się do wszystkich podmiotów z obszaru polityki zagranicznej, z którymi mieli do czynienia. Skoro po zrzućeniu kontuszy Polacy chcieli koniecznie naśladować Paryż, to dlaczego nie w tym?

Powinniśmy pamiętać o tych nadwysłańskich odpowiednikach Talleyranda, bo to niezwykle rzadkość wśród polskich polityków ostatnich trzech stuleci. Kierować się względami *raison d'Etat*, nie ulegać emocjom czy nie pozostawać na usługach ideologicznych urojeń i wreszcie w odpowiednim momencie próbować dokonać geopolitycznego zwrotu, jeśli byłoby to korzystne dla nas, to coś gruntownie odmiennego od straceńczych zachowań, dominujących w polskiej polityce od momentu podjęcia walki przez barzan w 1768 r. bez mała do dziś.

Wobec takich wyzwań także obecnie stoi polityka polska. Jeśli czegoś mielibyśmy wymagać od naszych przywódców, to właśnie zachowania zgodnego z *raison d'Etat*, bez względu na cokolwiek.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Fałszerstwa dokumentacji

Wszystkie organizacje konspiracyjne z okresu okupacji niemieckiej (i równolegle sowieckiej) pozostawiły po sobie dokumentację swej działalności. Chodzi o piśmiennictwo (rozkazy, odezwy, ulotki, pisma konspiracyjne) oraz fotografie. Tych ostatnich nie wolno było robić, szczególnie chodziło o utrwalanie twarzy, terenu itp. okoliczności, mogących służyć do dekonspiracji. Ale trudno to było całkowicie wyrugować, dzięki czemu mamy dziś pokaźne zasoby fotografii oddziałów zbrojnych i poszczególnych żołnierzy.

Była jednak organizacja, która – wbrew propagandowemu zadęciu – miała takich artefaktów szczególnie mało, a bardzo chciała się chwalić po wojnie swą rzekomo bardzo rozbudowaną działalnością. Chodzi oczywiście o podziemie komunistyczne: Polską Partię Robotniczą oraz Gwardię Ludową – Armię Ludową. Pozostawiły te organizacje po sobie bardzo mizerny dorobek: zaledwie ok. 100 fotografii – „główek” (czyli zdjęć do dokumentów swych członków), niewielkie zasoby pisemek konspiracyjnych oraz rozkazów, poleceń, odezw, meldunków itp. Dlatego braki były intensywnie nadrabiane w okresie tużpowojennym.

Co i jak fabrykowano? Na początku lat 90. ostatni I sekretarz KC PZPR, towarzysz Mieczysław Rakowski, przyznał w prasie (post?)komunistycznej, że praktykowane

było dorabianie dokumentacji zdjęciowej. Na Polu Mokotowskim w Warszawie przebrani byli żołnierze Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW), tak aby pozorować grupy i oddziały GL-AL. Ale, jak to sam ocenił, nie były to fałszerstwa, tylko... inscenizacje historyczne, bo przecież „pokazywały prawdę”. Przez kilkadziesiąt lat te fałszywki trafiały do komunistycznych gazet i książek, gdzie do dziś już mało kto potrafi odróżnić prawdę od fałszu. Niektóre przykłady są po prostu żałosne. Z prawdziwych zdjęć oddziałów AK i NSZ „fachowcy” wycinali głowy i w to miejsce wlepiali fizjonomię swych zasłużonych towarzyszy, tworząc im wojenną legendę. Nie wszystkie fałsze były udane, dziś zatem łatwo wykazać, że taki proceder był stosowany na wielką skalę.

Podobnie było z piśmiennictwem GL-AL. Doróbkami i podróbkami zajął się towarzysz Franciszek Jóźwiak, podczas okupacji „szef sztabu”, po wojnie zaś komendant główny MO. Mozolnie i pieczołowicie produkował rozkazy i meldunki, nie dbając o pozory. Dlatego zdarzają się dokumenty zakończone i podpisane w połowie. Być może następnego dnia dopisywał resztę...

Dziś już mało kto zajmuje się historią podziemia komunistycznego i mało kto potrafi ocenić, co z ich dokumentacji jest prawdziwe, a co nie. Czy tak to już ma zostać? ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Węgierska pomyłka

W ostatnich latach panowania Władysława Jagiełły i pierwszych Władysławów zwanego później Warneńczykiem realna władza w Polsce znalazła się w rękach biskupa krakowskiego, Zbigniewa Oleśnickiego. Głównym celem jego polityki było pozbycie się z kraju młodocianego króla, tym bardziej że sytuacja polityczna sprzyjała dostojnikowi. Węgry były zagrożone przez Turków, zmarł właśnie Albrecht Habsburg, dotychczas panujący nad Dunajem, zatem Polska była dla Madziarów naturalnym wyborem. Zatem gdyby Władysław objął tamtejszą koronę, to przebywałby głównie za Karpatami.

Nasz kraj z racji swojego położenia mógł stać się sojusznikiem sułtanów, niestety, w tamtych czasach prawdziwy chrześcijanin był zobowiązany do walki z poganami. Sojusz z islamem mógł się zakończyć katastrofą dla katolickiego króla, co sprytnie wykorzystał Oleśnicki.

8 marca 1440 r. delegacja stanów węgierskich ofiarowała 16-letniemu Władysławowi koronę, a młody władca marzył o wielkich czynach i sławie. Dlatego też zgodził się na warunki Madziarów, które były dla Polski wyjątkowo niekorzystne.

Albrecht Habsburg pozostawił bowiem wdowę, która była w ciąży. Niebawem urodziła syna, Władysława zwanego Pogrobowcem, którego ogłosiła królem Czech i Węgier. Dlatego madziarscy

posłowie zażądali od naszego władcy, by poślubił królową Elżbietę, a jej synowi zapewnił tron czeski. Gdyby król Polski nie miał potomstwa, to syn Elżbiety miał w przyszłości objąć władzę na Węgrzech. Przy okazji nasz władca zobowiązał się do walki z Turkami i w tym celu miał sprowadzić polskich ochotników za Karpaty. Oczywiście sam miał płacić za ich służbę.

Do małżeństwa Władysława z Elżbietą ostatecznie nie doszło, oboje zresztą tego nie chcieli. Ambitna królowa wyjechała wraz z synem z Budy, a przy okazji zabrała ze sobą węgierską koronę. Wybuchła regularna wojna domowa i dopiero po dwóch latach doszło do rozejmu i osobistego spotkania Władysława z Elżbietą. Dwa dni potem królowa nagle zachorowała i niebawem zmarła, co stało się przyczyną oskarżeń, że została otruta przez Polaków.

Wojna domowa na Węgrzech okazała się katastrofą dla polskiego skarbu. Rycerstwo chętnie szło za Karpaty, ale zgodnie z obowiązującym prawem należało za to płacić, co zrujnowało finanse państwa. Aby sprostać obciążeniom finansowym, hojnie oddawano w zastaw posiadłości królewskie, często tracąc je bezpowrotnie. W ten sposób powstała niejedna fortuna magnacka, a niektórzy badacze twierdzą nawet, że polski skarb królewski już nigdy nie powrócił do równowagi. O tragedii pod Warną już nawet lepiej nie wspominać... ©©



Waldemar Chmielewski (trzeci z prawej) podczas wizji lokalnej na tamie we Włocławku, gdzie wrzucono zwłoki ks. Popiełuszki, 26 października 1984 r. FOT. IPN

Sprawiedliwość nierychliwa



Piotr Litka

Od blisko dwóch lat przed warszawskim sądem nie może się rozpocząć proces dotyczący esbeckiej prowokacji wymierzonej w ks. Jerzego Popiełuskę. W tym czasie zmarł jeden z oskarżonych funkcjonariuszy – Waldemar Chmielewski

Do prowokacji doszło w grudniu 1983 r. w Warszawie. Do niewielkiego mieszkania kapelana Solidarności przy ulicy Chłodnej 15 w Warszawie podrzucono tysiące ulotek, dynamit oraz amunicję. Akcję przeprowadzili funkcjonariusze bezpieki. 12 grudnia 1983 r. w wyniku oficjalnie zarządzanego przez prokuraturę przeszukania „odnaleziono” materiały kompromitujące księdza, a jego samego zatrzymano w milicyjnym areszcie.

Dzień później, po interwencji hierarchów kościelnych, m.in. u gen. Czesława Kiszcza, ks. Popiełuskę zwolniono.

Prowokacja uwiarygodniła stawiane księdzu zarzuty i stała się pretekstem do kontynuacji prowadzonego przeciwko niemu śledztwa. Ostatecznie w lipcu 1984 r. ogłoszono amnestię, a postępowanie umorzono. Natomiast już po śmierci księdza, 26 stycznia 1995 r., Sąd Najwyższy uznał działania z grudnia 1983 r. za prowokację i oczyścił duchownego z jakichkolwiek zarzutów, które stawiali mu komunistyczni prokuratorzy.

NIEMOC I PRZEŁOM

Przez wiele lat sprawa ukarania winnych tej prowokacji nie trafiła na wokandę. Choć taka szansa pojawiła się już w latach 90. ubiegłego wieku, kiedy śledztwo w sprawie podżegania do zabójstwa ks. Popiełuszki prowadził prokurator Andrzej Witkowski. Jednak sprawę mu szybko odebrano, a do prowokacji powrócił po latach pion śledczy Instytutu Pamięi Narodowej. W styczniu 2019 r. do Sądu Okręgowego w Warszawie skierowano akt oskarżenia w tej sprawie.

Warszawski sąd okręgowy (29 października 2019 r.) oraz sąd apelacyjny (15 stycznia 2020 r.) zgodnie uznały, że prowokacja na Chłodnej jako zbrodnia komunistyczna się przedawniła. Dlatego akt oskarżenia nie trafi na wokandę, a sprawa zostaje umorzona. 16 grudnia 2020 r. zastępca prokuratora generalnego i zarazem dyrektor pionu śledczego IPN – prokurator Andrzej Pozorski – skierował do Sądu Najwyższego skargę nadzwyczajną w sprawie prowokacji na Chłodnej. Argumentował m.in., że przestępcze działania wysokich funkcjonariuszy MSW wymierzone w kapelana Solidarności miały charakter zbrodni przeciwko ludzkości, która się nie przedawniła. 9 grudnia 2021 r. Sąd Najwyższy uznał skargę za zasadną i zdecydował zwrócić sprawę do Sądu Apelacyjnego w Warszawie.

17 marca 2022 r. warszawski sąd apelacyjny wydał postanowienie o skierowaniu sprawy do rozpoznania przez sąd pierwszej instancji. Sędzia Marzanna A. Piekarska-Drażek uznała, że prowokacja na Chłodnej stanowiła zbrodnię przeciwko ludzkości. Według wydanego przez nią postanowienia działania esbeków

wymierzone w kapelana Solidarności wpisywały się w zorganizowany ciąg przestępczych działań MSW pod wodzą gen. Czesława Kiszczaka. Były one zarazem konsekwencją powszechnego łamania praw człowieka i pośrednio doprowadziły do uprowadzenia i zabójstwa kapłana niespełna rok po prowokacji na Chłodnej. Za udział w uprowadzeniu i zabójstwie ks. Popiełuszki skazano w dużej mierze tych samych esbeków, którzy później zostali oskarżeni przez IPN o udział w prowokacji na Chłodnej. Byli to: Grzegorz P., Waldemar Chmielewski oraz Leszek Pękala (ostatni dwaj zmienili nazwiska).

W postanowieniu z 17 marca 2022 r. sędzia Marzanna A. Piekarska-Drażek przywołała i zacytowała wiele aktów międzynarodowego prawa, m.in. przyjętą na trzeciej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Paryżu 10 grudnia 1948 r. Powszechną Deklarację Praw Człowieka, następnie sporządzoną w Rzymie 4 listopada 1950 r. Konwencję o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności, co wiązało się jednocześnie z powołaniem Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, który funkcjonuje do dziś. Wreszcie sędzia Sądu Apelacyjnego w Warszawie wymieniła w swoim postanowieniu otwarty w Nowym Jorku 19 grudnia 1966 r. Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych, który został ratyfikowany przez Radę Państwa PRL z jednoczesnym zobowiązaniem, że będzie on bezwzględnie przestrzegany.

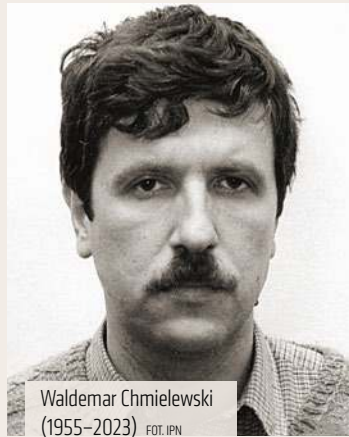
OSACZYĆ I ZNISZCZYĆ

W obszernym uzasadnieniu postanowienia warszawskiego sądu czytamy także, że sytuację kapelana Solidarności po wprowadzeniu stanu wojennego najlepiej charakteryzuje jedno słowo: osaczenie.

„Ciągła obserwacja – dowodziła sędzia – podsłuchy, naruszanie prywatności, nieustanna inwigilacja, także z wykorzystaniem osób, którym pokrzywdzony ufał, rzucanie podejrzeń, insynuacji, w celu utraty dobrego imienia kapłana, zaufania i autorytetu, jakim się cieszył pokrzywdzony, wymyślone zarzuty kar-



Milicyjne zdjęcia przedmiotów znalezionych podczas rewizji w mieszkaniu ks. Popiełuszki 12 grudnia 1983 r. Fot. IPN



Waldemar Chmielewski
(1955–2023) Fot. IPN

ne, nękanie czynnościami procesowymi, w tym: wzywaniem na przesłuchania, zatrzymaniem [...], a wreszcie wytworzenie (podrzucenie) do mieszkania fałszywych dowodów – [to wszystko] wywoływało [w księdzu] stan osaczenia”.

Atak na kapłana ochoczo wsparł, używając pseudonimu Michał Ostrowski, rzecznik rządu Wojciecha Jaruzelskiego Jerzy Urban, który zaatakował księdza w napisanym przez siebie paszkwilu „Garoniera ob. Popiełuszki”, opublikowanym w „Expressie Wieczornym” 27 grudnia 1983 r. Szkic tekstu, który dostarczyli mu wysłannicy resortu gen. Kiszczaka, wydał mu się – jak sam wyznał po latach – pretensjonalny. „Poprawił” co trzeba i już w wersji autorskiej puścił do druku. Tekst we fragmentach opublikowała „Trybuna Ludu”. Odczytywano go także na antenie Polskiego Radia. Jednak Urbana nigdy nie pociągnięto do odpowiedzialności karnej za to, co zrobił w sprawie prowokacji na Chłodnej.

Prześladując jednostkę – dowodziła sędzia Marzanna A. Piekarska-Drażek – zwłaszcza o takim autorytecie

dla opozycji demokratycznej w latach 80., oddziaływano odstrasżająco na pozostałych, niepokorzonych z ówczesną władzą obywateli PRL. Takie działania nie tylko wywoływały lęk, lecz także zniechęcenie do działalności opozycyjnej lub odsuwanie na margines osób atakowanych przez reżim. Jak podkreślono w postanowieniu sądu apelacyjnego: „Obywatel ma niezbywalne prawo do wolności od lęku przed własnym

państwem”. Zatem nie tylko zbrodnie wojenne, lecz także działania skierowane w czasie pokoju przeciwko jednostkom mogą zostać w określonych okolicznościach uznane za zbrodnie przeciwko ludzkości. W taki też sposób sąd ocenił prowokację na Chłodnej.

NA RAZIE BEZ EPILOGU

Okazuje się jednak, że zarzuty stawiane jednemu z oskarżonych w tej sprawie esbeków nie zostaną odczytane na sali sądowej. Jak ustalił tygodnik „Do Rzeczy”, skazany za udział w uprowadzeniu i zabójstwie ks. Popiełuszki w październiku 1984 r. oraz oskarżony o udział w prowokacji na Chłodnej w grudniu 1983 r. były porucznik bezpieczeństwa Waldemar Chmielewski zmarł 5 września 2023 r. w Warszawie. Pochowano go tydzień później na jednym ze stołecznych cmentarzy. Ceremonia pożegnalna – jak czytamy w nekrologu – miała świecki charakter.

Po odbyciu wyroku za udział w uprowadzeniu i zabójstwie kapelana Solidarności Chmielewski zmienił nazwisko i prowadził prywatną działalność gospodarczą. W śledztwie dotyczącym prowokacji na Chłodnej prowadzonym przez pion śledczy IPN nie przyznał się do zarzucanych mu czynów i odmówił składania wyjaśnień.

Biuro prasowe warszawskiego sądu okręgowego 6 marca 2024 r. e-mailowo poinformowało „Do Rzeczy”, że nadal nie wyznaczono terminu pierwszej wokandy w sprawie prowokacji na Chłodnej. Pozostali dwaj oskarżeni – byli funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa Grzegorz P. i Leszek Pękala – są starsi od zmarłego w roku ubiegłym Waldemara Chmielewskiego.



Trump bezkonkurencyjny



Jacek Przybylski

Donald Trump konsekwentnie realizuje obietnicę odzyskania władzy, którą w styczniu 2021 r. złożył swoim sympatykom. W spektakularny sposób zwyciężył w prawyborczy superwtorek, zmuszając Nikki Haley do uznania porażki i wycofania się z wyścigu po partyjną nominację. W Ameryce szykuje się więc pierwszy od 1956 r. prezydencki rewanż

56

Początek marca 2024 r. mocno zapisze się w historii amerykańskiej polityki. 4 marca Sąd Najwyższy orzekł kluczowy w tej kampanii wyrok w sprawie Donald Trump versus Norma Anderson. Dlaczego kluczowy? Ponieważ 91-letnia prawniczka z Lakewood, Norma Anderson, próbowała uniemożliwić Donaldowi Trumpowi start w wyborach prezydenckich, przekonując, że były prezydent niszczy amerykańską demokrację. W grudniu decyzję o wykluczeniu Trumpa z prawyborów podjął

Donald Trump w tegorocznych prawyborach wyjątkowo szybko pokonał partyjnych rywali FOT. WIN MCNAMEE/GETTY IMAGES

działań, które doprowadziły do szturmu jego sympatyków na Kapitol 6 stycznia 2021 r. I sądownie usunęli lidera Partii Republikańskiej z list do głosowania.

Donald Trump złożył apelację do Sądu Najwyższego USA. W poniedziałek 4 marca sędziowie jednogłośnie orzekli, że lider konserwatystów ma prawo ubiegać się ponownie o urząd prezydenta. To wyjątkowo ważne orzeczenie. Oznacza bowiem nie tylko, że były prezydent będzie mógł startować w wyborach w Kolorado, lecz także, że lewicowi radykałowie nie będą mogli po prostu wymazać z kart do głosowania swego politycznego przeciwnika w innych stanach, takich jak Illinois, Kalifornia, Wisconsin czy Maine (w tym stanie decyzję o usunięciu Trumpa z list podjął odpowiedzialny za organizację wyborów urzędnik z Partii Demokratycznej).

Gdyby wyrok Sądu Najwyższego USA brzmiał przeciwnie, Trump mógłby się już na zawsze pożegnać z marzeniami o Białym Domu. Stanom Zjednoczonym groziłoby zaś prawdziwe powstanie zwolenników byłego prezydenta, walczących z lewicowymi autokratami chcącymi wyręczyć amerykańskich wyborców w decydowaniu o tym, na kogo chcieliby głosować.

MIAŻDŻĄCA WYGRANA

Po wyjątkowo istotnym dla amerykańskiej demokracji poniedziałku nadszedł superważny i superprzewidywalny superwtorek, czyli dzień, w którym do prawyborczych urn poszli mieszkańcy aż 15 stanów. Wynik? Wygrali wyraźnie Joe Biden oraz Donald Trump. Wygrana byłego prezydenta była na tyle istotna, że swoją porażkę uznała w końcu była gubernator Karoliny Południowej i była ambasador USA przy ONZ Nikki Haley, która jako ostatnia wycofała się z wyścigu po nominację Partii Republikańskiej (od początku roku zdołała pokonać byłego prezydenta jedynie w stołecznym Dystrykcie Kolumbia oraz w małym i liberalnym stanie Vermont). Łatwiej wyobrazić sobie przepaść między kandydatami walczącymi o nominację Partii Republikańskiej, podając szacowaną liczbę zdobytych delegatów. Aby otrzymać partyjne błogosławieństwo, potrzebnych jest 1215 głosów; Donald Trump ma ich obecnie 1031, Nikki Haley 89, gubernator Florydy Ron DeSantis (nazywany w ubiegłym roku przez swych zwolenników „Trumpem z mózgiem”) ma ich dziewięć, a bo-

gaty biznesmen Vivek Ramaswamy trzy. Tym samym na bardzo wczesnym etapie wyścigu Donald Trump pokonał wszystkich partyjnych kontrkandydatów i mógł oficjalnie, już na początku marca, wezwać do zjednoczenia wszystkich zwolenników Partii Republikańskiej wokół jego osoby. To istotny sukces, bo tym razem Trump pokonał partyjnych rywali o wiele wcześniej niż w roku 2016, podczas pierwszego wyścigu po prezydencką nominację.

REWANŻ JAK W ROKU 1956

Bezkonkurencyjny wśród sympatyków demokratów okazał się urzędujący Joe Biden. To zaś oznacza, że o najważniejszy urząd świata w listopadzie powalczą znów 77-letni Donald Trump z 81-letnim Joe Bidenem. Takiej prezydenckiej dogrywki Ameryka nie widziała od listopada 1956 r. Wówczas w walce o Białą Dom starli się republikanin Dwight D. Eisenhower i kandydat demokratów Adlai Stevenson II (wcześniej Eisenhower i Stevenson walczyli o Białą Dom w 1952 r.). Republikanie długo zastanawiali się zresztą, czy wystawić Eisenhowera ze względu na jego stan zdrowia. On sam chciał jednak walczyć o reelekcję i w sierpniu 1956 r. otrzymał partyjną nominację i w wyborach – m.in. dzięki wybuchowi kryzysu sueskiego i powstania na Węgrzech – wyraźnie zwyciężył, uzyskując w powszechnym głosowaniu o 10 mln głosów więcej od rywala. W 1957 r. wygłosił zaś w Kongresie tezę, które przeszły do historii jako „doktryna Eisenhowera”.

Ostatnie sondaże wskazują, że w tegorocznym wyścigu Trump i Biden do samego końca mogą iść łeb w łeb. Wielu Amerykanów wcale nie jest zachwyconych takim rewanżem i ma żal, że na listach nie zobaczą nazwisk młodszych kandydatów. W ubiegłym tygodniu według średniej ogólnokrajowej z sondaży przeprowadzonych przez RealClearPolitics Donald Trump miał niewielką przewagę – dwa punkty procentowe – nad Joe Bidenem.

JAK MOŻE WYGRAĆ „ŚPIĄCY JOE”?

Im bliżej listopadowego głosowania, tym bardziej elity Partii Demokratycznej mogą być nerwowe. Wystarczy rzut oka na sondaże, aby się zorientować, że oceny rządów Bidena już są fatalne, a będą tylko jeszcze gorsze. Podczas prawyborczego

sąd w Kolorado, powołując się na 14. poprawkę do amerykańskiej konstytucji. Trzeci paragraf dokumentu przyjętego po wojnie secesyjnej (1861–1865) mówi, że można zabronić sprawowania urzędu osobie, która „złożyła przysięgę na Konstytucję Stanów Zjednoczonych, a następnie wzięła udział w powstaniu lub buncie przeciw niej albo udzielała jej wrogom pomocy lub poparcia”.

Lewicowi prawnicy uznali więc radośnie, że Trump nie może ponownie pełnić funkcji prezydenta USA z powodu

■ superwtorku Joe Biden przeszedł do historii jako pierwszy od czasów Jimmy'ego Cartera urzędujący prezydent, który nie wszędzie wygrał prawyborów (na wyspach Samoa Amerykańskiego Bidena pokonał nieznany szerzej biznesmen Jason Palmer). Biden ma problem nie tylko z poprawnym złożeniem zdania czy odnalezieniem się na scenie, lecz także z wykruszającymi się kolejnymi grupami elektoratu. Widać to było wyraźnie w stanach Minnesota oraz Michigan, w których co prawda urzędujący prezydent zdecydowanie zwyciężył, ale w których muzulmańscy wyborcy zademonstrowali swój wyraźny sprzeciw wobec polityki Białego Domu wobec Izraela i konfliktu w Strefie Gazy. Biden traci również poparcie wśród czarnych oraz Latynosów, czyli wśród tych wyborców, którzy cztery lata temu odegrali kluczową rolę w zapewnieniu zwycięstwa kandydatowi Partii Demokratycznej.

Co prawda, Donald Trump również nie należy do ulubieńców większości Amerykanów, ale w ostatnich tygodniach badania opinii publicznej pokazują, że powinien on pokonać urzędującego prezydenta, który ma coraz większe problemy ze zdrowiem, z pamięcią i koncentracją. Jeśli nie uda się doprowadzić do znaczącej poprawy stanu Bidena (lub jeśli demokraci nie wymienią go na kogoś, kto publicznie nie rozmawia ze zmarłymi), to Trump może już szykować rzeczy do przeprowadzki do Białego Domu.

Zmianę adresu na najbardziej prestiżowy w USA byłemu prezydentowi pokrzyżować mogą jednak liczne sprawy karne. Badania opinii publicznej pokazują jasno, że wielu konserwatystów nie zdecyduje się zagłosować na Trumpa, jeśli przed listopadowymi wyborami zostanie on skazany za przestępstwo. Już superwtorek pokazał, że problem jest istotny, bo były prezydent uzyskał realnie o wiele gorsze wyniki w poszczególnych stanach, niż wskazywały na to sondaże. Z tzw. badań exit poll wynika także, że jedna trzecia republikańskich wyborców nie jest przekonana, czy rzeczywiście powinna poprzeć Donalda Trumpa. Od byłego prezydenta odwracają się głównie przedstawiciele umiarkowanego elektoratu. Niewykluczone, że mogłoby mu pomóc wyznaczenie na kandydata na wiceprezydenta 51-letniej Nikki Haley, cieszącej się większym niż Trump uznaniem wśród umiarkowanych konserwatystów,

absolwentów szkół wyższych, zwolenników aborcji i wyborców, którzy uważają, że wynik wyborów w 2020 r. był zgodny z prawem. Nie jest jednak wcale powiedziane, że nawet jeśli Trump zdecydowałby się jej to zaproponować, to popularna była gubernator Karoliny Południowej tę ofertę przyjmie. Jest bowiem bardzo młoda i polityczna przyszłość stoi przed nią otworem. Wycofując się z wyścigu, nie poparła więc publicznie ostatniego zawodnika w tym wyścigu. – Zawsze byłam konserwatywną republikanką i zawsze wspierałam kandydata Partii Republikańskiej. Jednak w tej kwestii, podobnie jak w przypadku wielu innych, Margaret Thatcher udzieliła dobrej rady, mówiąc: „Nigdy nie podążaj tylko za tłumem”. Zawsze sama podejmuję decyzję – zaznaczyła Nikki Haley, która podczas kampanii umiejętnie zaprezentowała się jako przedstawicielka nowego pokolenia konserwatywnych polityków i przedstawiła rozsądnie brzmiące propozycje dotyczące zarówno gospodarki, jak i kwestii związanych z amerykańską polityką zagraniczną.

Przeprowadzkę do Białego Domu Donaldowi Trumpowi pokrzyżować mogą liczne sprawy karne

Ewentualny brak poparcia dla Trumpa umiarkowanej części elektoratu mógłby mieć szczególnie duże znaczenie w tzw. swing states. Brak entuzjazmu – mówiąc ogólnie – ze strony republikańskich wyborców, np. w Karolinie Północnej czy Wirginii, grozi przechyleniem się szali zwycięstwa w tych stanach na korzyść „śpiącego Joe”. Przed takim ryzykiem wielokrotnie ostrzegała podczas swej kampanii Nikki Haley, której sondaże dawały wyższą przewagę w potencjalnym pojedynku z urzędującym prezydentem.

Jednakże w 2016 r. początkowo aż 75 proc. republikanów popierających w prawyborach innych kandydatów niż Donald Trump również wskazywało w exit poll, że byłiby bardzo niezadowoleni, gdyby to właśnie on otrzymał partyjną nominację, ale gdy przyszło do kluczowego pojedynku z Hillary Clinton,

90 proc. z nich oddało jednak głos na przedstawiciela Partii Republikańskiej.

W ubiegłym tygodniu, tuż po ogłoszeniu przez Haley decyzji o wycofaniu się z wyścigu, Donald Trump zyskał poważnego sojusznika. Wyjątkowo wpływowy lider republikanów w Senacie i zagorzały przeciwnik byłego prezydenta Mitch McConnell oznajmił, że pomimo różnic dzielących go z Trumpem poprze go w nadchodzących wyborach prezydenckich. I zauważył, że Trump uzyskał „niezbędne poparcie wyborców Partii Republikańskiej, aby zostać naszym kandydatem na prezydenta Stanów Zjednoczonych”.

GOSPODARKA I IMIGRACJA

Najważniejsze pytanie nadal brzmi więc teraz: Czy do listopadowych wyborów Trump rzeczywiście zostanie skazany? Wiele wskazuje bowiem na to, że prawnikom byłego prezydenta może się udać odwiec w czasie ostateczne rozstrzygnięcia. Zwolennicy byłego prezydenta liczą z kolei na to, że jeśli pokona Bidena i wywalczy drugą kadencję, to skupi się na skutecznej walce z nielegalną imigracją (np. umożliwi szybką deportację z USA członków gangów, ćpunów i handlarzy narkotykami oraz członków wielkich karteli, którzy za rządów Partii Demokratycznej mocno nadużywają amerykańskiej gościnności), a także zajmie się wreszcie kluczowymi dla większości Amerykanów problemami: naprawą gospodarki i zapewnieniem Ameryce bezpieczeństwa energetycznego (głównie poprzez powrót do wydobywania paliw kopalnych i odwrót od forsowanej przez ekipę Bidena „zielonej energii”, subsydiów na samochody elektryczne etc.). Sympatycy Donalda Trumpa liczą także na to, że skończy on z wymysłami lewicowych edukatorów promujących krytyczną teorię rasy czy ideologię gender.

Republikanie mogą również straszyć niezdecydowanych wyborców, że głosowanie na Bidena oznacza de facto poparcie dla wiceprezydent Kamali Harris i grozi skierowaniem Ameryki w stronę socjalizmu. Jest bowiem bardzo prawdopodobne, że Joe Biden w razie zwycięstwa nie dotrwa w wystarczająco dobrej kondycji do końca drugiej kadencji, a wówczas na czele Białego Domu stanie właśnie Harris, czyli osoba o skrajnie lewicowych poglądach.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. CHRISTIAN LEWIC/CORBIS/GETTY IMAGES

ABORCJA W KONSTYTUCJI

Francuski parlament jako pierwszy na świecie zdecydował o dopisaniu do konstytucji „prawa do aborcji”. Przerwanie ciąży ma być tam jednym z „praw gwarantowanych”. Prezydent Emmanuel Macron decyzję polityków określił jako „francuską dumę”. Jego zdaniem to także „uniwersalne przesłanie” dla świata. Aborcja we Francji jest legalna od 1975 r. i od tego czasu prawo to wielokrotnie nowelizowano, za każdym razem ułatwiając dostęp do przerywania ciąży.

EUROWIZJA KONTRA HAMAS

Piosenkarze z Izraela śpiewają na Eurowizji, choć państwo to leży poza Europą. Jednak na tym koniec ustępstw. Nie mogą śpiewać wszystkiego, co chcą. Organizatorzy konkursu właśnie zablokowali propozycję piosenki, bo według nich tekst utworu jawnie nawiązywał do ataku na Hamas.

ZASZCZEPIONY 217 RAZY

Mieszkaniec Magdeburga pobił rekord w zabezpieczeniu się przeciw COVID-19. Sześćdziesięciodwulatek w nieco ponad dwa lata został zaszczepiony 217 razy przy użyciu ośmiu różnych szczepionek. Naukowcy z Uniwersytetu i szpitala uniwersyteckiego w Erlangen przebadali go i uznali, że „funkcjonuje całkowicie normalnie” i ma częściej występujące przeciwciała przeciw SARS-CoV-2 niż osoby, które otrzymały tylko trzy szczepienia. Nie ujawniono, dlaczego mężczyzna tyle razy się szczepił. Podano tylko, że miał „powody osobiste”.

KONESER WINA

Kiedy właściciel winnicy w Beaune we Francji na monitoringu zobaczył, że jeden z pracowników wynosi cztery butelki wina, zgłosił to na policję. Funkcjonariusze przeszukali dom podejrzanego. Znaleźli tam 7 tys. butelek wina wartego ponad 2 mln zł. Okazało się, że mężczyzna wynosił wino z pracy przez 15 lat. Tłumaczył, że po prostu lubi wino.

MASZYNIŚCI OGLĄDALI MECZ

W październiku ubiegłego roku w stanie Andhra Pradesh w południowych Indiach jeden pociąg się wykołoił, a drugi na niego najechał. Jak doniosło BBC, z badania tej katastrofy wyłoniły się zaskakujące wnioski. Obaj maszyniści pociągu, który najechał na wykołojony skład, nie patrzyli na tory, bo oglądali mecz. W tym czasie rozgrywany był puchar świata w krykieta i na boisku bój toczyły zespoły Indii i Anglii. W katastrofie zginęli obaj maszyniści zafascynowani sportem oraz 12 pasażerów pociągów. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Ćwierć wieku w NATO

Dokładnie 12 marca 1999 r. Polska wraz z Czechami i Węgrami stała się członkiem najpotężniejszego sojuszu w historii współczesnego świata. Po rozszerzeniu o Finlandię i Szwecję NATO liczy już 32 członków.

I chociaż bezpieczeństwo krajom dawnego Układu Warszawskiego sojusz gwarantuje spokojniejszy sen już od ćwierć wieku, to dopiero niedawno szefowie NATO, a zwłaszcza kluczowi politycy w krajach sojuszu, przestali śnić na jawie. Dopiero od niedawna opinia publiczna nie jest karmiona niestworzonymi historiami o tym, że Rosja nie jest

już dla sojuszu zagrożeniem (choć sama Rosja przez ostatnie trzy dekady ani przez chwilę nie przestała traktować NATO jak wroga).

Na szczęście inwazja Rosji na Ukrainę sprawiła, że kraje sojuszu zaczęły poważniej traktować ryzyko ze strony Kremla. Niestety, próba mianowania nowym sekretarzem nieudolnego lewicowego premiera Holandii świadczy o tym, że liderzy Zachodu nadal miewają problemy z realną oceną rzeczywistości. Kraje wschodniej flanki słusznie zauważają, że Mark Rutte nie tylko nie ma kwalifikacji, lecz także brakuje mu moralnego

mandatu, aby stanąć na czele NATO. Przez lata jako premier nie zwiększył bowiem wydatków Holandii na obronność choćby do poziomu 2 proc. PKB. „Pasażerowie na gapę” nie powinni zaś dostawać prezentów.

Jednocześnie europejscy politycy wciąż opowiadają farmazony o tworzeniu alternatywy dla NATO lub unijnej armii. Po męsku do tych mrzonek odniosła się szefowa MON Czech. Černochová stwierdziła w lutym, że nie popiera marzeń o wspólnej armii EU, bo jest to tylko „iluzja”. Wreszcie ktoś trzeźwo myśłący... ©

Mark Rutte i jego wielkie nadzieje



Teresa Stylińska

Czy Mark Rutte, ciągle jeszcze urzędujący premier Holandii, może mieć pewność, że zostanie sekretarzem generalnym NATO? Ton doniesień medialnych z ostatnich kilku tygodni pozwala sądzić, że sprawa jest właściwie przesądzona przede wszystkim dlatego, że kandydatura Ruttego zyskała aprobatę najważniejszych państw sojuszu: USA, Wielkiej Brytanii, Francji i Niemiec



FOT. REMO DE WAAL / HOLLANDE HOOGTE / EBT NEWS

Ich przedstawiciele istotnie – o czym wiadomo z zakulisowych informacji – mówią o pretendencie przychylnie. Ruttego akceptuje nawet prezydent Joe Biden, mimo pojawiających się w Ameryce głosów, że zbyt niski budżet wojskowy Holandii powinien kandydaturę jej premiera z góry przekreślić. W 2023 r. Holandia na cele wojskowe przeznaczyła 1,7 proc. PKB, znacznie poniżej ustalonego poziomu 2 proc. Ważniejsza, bo oficjalna, jest sugestia, by z wyborem nowego szefa NATO nie zwlekać. Julianne Smith, ambasador USA przy Kwaterze Głównej NATO w Brukseli, wyraziła nadzieję, że nastąpi to już w pierwszym kwartale tego roku.

Przychylność największych państw sojuszu ma swą wagę i wymowę, niczego jednak nie przesądza. Sekretarz generalny NATO jest wybierany na zasadzie consensusu. Muszą go zaakceptować wszyscy członkowie sojuszu – 31 państw lub 32 państwa, jeśli przed decyzją w tej sprawie do NATO wejdzie Szwecja. Kandydatura Ruttego ma zaś немало przeciwników, którzy, choć kierują się różnymi względami, mogą ją skutecznie

storpedować. Dopóki decyzja nie zapadnie, dopóty wszystko może się zdarzyć.

JAK OBLĄSKAWIĆ TRUMPA?

Pośpiechu właściwie nie ma, bo Jens Stoltenberg, obecny sekretarz generalny, ma ustąpić dopiero 1 października. Swą funkcję pełni od 10 lat, przez dwie czteroletnie kadencje plus dwa dodatkowe lata, zgodził się bowiem na przedłużenie urzędowania w związku z wojną ukraińską. Jest jednak parę aspektów, które przemawiają za wcześniejszym wybraniem jego następcy.

Po pierwsze, sojusznicy chcą, by sprawa rozstrzygnęła się przed lipcowym szczytem w Waszyngtonie – jubileuszowym, bo odbywającym się w 75. rocznicę powstania NATO. Obecność przyszłego sekretarza generalnego miałaby walor symboliczny. Po drugie, na wybór szefa NATO nie powinny nakładać się najrozmaitsze względy związane z wyborami prezydenckimi w USA i wyborami do europarlamentu. Wreszcie – choć nie mówi się o tym wprost – wielu wolałoby, by decyzja zapadła, zanim stanie się jasne, że do Białego Domu może powrócić Donald Trump.

Taka ewentualność może jednak, paradoksalnie, działać na korzyść Marka Ruttego. Uchodzi on bowiem za polityka, który potrafi ułożyć sobie stosunki z Trumpem, ułagodzić go czy wręcz obłaskawić, co znalazło wyraz w przydomku, którym przed laty Ruttego obdarzono: „zaklinacza Trumpa”.

Na to intrygujące miano premier Holandii zapracował sobie podczas NATO-wskiego szczytu w 2018 r. Gdy Donald Trump poruszył swój ulubiony temat dwuprocentowego minimum wydatków na obronę, ostro piętnując sojuszników, którzy nie wywiązują się z uzgodnień, Rutte spokojnie zauważył, że i tak jest znacznie lepiej. I nie przypadkiem, dodał, bo ta pożądana zmiana to zasługa prezydenta USA. Napięcie opadło, zadowolony Trump na konferencji prasowej po szczycie z uznaniem mówił o „ogromnych postępach”, które poczyniono, Ruttego zaś podczas późniejszych spotkań nazywał przyjacielem.

DUCH CNÓT I POPRAWNOŚCI

Umiejętność współpracy, niezaostrzania konfliktów i dochodzenia do kompromisu Mark Rutte wyniósł ze świata

polityki we własnym kraju czy wręcz z ducha holenderskiego społeczeństwa, w którym zgoda i kompromis są wysoko cenione. W Holandii ostatni rząd jednopartyjny istniał pod koniec lat 50., od tego czasu rządzą wyłącznie koalicje, a to wyklucza ostre eksponowanie różnic. Na tym trudnym polu Rutte ma się czym pochwalić: był najdłużej urzędującym premierem w historii Holandii. Kierowała czterema rządami przez w sumie 13 lat, co wśród obecnych unijskich przywódców daje mu drugie miejsce, za Viktorem Orbánem.

Zręczne pokonywanie raf i problemów nadało Ruttemu kolejny przydomek. „Teflonowego Marka” nie mają się problemy, które innych wyrzucają za burtę. Bez szwanku wyszedł z najważniejszej za jego rządów afery, związanej z pomyłką władz skarbowych, które oskarżyły 20 tys. rodzin, głównie imigranckich, o wyłudzenie zasiłków na dzieci – chociaż rząd upadł. Rafę unijną, czyli wspólną pomoc dla krajów, które najbardziej ucierpiały wskutek pandemii, obrócił zaś na swą korzyść. Holandia przeprowadziła wówczas grupie czterech państw najbardziej temu przeciwnych (pozostałe to Dania, Szwecja i Austria) nazywanych złośliwie „frugals” – skąpcami. I tak się jakoś stało, że słowo „frugals” straciło negatywny wydźwięk, stając się określeniem rozwagi i oszczędności...

Mark Rutte to żywe wcielenie protestanckich cnót, a zarazem poprawności politycznej – dwóch cech społeczeństwa holenderskiego. Żyje skromnie, unika ostentacji. Mieszka w Hadze w swym dawnym mieszkaniu, jeździ starym saabem, i to tylko wtedy, gdy nie da się inaczej, bo jak wszyscy Holendrzy woli rower. Ma niewielkie grono starych przyjaciół, z którymi spędza również wakacje. Należy do Kościoła protestanckiego. Ukończył historię na Uniwersytecie w Lejdzie, pracował w Unilever. Nawet gdy został premierem, nie zrezygnował z prowadzenia co czwartek zajęć z nauk społecznych w jednym z liceów w Hadze. Jest miłośnikiem muzyki klasycznej, gra na fortepianie i w młodości rozważał karierę muzyczną.

DAWNY CZARNY PIOTRUŚ

Rutte jest bardzo związany z rodziną – liczną, bo jest najmłodszym z sześciorga

rodzeństwa (jeden z jego braci nie żyje, zmarł przed laty na AIDS). Ma 67 lat, jest kawalerem, co oczywiście budzi ciekawość i rodzi wiadome podejrzenia. Nie rozwiewa ich ani nie potwierdza, nigdy nie wypowiada się na ten temat i nie daje powodu do plotek. I trzyma się zasad: gdy podczas pandemii jego rząd zakazał wizyt w domach starców, by chronić pensjonariuszy, zrezygnował z odwiedzenia umierającej matki, z którą, co zawsze podkreślał, łączyły go wyjątkowe więzy.

Już podczas studiów Rutte związał się z Partią Ludową na rzecz Wolności i Demokracji (VVD), której po latach został liderem. Chociaż VVD przedstawia się jako partia liberalno-konserwatywna, konserwatyizmu trudno się w niej doszukać. Przykłady? To Rutte najostrzej krytykował węgierską ustawę zakazującą rozpowszechniania ideologii LGBT w szkołach, czytelnie sugerując, że dla Węgier nie ma miejsca w Unii Europejskiej. To on stwierdził, że nie ma przeszkód, by holenderski król bądź królowa zawarli małżeństwo z osobą tej samej płci. Homomałżeństwa są w Holandii od ponad 20 lat, nikomu jednak nie przyszło do głowy, by pod tym kątem spojrzeć na monarchię. Rutte przeproszał też mieszkańców dawnych holenderskich kolonii za niewolnictwo i doznane krzywdy, choć oczywiście, jak przystało na „frugalsa”, reparacje wykluczył.

No i Zvarte Piet – Czarny Piotruś, kultowa postać wesołego Murzynka z Orszaku św. Mikołaja, który odwiedza holenderskie miejscowości na początku grudnia. Kultowa do czasu, gdy głosiciele postępu orzekli, że przebijanie się za Murzynka jest przejawem rasizmu. Wśród obrońców superważnej dla Holendrów tradycji był z początku także premier Rutte, który nawet ujawnił, że jako młody człowiek sam występował w roli Piotrusia. Presja poprawności zrobiła jednak swoje, Rutte z czasem pojął swój błąd i dziś już wyraża nadzieję, że Czarny Piotruś z czasem zniknie.

MOŻE WSCHODNIA FLANKA, MOŻE KOBIETA?

Kandydatura Marka Ruttego na szefa NATO nie pojawiła się przypadkiem. Z opowieści ludzi, którzy dobrze go znają, wynika, że za fasadą polityka skromnego, opanowanego, może nawet

łagodnego kryje się człowiek pełen determinacji, który starannie planuje każdy swój ruch.

Na początku lipca ubiegłego roku, gdy na tle polityki imigracyjnej rozpadł się jego rząd, Rutte zaskoczył wszystkich deklaracją, że w zapowiedzianych wyborach nie będzie już kandydował. Wkrótce stało się jasne dlaczego. W październiku w wywiadzie dla Radia Den Haag Rutte zasignalizował – czytelnie, choć delikatnie – że myśli o stanowisku sekretarza generalnego NATO. Byłoby to, wyjaśniał, interesujące wyzwanie, funkcja ta bowiem daje możliwość „wpływania na bieg wydarzeń w czasie, gdy na świecie dokonują się dramatyczne zmiany”. Zastrzegł jednak, że na wiele nie liczy, bo „jest duża szansa, iż stanowisko to przypadnie kobiecie”. I bardzo dobrze – podkreślił.

Atutem Ruttego są wyraźne, choć nie przesadne zaangażowanie Holandii po stronie Ukrainy, dobra współpraca z przywódcami najważniejszych państw sojuszu, jego duże doświadczenie i koncyliacyjny styl uprawiania polityki. Na jego korzyść przemawiał również brak kontrkandydata. Objęcie funkcji w NATO rozważała wprawdzie premier Estonii Kaja Kallas, były to jednak luźne wypowiedzi, a nie formalne zgłoszenie. Z chwilą, gdy swą kandydaturę zgłosił Klaus Iohannis, prezydent Rumunii, sytuacja się zmieniła. Państwa wschodniej flanki zresztą coraz mocniej podkreślają, że kierowanie sojuszem należy wreszcie powierzyć komuś z ich grona.

Minusów Rutte ma niemało, i to poważniejszych niż niskie wydatki wojskowe. Nawet jeśli ok. 20 państw NATO jest skłonnych go poprzeć, to z pozostałymi może mieć kłopoty. Węgry pamiętają mu zjadliwe wypowiedzi, Rumunia i Bułgaria – uparte blokowanie ich wejścia do strefy Schengen, Turcja obawia się, że Rutte będzie faworyzować kraje Unii. Zachowują więc dystans. Rutte zaś, pewien, zdaniem obserwatorów, że przychylność Zachodu wystarczy, o względy Europy Środkowej zabiega słabo.

Kardynał, który wchodzi na konklawe jako przyszły papież, opuszcza je, jak mówi znane powiedzenie, jako kardynał. Czy wielkie nadzieje Ruttego mogą skończyć się podobnie?

Ilu żołnierzy straciły Kijów i Moskwa?



Maciej Pieczyński

Ukraina i Rosja tracą tysiące zabitych i rannych. Ilu – nie wiadomo, bo wojenna propaganda zaciemnia obraz. Tak czy inaczej, obrońca i agresor się wykrwawiają. Ale gospodarczo więcej traci obrońca



FOT. ADARBE STOCK

Podsumowując dwa lata wojny, prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski podał liczbę 31 tys. poległych Ukraińców i ok. 180 tys. poległych Rosjan. Nie tylko zdaniem kremłowskiej propagandy, lecz także według zachodnich źródeł dane te nie mają zbyt wiele wspólnego z rzeczywistością. Kijów zaniża straty własne, a zawyża przeciwnika. Moskwa robi zresztą to samo. 21 września 2022 r., czyli w dniu ogłoszenia częściowej mobilizacji, Ministerstwo Obrony poinformowało, że od rozpoczęcia „specjalnej operacji wojskowej” na Ukrainie zginęło 5937 żołnierzy rosyjskich. Od tamtej pory Moskwa ani razu nie podawała danych za konkretny okres na temat strat własnych.

W drugą rocznicę wybuchu pełnoskalowej wojny rosyjski minister obrony Siergiej Szojgu ogłosił, że od początku działań zbrojnych straty ukraińskie wyniosły ponad 444 tys. osób. Często przez straty rozumie się liczbę samych zabitych. Jest to jednak potoczne rozumienie tego słowa. Zgodnie z fachową terminologią wojskową straty obejmują nie tylko poległych, lecz także wszystkich, którzy utracili zdolność do walki. Dodatkowo Szojgu uściślił, że właśnie o takie rozumienie strat mu chodziło. Nie wiadomo więc, ile z tych 444 tys. osób zginęło, a ile zostało rannych czy okaleczonych, ile zaginęło. Tak czy inaczej, różnice między oficjalnymi „informacjami”, podawanymi przez obie strony konfliktu, są porażające.

WYLICZENIA MEDIÓW

A jaka może być prawda, niezależna od wojennej propagandy kraju agresora czy kraju obrońcy? Nawet oficjalne dane jednej ze stron konfliktu bywają ze sobą sprzeczne. Sztab generalny Sił Zbrojnych Ukrainy 28 lutego informował, że straty armii rosyjskiej od początku wojny wyniosły 412 610 osób. Inaczej niż w przypadku Szojgu nie uściślono, o jakie znaczenie słowa „straty” chodziło. Niemniej dane te nie pasują do informacji podanych oficjalnie przez Zełenskiego. Jeśli sztabowcy mieli na myśli wyłącznie zabitych, to jest ich ponad dwa razy więcej niż według prezydenta. Jeśli chodziło o zabitych, rannych, zaginionych itd., to podana liczba wydaje się z kolei zbyt mała. Zełenski więc albo zaniżył, albo zawyżył liczbę zabitych Rosjan.

Jednak zarówno na ukraińskie, jak i na rosyjskie oficjalne dane trzeba patrzeć przez palce. Bardziej wiarygodne wydają się wyliczenia niezależnych mediów, nieobciążonych w takim stopniu jak władze obu krajów obowiązkiem prowadzenia wojennej propagandy i dezinformacji. BBC oraz rosyjski opozycyjny portal Mediazona ustaliły wspólnie imiona i nazwiska 45 tys. Rosjan, poległych na Ukrainie do lutego 2024 r. Rzecz jasna, tej liczby nie można nazwać nawet minimalną. Lista obejmuje bowiem wyłącznie przypadki oficjalnie potwierdzonych zgonów, o których można było się dowiedzieć z otwartych źródeł. Dodając do tego informacje z komentarzy na temat pochówków uczestników „specjalnej operacji wojskowej”, dziennikarze BBC doszli do wniosku, że zabitych po stronie rosyjskiej jest przynajmniej dwa razy więcej niż oficjalnie ustalonych nazwisk – czyli ok. 90 tys.

Podobne śledztwo dziennikarskie przeprowadziła wspomniana Mediazona we współpracy z innym niezależnym portalem rosyjskim, Medużą. Dziennikarze przeanalizowali rejestr spraw spadkowych i na tej podstawie wyliczyli nadmierną śmiertelność. Wyszło im, że straty Rosji w ludziach do 1 stycznia 2024 r. wyniosły 75 tys. osób. Te wyniki nie dają pełnego obrazu dwóch lat wojny. W styczniu i lutym bowiem toczyły się bardzo zażarte walki pod Awdiijiwką, gdzie Rosjanie ponosili spore straty. Nawet według niektórych rosyjskich źródeł w tej bitwie zginęło ok. 16 tys. żołnierzy po stronie agresora.

Te wszystkie analizy nie uwzględniają żołnierzy republik separatystycznych Donbasu. A przecież od samego początku wojny oddziały tzw. Donieckiej i Ługańskiej Republik Ludowych ponosiły ciężkie straty. Na podstawie otwartych źródeł dziennikarze wyliczyli, że mogło zginąć co najmniej 23,2 tys. separatystów. Jeszcze inne dane podawały media amerykańskie. W sierpniu 2023 r. „The New York Times”, powołując się na źródła w Pentagonie, informował, że Rosjanie na tamten moment stracili na Ukrainie prawie 300 tys. żołnierzy, w tym 120 tys. poległych. Podobne liczby podawali sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg i wywiad brytyjski.

ILU MOGŁO ZGINĄĆ UKRAIŃCÓW?

Przejdźmy do strat ukraińskich. Liczba 31 tys., podana przez Zełenskiego,

z pewnością jest mocno zaniżona. Na uwagę zasługuje jednak już to, że Kijów w ogóle podał jakiekolwiek dane na temat poległych w swoich szeregach. To pierwszy taki przypadek od grudnia 2022 r. Wtedy doradca prezydenta Mychajło Podolak informował, że od początku inwazji poległo od 10 do 13 tys. żołnierzy ukraińskich. W pierwszych tygodniach walk Ukraińcy w ogóle nie podawali informacji na temat strat własnych.

Ilu zatem mogło zginąć Ukraińców, jeśli nie 31 tys.? We wspomnianym sierpniowym artykule źródła „New York Timesa” informowały o 70 tys. poległych i 100–120 tys. rannych żołnierzach ukraińskich. Amerykański niezależny portal UALosses, zbierający informacje o znanych z imienia i nazwiska Ukraińcach, którzy zginęli na wojnie, wyliczył ich ponad 42 tys. od wybuchu pełnoskalowego konfliktu.

Podobnie jak w przypadku strat rosyjskich, ukraińskie straty podał Zełenski bez wyszczególnienia, ilu było dokładnie zabitych, a ilu rannych. Jak za uważa dziennikarz Biełsatu Gleb Nieżyn, który bardzo wnikliwie przeanalizował statystyki strat obu stron, brak dokładnych danych otwiera szerokie pole do interpretacji.

Warto też pamiętać, na jakiej podstawie w ogóle powstają oficjalne statystyki, niezależnie od propagandowego wymiaru ich ogłaszania. Otóż za poległego uważa się tego żołnierza, którego ciało zabrano z pola bitwy. Jeśli natomiast ciało pozostało na terenie okupowanym, to oficjalnie zostaje on uznany za zaginionego. I to nawet wówczas, gdy nie ma żadnych wątpliwości, że zginął. Nie ma ciała – nie ma poległego.

W październiku 2023 r. wiceszef ukraińskiego MSW Łeonid Tymczenko oświadczył, że od początku inwazji zginęło 26 tys. Ukraińców, w tym 15 tys. żołnierzy i 11 tys. cywilów. Rzecz jasna, zaginięcie nie oznacza śmierci. Jak odnotowuje Gleb Nieżyn, właśnie tym faktem Zełenski tłumaczył swoją niechęć do podawania szczegółowych statystyk. Bo żołnierz czy cywil może zginąć, ale następnie się odnaleźć, chociażby jako jeńiec. Dlatego szczegółowe podawanie osobno liczby zabitych, rannych, zaginionych czy wziętych do

■ niewoli niekoniecznie pokazuje pełny obraz sytuacji.

DYNAMIKA STRAT

Co istotne, oficjalne statystyki, podane przez Zełenskigo czy przez sztab generalny, dotyczą tylko tych, którzy zginęli w walce. Nie uwzględniają natomiast nieszczęśliwych wypadków, a te również zdarzają się w szeregach armii. W rozmowie z rosyjskojęzyczną redakcją „Deutsche Welle” temat ten poruszył wicedyrektor Narodowego Muzeum Wojskowo-Historycznego Jarosław Tynczenko. Od początku konfliktu, jeszcze od czasów, gdy agresja rosyjska miała jeszcze charakter hybrydowy, Tynczenko analizował dynamikę strat wojennych. Jego zdaniem nawet 10 tys. żołnierzy ukraińskich mogło zginąć nie w walce, ale w efekcie wypadków drogowych, nieumiejętnego posługiwania się bronią, chorób, samobójstw czy nawet zabójstw. A więc jedna trzecia oficjalnych strat to Ukraińcy, którzy ponieśli śmierć, ale nie na polu bitwy i nie z ręki wroga. Dodatkowo prawdopodobnie oficjalne liczby uwzględniają straty jedynie w szeregach Sił Zbrojnych Ukrainy. Pomijają natomiast straty w szeregach wojsk wewnętrznych MSW. A to spory odsetek poległych. Generalnie straty w oddziałach MSW stanowią średnio ok. 20 proc. ogólnych strat sił, broniących Ukrainy.

Z kolei analitycy z niezależnego think tanku Conflict Intelligence Team kwestionują zarówno oficjalne dane Kijowa, jak i doniesienia amerykańskich mediów. Ich zdaniem tak naprawdę poległo między 50 a 60 tys. ukraińskich żołnierzy.

CYWILNE OFIARY WOJNY

Straty wojenne to jednak nie tylko polegli i ranni żołnierze. To także cywile, którzy zginęli podczas wrogich ostrzałów. Już w czerwcu 2023 r. liczba ofiar cywilnych wojny przekroczyła 10 tys. osób. Fakt ten potwierdziła ONZ. Ukraińcy ogłosili, że zdołano odnaleźć i policzyć ciała 10 368 osób. Realna liczba może być o wiele większa. Przyznaje to również ONZ. Kijów twierdzi, że w rzeczywistości zginęło nawet do 50 tys. cywilów. Do tego dochodzą ranni. Już w sierpniu 2023 r. „The Wall Street Journal” donosił, że nie mniej niż 50 tys. Ukraińców (czy to cywilów, czy to wojskowych) zostało

inwalidami, tracąc co najmniej jedną z kończyn. Jak nietrudno się domyślić, ta liczba mogła tylko wzrosnąć.

Problemem są też uchodźcy, masowo opuszczający kraj szczególnie w pierwszych tygodniach konfliktu. W sierpniu 2023 r. ukraińska służba graniczna informowała, że po 24 lutego z Ukrainy wyjechało i dotąd nie wróciło 2,4 mln osób. ONZ za ten sam okres podaje niemal trzykrotnie wyższą liczbę – 6,24 mln. Straty wojenne to również m.in. zrujnowana gospodarka. Dwa lata wojny z agresorem kosztowały Ukrainę 499 mld dol. Niemal tyle samo potrzeba będzie na odbudowę kraju ze zniszczeń wojennych. Tak przynajmniej wyliczył ukraiński rząd. Dzięki wsparciu partnerów zachodnich w 2023 r. udało się odbudować ponad 37 tys. różnego rodzaju obiektów: prawie 23 tys. budynków mieszkalnych, 685 szkół i przedszkoli, 390 szpitali i domów opieki społecznej, ponad 9 tys. obiektów infrastruktury krytycznej, 138 mostów drogowych i kolejowych.

W 2022 r. PKB Ukrainy spadł o 29,1 proc według ukraińskiego Ministerstwa Gospodarki lub aż o 35 proc., jak wyliczył Międzynarodowy Fundusz Walutowy. W drugim roku wojny rozpoczął się jednak proces powolnej odbudowy. W 2023 r. PKB Ukrainy wzrósł o 5,6 proc. Rząd prognozuje pięcioprocentowy wzrost w 2024 r. „Biorąc pod uwagę 30-procentową stratę terytorium, gospodarki, (wzrost) PKB, to stosunkowo niewielkie cyfry, ale świadczą one o wzroście” – przyznał premier Denys Szmyhał. Między styczniem 2023 a styczniem 2024 r. gospodarka Ukrainy zanotowała wzrost o 3,5 proc. To wszystko w miarę optymistyczne wskaźniki, ale trzeba pamiętać, że Ukraina po roku wojny znalazła się na gospodarczym dnie, a odbić się od dna, zanotować wzrost przy zrujnowanej gospodarce, nie jest zbyt trudno. Szczególnie że nie byłoby tego odbicia, gdyby nie pomoc zachodnich sojuszników. Pomimo wzrostu gospodarczego wciąż możliwe, że państwo będzie niewypłacalne. Żeby pokryć potrzeby walki z agresorem, Kijów planuje wprowadzić nowe podatki dla przedsiębiorców. „Trzeci rok wojny Ukraina wita w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, jak jednocześnie utrzymać front i własną gospodarkę. Pozwolić sobie na nową klęskę gospodarczą Kijów

nie może, szczególnie w warunkach, gdy zagraniczna pomoc finansowa nie jest regularna” – pisze Paweł Kałasznik, ukraiński korespondent międzynarodowego rosyjskojęzycznego (niezależnego) portalu The Insider. Jak zauważa, istotnym oparciem dla Ukraińców stała się pomoc międzynarodowa, jednak zbliżająca się wielkimi krokami mobilizacja dodatkowych setek tysięcy Ukraińców może okazać się poważnym ciosem w budżet i rynek pracy. Sytuację pogarsza też wciąż nieprzewidywana korupcja.

MOSKWA ZMAGA SIĘ Z SANKCJAMI

Rosja jest w lepszej sytuacji. To nie na jej terytorium toczy się wojna. To nie rosyjscy cywile giną dziesiątkami tysięcy. Ginią za to rosyjscy żołnierze, ale Rosja ma przecież o wiele większe rezerwy demograficzne niż Ukraina. Strata 100 tys. ludzi w 140-milionowym kraju boli o wiele mniej niż w kraju 40-milionowym. Kijów zmaga się ze skutkami agresji militarnej Moskwy, z kolei Moskwa zmaga się z sankcjami zachodnimi oraz odpływem zachodniego kapitału. Tyle że zmaga się dość skutecznie. Dwa lata po rozpoczęciu pełnoskalowej wojny Rosja odnotowuje wzrost gospodarczy. W 2022 r., co prawda, jej PKB spadł o 2,1 proc. To jednak i tak nic w porównaniu z 29,1 proc. (albo 35 proc.) w przypadku Ukrainy. Za to już w 2023 r. rosyjska gospodarka odnotowała wzrost o 2,2 proc. przy prognozie wzrostu o 1,1 proc. w 2024 r. W dużej mierze osiąga takie wyniki dzięki wydatkom wojennym. Sankcje nałożone na import surowców energetycznych z Rosji przetrzebiły jej budżet. Europa znalazła nowych dostawców. Ale też Rosja szybko znalazła nowych odbiorców. Gospodarka rosyjska zamieniła Europę czy Stany Zjednoczone na Chiny, Indie i inne kraje azjatyckie. Omija też sankcje, reeksportując zachodnie towary za pośrednictwem krajów nieobjętych sankcjami.

W 2023 r. wartość eksportu towarów i usług z Rosji spadła o 28 proc. Gospodarka rosyjska traci na konkurencyjności i zatrzymuje się w rozwoju. Wciąż jednak dobrze zarabia na surowcach. Długoterminowo Rosja ma przed sobą nieciekawą perspektywę, ale na razie trzyma się mocno.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Na bramie libańskiego Banku Centralnego można zobaczyć specyficzną galerię niesław. Na plakatach z nagłówkiem „wanted dead or alive”, przypominających listy gończe za rabusiami rodem z westernów, widać twarze poważnych ludzi w garniturach i pod krawatami. Większości tak naprawdę nikt nie ściga, bo to elita libańskiej finansjery. Wyjątkiem jest mężczyzna z dolarami w butonierce i trzymający tabliczkę z napisem „1500”. To oficjalny kurs dolara, po którym osoby trzymające swoje dolarowe oszczędności w bankach mogą je wypłacać, choć realny kurs to 89 500. Alternatywą jest wypłacanie małych sum dolarowych (zwykle 150 dol.) miesięcznie, co powoduje, że niektórym te wypłaty zajmują dekady. Mężczyznę na plakacie, na który przechodzący obok mężczyzna z ostentacją trzykrotnie spluwa, jest Riad Salameh. Przez 30 lat był on prezesem libańskiego banku centralnego. Dziś jest ścigany przez Interpol na wniosek nie tylko Libanu, lecz także Francji i Niemiec. W 2023 r. został zatrzymany na lotnisku, gdy próbował uciec z kraju z walizkami pełnymi dolarów, ale potem go wypuszczono i rozplątał się w powietrzu. Jest ścigany, ale mimo to pojawił się na pogrzebie swojego brata i nikt go nie zatrzymał.

Krach bankowy miał miejsce w październiku 2019 r., ale – jak powiedział mi Paul Haidostian, rektor renomowanego Uniwersytetu Haigazian w Bejrucie – do dziś nikt nie ma żadnego planu przełamania kryzysu, bo nawet nie ma zgody co do tego, jakie były jego przyczyny i kto jest za niego odpowiedzialny. Jedni winią rząd, inni bank centralny, jeszcze inni banki komercyjne. Wiadomo tylko, że dolary z banków wyparowały, a wielu Libańczyków straciło ich setki tysięcy. Szlag trafił również emerytury, ubezpieczenia, a pracownicy sfery budżetowej dostają groszowe wynagrodzenia. Sektor prywatny przeszedł na obrót dolarowy i dziś niemal wszędzie w Libanie można płacić amerykańską walutą na równi z miejscową. Ale rząd, widząc, że prywatne biznesy wychodzą na prostą, postanowił podwyższyć im podatki.

PAŃSTWO W PAŃSTWIE

Tylko jaki rząd? W Libanie nie ma rządu. Są wprowadzie premier Nadżib Mikati i jego gabinet, ale nie uzyskał on

Liban boi się wojny i zniszczenia



Witold Repetowicz z Bejrutu

Spacerując po centralnych dzielnicach Bejrutu, trudno dostrzec symptomy wojny czy kryzysu gospodarczego. Restauracje i kawiarnie są pełne, nie ma paniki i chaosu, a ludzie nie wyglądają na przerażonych. Pozory jednak mylą

wotum zaufania i powinien pełnić jedynie tymczasowe funkcje zarządcze. Funkcja premiera należy się w Libanie sunnitom i Mikati należy do tej grupy, tyle że jej nie reprezentuje. Premierem został w 2021 r. dzięki wsparciu szyickiego Hezbollahu i ma opinię jednego z najbardziej skorumpowanych polityków w Libanie. W maju 2022 r. odbyły się wybory parlamentarne, w których jego partia nie zdołała zdobyć nawet jednego mandatu. Pół roku później upłynęła natomiast kadencja prezydenta Michela Aouna, który, nawiasem mówiąc, w 2016 r. został wybrany dzięki temu, że zawarł sojusz z Hezbollahem. Sojusz ten rozpadł się jednak w 2022 r., bo partia Aouna tj. Wolny Ruch Patriotyczny, poniosła duże straty w wyborach, a Hezbollah nie chciał poprzeć Dżebra Bassila, zięcia ustępującego prezydenta, na jego następcę. Paradoksalnie Bassil nie mógł liczyć na wsparcie innych partii chrześcijańskich m.in. dlatego, że USA wpisały go na listę sankcyjną za korupcję i współpracę z Hezbollahem. Kilka dni przed swoim odejściem Aoun próbował usunąć Mikatiego, ale nieskutecznie. Tymczasem

Hezbollah zapewnił sobie to, że wszystkie mandaty parlamentarne przysługujące szyitom objęli kandydaci Hezbollahu i ściśle sprzymierzonego z nim Amalu. Dzięki temu 87-letni lider Amalu, Nabih Berri, nie miał konkurencji w wyborach przewodniczącego parlamentu, gdyż funkcję tę musi piastować szyita. Nawiasem mówiąc, Berri pełni ją od 1992 r. A gdy Berri został już ponownie wybrany, to sztuczkami proceduralnymi zablokował wybór nowego prezydenta.

Prezydent Libanu to główne stanowisko, które przysługuje chrześcijanom, a teraz de facto funkcję tę uzurpuje sobie duet Berri-Mikati, będący pod całkowitą kontrolą Hezbollahu. Ugrupowanie to forsuje natomiast kandydaturę Sulejmana Frandżijji, który jest z nim ściśle związany, bo od dziecka wychowywał się w rządzącej Syrią rodzinie Asadów. Dlatego też główne partie chrześcijańskie wykluczają jego wybór, wskazując, że dojdzie wówczas do formalizacji zawłaszczenia państwa przez Hezbollah. Mają przy tym świadomość, że Hezbollah nie ma żadnego powodu, by iść na kompromis, gdyż dla niego paraliż

instytucji państwowych jest wygodny. Organizacja ta stworzyła państwo w państwie, wypłacając pensje dziesiątkom tysięcy osób, prowadząc szkoły, szpitale, instytucje socjalne. Przede wszystkim jednak dysponując siłą militarną, co ma skutki zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne. Z jednej strony pozwala to Hezbollahowi siłą eliminować jakąkolwiek konkurencję polityczną wśród szyitów, z drugiej – prowadzić wojnę z Izraelem, nie oglądając się na stanowisko władz Libanu.

WAŻNE WAKATY

Szyici w Libanie byli zawsze najniższymi w hierarchii społecznej. Do lat 80. XX w. była to po prostu biedota bez politycznego znaczenia. Od powstania tego państwa dominowali w nim chrześcijanie, którzy 90 lat temu stanowili nieco ponad połowę libańską populację. Resztę stanowili sunnici, szyici, druzowie i niewielka liczba Żydów oraz wyznawców innych religii. Elity państwa wywodziły się przede wszystkim spośród katolickich maronitów, a największą niechrześcijańską konkurencją dla nich stanowili sunnici, którzy w czasach zwierzchności osmańskiej byli uprzywilejowani. To jednak uległo radykalnej zmianie. Obecnie chrześcijan jest co najwyżej 35 proc., choć niektórzy uważają, że odsetek ten spadł do 25 proc. Szyici stali się natomiast najliczniejszą grupą. Hezbollah powstał w latach 80., w czasie libańskiej wojny domowej, i jako jedyny nie rozbroił się po jej zakończeniu, mimo że Rada Bezpieczeństwa ONZ nakażała to w swoich rezolucjach. Organizacja ta również w inny sposób korzysta ze słabości libańskiego państwa. Waddah Sadek, sunnicki deputowany do libańskiego parlamentu, powiedział mi, że nie są oni zainteresowani np. sprawnie działającą elektrycznością, bo w Bejrucie Amal kontroluje czarny rynek generatorów prądu, a w Dahiye, tj. szyickiej dzielnicy libańskiej stolicy, wodą i prądem rządzi syn lidera Hezbollahu, szejka Nasrallah.

Jednak zdaniem Paula Haidostiana wprowadzenie Hezbollahu rzeczywiście korzystą z tego, że nie ma prezydenta (i de facto również rządu), ale część winy ponoszą też sami chrześcijanie, wśród których brak jest jedności. Warto dodać, że wakatów wśród kluczowych stanowisk w państwie jest w Libanie więcej i dziwnym trafem większość z nich to te, które należą się chrześcijanom.



janom. Problem w tym, że życie polityczne libańskich chrześcijan, zwłaszcza maronitów, zdominowane jest przez wielkie rody, które są ze sobą skłócone, a ich pozycja przypomina magnatów w XVIII-wiecznej Polsce, z takim samym problemem korupcji i klientyzmu.

Spadek liczby chrześcijan w Libanie z jednej strony spowodowany jest wyższą prokreacją wśród szyitów, ale z drugiej strony również migracją. Sytuacja ekonomiczna powoduje, że ogromna liczba Libańczyków, zwłaszcza młodych, nie widzi swojej przyszłości w tym kraju. Dotyczy to zwłaszcza chrześcijan, gdyż są oni najlepiej wykształceni, a także najłatwiej jest im wyjechać do Europy czy Ameryki, nie występuje bowiem problem różnicy kulturowej, więc są tam zdecydowanie milej widziani. Maronici zawsze bardziej utożsamiali się z Zachodem niż ze Wschodem, a w Libanie można zobaczyć chrześcijańskie dzieci w harcerskich mundurkach mijające szyckie kobiety zakryte czadorami. Na północy Libanu, przejeżdżając z maronickiego Kubajatu do sunnickiego Akkaru, ma się wrażenie przeniesienia się ze spokojnego francuskiego miasteczka do typowej arabskiej miejscowości.

Po krachu w 2019 r. wybuchła w Libanie „saura”, czyli rewolucja, można powiedzieć – „październikowa”, gdyż w tym miesiącu do niej doszło. Problem w tym, że o ile młodymi ludźmi, którzy wyszli na ulice, kierował szczerzy gniew, o tyle istnieją wątpliwości, czy cały zryw był autentyczny. Krytycy wspominają, że wszystko było świetnie zorganizowane, błyskawicznie pojawiły się blokady na głównych trasach i zaczęto ukierunkowywać protesty, narzucając określone slogany i znosząc transparenty. Niektórzy twierdzą, że stały za tym obce ambasady, a inni, że libańskie służby, które miały liczyć na to, że dojdzie do szturmów na banki i rząd będzie miał pretekst, by je zamknąć. W rezultacie po kilku miesiącach „rewolucja” się wypaliła, a na jej fali w wyborach do 128-osobowego parlamentu mandaty zdobyło tylko 15 osób. Znacznie więcej po prostu postanowiło opuścić Liban. Waddah Sadek, który jest jednym z deputowanych związanych z tą „rewolucją”, przyznał mi, że jego córka też protestowała, a teraz mieszka w Paryżu. Można oczywiście zapytać, jak to jest, że jest tak źle, a mimo to bejruckie restauracje i kawiarnie są pełne klientów,



Plakaty z nagłówkiem „Wanted dead or alive” przypominają listy gończe za rabusiami rodem z westernów
FOT. HOUSAM SHBARO/ANADOLU/GETTY IMAGES

a ceny w nich są wyższe niż w Polsce. Mieszkający w Libanie na stałe prezes Fundacji Fenicia Kazimierz Gajowy wyznał mi, że to dzięki diasporze, która tylko w 2023 r. przetransferowała do swoich krewnych w Libanie lub zostawiła w nim w ramach turystycznych odwiedzin swojej starej ojczyzny aż 7 mld dol.

BUŃCZUCZNE DEKLARACJE

Problem w tym, że wojna w Strefie Gazy oraz jej eskalacja na granicy libańsko-izraelskiej odstraszyły turystów od przyjazdów do Libanu, a Libańczycy obawiają się, że wciągnięcie ich kraju do wojny na pełną skalę doprowadzi go do ruiny. Nie chodzi przy tym o to, że bomby zaczną spadać na centrum Bejrutu czy też chrześcijańskie miasteczka ciągnące się na północ od libańskiej stolicy. Tego nikt się nie spodziewa. Ale większość nie ma wątpliwości, że zniszczenia infrastruktury i koszty ekonomiczne będą znacznie większe niż w przypadku wojny z 2006 r., i podkreśla, że wtedy państwo libańskie funkcjonowało znacznie lepiej. Nikt też nie ma wątpliwości, że Liban (jako państwo) nie ma żadnego wpływu na wybuch i przebieg wojny, gdyż decyzje

w tej kwestii podejmują Hezbollah i Iran, choć konsekwencje ponoszą wszyscy Libańczycy. Waddah Sadek powiedział mi, że pokazywane w telewizji buńczuczne deklaracje to propaganda, a zdecydowana większość, nawet szyitów, choć współczuje, a często też popiera Palestyńczyków, to nie chce wojny w Libanie. Inne moje rozmowy w Libanie to potwierdzają. Wojna jednak już jest. Około 100 tys. Libańczyków, głównie szyitów, musiało opuścić swoje domy, niektóre wioski są zrównane z ziemią, ponad 200 bojowników Hezbollahu, w tym wielu dowódców, zginęło, a izraelskie bomby spadają coraz dalej od granicy. Niewielu ludzi się, że nie pójdzie to dalej, bo dominuje pogląd, że Izrael obecną sytuację postrzega jako szansę dla zniszczenia Hezbollahu. Może to być jednak błędna kalkulacja i wielu uważa, że jedyne, co zostanie osiągnięte, to zniszczenie Libanu.

Liban ma jeszcze jeden problem – Syryjczyków. Jest ich w tym pięciomilionowym kraju ok. 2 mln, a ok. 300 tys. dzieci urodziło się już w Libanie i w ogóle nie znają Syrii. Nie mają też żadnych dokumentów – ani syryjskich, ani libańskich. Według Libańczyków tylko niewielka

część przebywających w ich kraju Syryjczyków to prawdziwi uchodźcy, a wielu z nich jeździ do Syrii na weekendy, część nawet głosowała w ambasadzie syryjskiej w czasie wyborów prezydenckich. Libańczycy obwiniają Zachód i organizacje humanitarne o to, że nie pozwalają im odesłać Syryjczyków do domu, choć podkreślają, że nie toczy się tam żadna wojna. Ponadto wskazują, że sankcje nałożone na Syrię przez USA, w ramach tzw. Caesar Act, powodują biedę w tym kraju i skłaniają Syryjczyków do migracji zarobkowej do Libanu. Tu ich sytuacja jest lepsza od tej, w której znajduje się wielu Libańczyków, gdyż korzystają z pomocy udzielanej im przez międzynarodowe organizacje. Chrześcijanie nie chcą nawet słyszeć o tym, by Syryjczycy mogli zostać w Libanie, bo ich ewentualna naturalizacja oznaczałaby całkowitą marginalizację chrześcijan w tym kraju. Przypominają, że już gdy pojawili się w Libanie Palestyńczycy, to były obawy o naruszenie równowagi wyznaniowej, a potem to od starć chrześcijańsko-palestyńskich zaczęła się libańska wojna domowa. Tyle że Palestyńczyków w Libanie jest ok. 300 tys., czyli nieporównywalnie mniej niż Syryjczyków. Waddah Sadek powiedział mi natomiast, że sunniti też nie chcą, by Syryjczycy zostali w Libanie, bo mieszkają oni głównie na terenach sunnickich i to tamtejsi mieszkańcy najbardziej narzekają, że przybysze zabierają im pracę, miejsca w szkołach i są nieuczciwą konkurencją w biznesie.

Zachód twardo obstaje jednak przy tym, że dopóki Asad rządzi w Syrii, dopóty Syryjczycy nie mogą tam wrócić. Jednocześnie obawia się, że z Libanu popłyną łódki na Cypr. Zdaniem niektórych rezultat jest taki, że zależne od Hezbollahu władze Libanu nie robią nic w celu rozwiązania problemu, bo służy on im do szantażowania Europy, a jednocześnie sprzymierzonemu z Hezbollahem Asadowi nie w smak jest powrót milionów sunnitów do Libanu, bo Syrią rządzi zniechędzona przez nich mniejszość alawicka. Od libańskich chrześcijan można również usłyszeć teorię, że stoi za tym lobby izraelskie, któremu nie podoba się to, że Izrael nie jest jedynym „zachodnim” krajem na Bliskim Wschodzie, więc chcą zniszczyć ten unikalny charakter Libanu, oparty na specyficznym partnerstwie chrześcijańsko-muzułmańskim.



Jakub Wozinski

Wspólna waluta miała 25 lat temu przed sobą rozpostarty czerwony dywan, lecz z czasem stała się synonimem stagnacji i kryzysu

Pierwsze rozliczenia w euro zainaugurowano dokładnie 1 stycznia 1999 r. Na papierowe banknoty trzeba było jeszcze poczekać trzy lata, ale już od pierwszych dni funkcjonowania nowego pieniądza Europejczycy znaleźli się w zupełnie nowej rzeczywistości politycznej. Po siedmiu latach intensywnych przygotowań w obiegu znalazł się pierwszy w dziejach wspólny europejski pieniądź.

POCZĄTKOWY ENTUZJAZM

Mimo że przeciwników euro od samego początku nie brakowało, wprowadzeniu euro towarzyszył spory entuzjazm. Jego źródłem były nad wyraz korzystne wskaźniki ekonomiczne i społeczne grupy 11 państw, które zdecydowały się na unię walutową. Produkt krajowy brutto strefy euro wynosił w 1999 r. aż 15,8 proc. całego światowego PKB, ustępując jedynie Stanom Zjednoczonym (20,8 proc.). Pod względem liczby mieszkańców strefa euro odpowiadała zaś za 5 proc. światowej populacji. W kolejnych latach wspólną walutę miały przyjąć także kolejne kraje członkowskie, co pozwalało zakładać, że cały projekt musi odnieść sukces. Tym bardziej, że w 1997 r. miał miejsce azjatycki kryzys, a rok później zatrzęsły się finanse Rosji, co mogło dodatkowo stworzyć przekonanie, że cała reszta świata jest wciąż na tyle niestabilna, iż nie zagrazi nigdy Europie w jej marszu ku potęgze.

O tym, jak bardzo mylili się w prognozach twórcy unii walutowej, najłatwiej przekonać się, zestawiając dane z 1999 r. z najnowszymi. Pomimo tego, że do strefy euro przynależą dziś już 20 państw, ich łączna liczba mieszkańców wynosi obecnie 345 mln osób, co stanowi zaledwie 4,2 proc. ogółu światowej populacji. Sama demografia jeszcze o niczym nie przesądza, jednakże równie zastanawiający regres daje się zauważyć we wskaźnikach

FOT. JACOB STUCK

czysto ekonomicznych. W 2024 r. udział strefy euro w światowym PKB wynosi już nieco mniej niż 14 proc., mimo iż przyjęto do niej jeszcze grupkę dziewięciu małych państw. Zaplanowany na 2024 r. wzrost gospodarczy w całej unii walutowej ma zaś sięgnąć zaledwie 0,8 proc. PKB, choć jeszcze przed 25 laty wynosił ok. 3 proc.

Świat widział już wprawdzie wiele nieoczekiwanych zwrotów akcji, lecz w najbliższych latach jeśli nie zajdą żadne diametralne zmiany, to spadek znaczenia całej strefy euro będzie jedynie postępowal. Biorąc pod uwagę demograficzny regres całej wspólnoty oraz prognozy zakładające, że w najbliższych latach strefa euro w zasadzie przestanie się dalej rozwijać, można być niemal pewnym tego, że europejska unia walutowa znajdzie się na prawdziwej równi pochyłej zagrażającej nawet rozpadem.

ODCINANIE KUPONÓW

Media głównego nurtu w Polsce starają się wciąż wyczarować dla społeczeństwa zupełnie fałszywy, kontrfaktyczny obraz euro jako waluty prestiżowej, stanowiącej o sile prężnej europejskiej gospodarki. Takiej wizji można było jeszcze bronić 15–20 lat temu, lecz dziś

Historia



staje się to coraz bardziej karkołomne wobec przygniatającej liczby faktów świadczących na niekorzyść wspólnej waluty. Od czasu kryzysu finansowego w 2008 r. euro osłabiło się w stosunku do dolara o połowę. Z kolei od 2001 r. średni roczny wzrost produktywności (mierzonej jako wartość PKB na godzinę pracy) w strefie euro wynosił jedynie 0,8 proc., podczas gdy w tym samym czasie w USA aż 1,3 proc., a we wszystkich krajach OECD przeciętnie 1,1 proc.

Na papierze euro to wciąż druga najważniejsza waluta na całym świecie. Szefowa Europejskiego Banku Centralnego Christine Lagarde szczyci się tym, że europejska waluta w najważniejszych wskaźnikach (tj. wartości transakcji międzynarodowych, wysokości rezerw walutowych, wartości pożyczek na światowych rynkach czy też udziału w transakcjach sieci SWIFT) ma wciąż średnio 20-procentowy udział w skali całego świata. Jak już jednak wspomniano, w większości tych prestiżowych zestawień euro jest w stałej tendencji spadkowej. Niemal wszystkie wskaźniki mówią jednogłośnie, że chwile największej chwały europejska waluta ma już wyraźnie za sobą, a obecnie jest co

pozornego sukcesu



najwyżej na etapie rozłożonego w czasie odcinania kuponów.

Pokazuje to choćby jej kurs względem dolara, który latem 2022 r. spadł do najniższego poziomu od ponad 20 lat. Rok 2022 został zresztą powszechnie uznany za najgorszy w dziejach euro, ponieważ uwydatnił największe niedomagania całego projektu unii monetarnej. Rosyjski atak na Ukrainę odsłonił wszystkie słabości niemieckiej gospodarki, która uchodziła zawsze za konia pociągowego całej wspólnoty, a na dodatek uzmysłowił wszystkim, że sama gospodarka europejska bez gwarancji bezpieczeństwa ze strony Stanów Zjednoczonych jest niesłychanie krucha.

ZASADY WZIĘTE W GŁĘBOKI NAWIAS

Jedną z najważniejszych przyczyn niepowodzeń euro jest bez wątpienia bardzo złe zarządzanie. Po raz ostatni dało o sobie znać w czasie covidowej fali inflacji. Szefostwo EBC długimi miesiącami odmawiało przyznania, że musi zmierzyć się z naprawdę dużym problemem, i dopiero w lipcu 2022 r. przystąpiło do podwyżek stóp procentowych. W tym czasie w krajach bałtyckich szalała już inflacja

przekraczająca 20 proc. Kontrastowało to silnie z decyzjami podejmowanymi przez amerykańską Rezerwę Federalną, która dość szybko zabrała się do pracy i w efekcie skuteczniej stłumiła wzrost cen.

Dużo bardziej jaskrawym przykładem fatalnego zarządzania unią walutową jest jednak zagubiona zupełnie po kryzysie zadłużenia strefy euro dyscyplina. Pierwotnie traktat z Maastricht zakazywał Europejskiemu Bankowi Centralnemu dokonywania zakupów długu państw członkowskich. Na początku poprzedniej dekady zasadę tę złamano, zasłaniając się koniecznością ratowania zadłużonych krajów członkowskich przed bankructwem oraz samej strefy euro przed upadkiem. Nadzwyczajne rozwiązania dość szybko stały się regularną praktyką, trwającą praktycznie aż do teraz. Jakby tego było mało, za sprawą nowego Funduszu Odbudowy (NextGeneration EU) Komisja Europejska zaciągnęła w imieniu wszystkich państw członkowskich dług o wartości 800 mld euro, który nie jest oficjalnie wliczany do budżetu żadnego z krajów członkowskich. Pierwotne zasady powołujące do życia unię walutową przewidywały, że docelowo każdy z krajów członkowskich ma utrzymywać

wysoką dyscyplinę fiskalną. Jak jednak ów cel miałby zostać kiedykolwiek zrealizowany w sytuacji, gdy najbardziej bazowe zasady są łamane przez najważniejsze unijne organy?

Brakowi odpowiedniej dyscypliny od lat towarzyszy w Unii Europejskiej także nadmierny optymizm w zakresie tworzonej prognoz. Zjawisku temu poświęcono już nawet osobne opracowania naukowe. Unijni decydenci od lat patrzą na rzeczywistość ekonomiczną przez różowe okulary, a w ostatnich latach stali się dodatkowo fanatykami zielonej ideologii, która wcielana w życie z wielkim zapalem spycha europejską gospodarkę na coraz większy margines. Nikt na świecie nie emituje obecnie więcej zielonych obligacji niż kraje strefy euro, które dystansują w tym względzie cały świat.

W sposobie zarządzania wspólną walutą uwidacznia się także w sposób szczególny sposób myślenia eurokratów o wzroście gospodarczym i rozwoju jako takim. Gdyby w Unii Europejskiej panowało zdrowe podejście do gospodarki, decydenci stawialiby przede wszystkim na konkurencyjność oraz stwarzanie okazji do wzrostu przedsiębiorczości i innowacyjności. Pozycja euro na

■ Światowych rynkach odzwierciedlałyby wówczas siłę unijnej gospodarki. Tymczasem już od wielu lat dzieje się dokładnie odwrotnie i w pewnym sensie to na euro przerzucono ciężar ciągnięcia całej gospodarki do przodu. Eurokraci nie silą się wcale na to, aby zmniejszyć obciążenia podatkowe czy też zredukować liczbę przepisów, i zamiast tego już od kilkunastu lat przygotowują co najwyżej kolejne pakiety stymulacyjne, w których pierwszoplanową rolę gra niezmiennie Europejski Bank Centralny. Zastosowanie tego rodzaju mechanizmu w Polsce oznaczałoby, że ugrzęźlibyśmy w takim samym marazmie jak kraje zachodniej Europy.

UCIECZKA W CYFROWĄ KONTROLĘ

Swego rodzaju podsumowaniem kursu, którym podąża strefa euro, są czynione w ostatnim czasie starania na rzecz uruchomienia cyfrowego euro. Oficjalnie prace nad tym projektem ruszyły już w lipcu 2021 r. i po dwóch latach wstępnych badań rozpoczęła się tzw. faza przygotowawcza. Teoretycznie nie musi ona wcale zakończyć się przejściem do cyfrowej waluty, lecz – jak to zwykle w Unii Europejskiej bywa – rozwiązanie maksymalizujące kompetencje władzy centralnej są wcielane w życie bez względu na okoliczności. Na dodatek główni decydenci opowiadają o cyfrowym euro z tak wielką dumą i zapalem, że kwestia jego uruchomienia właściwie jest przesądzona (potwierdziła to choćby Ursula von der Leyen w czasie swojego przemówienia z okazji 25-lecia Europejskiego Banku Centralnego).

Warto zauważyć, że sama idea wprowadzenia cyfrowego euro nie jest podyktowana żadnymi względami ekonomicznymi. Według oficjalnych komunikatów publikowanych przez Europejski Bank Centralny cyfrowe euro ma zaradzić głównie brakowi ogólnoeuropejskiego systemu płatniczego, który byłby darmowy i sprawny w obsłudze, ale problemy strefy euro nie polegają przecież na niedoskonałości systemów informatycznych. Nieco na marginesie wspomina się więc o tym, że cyfrowa waluta ma zaradzić coraz większej konkurencji ze strony nowych systemów płatniczych upowszechnianych przez Big

Tech czy też przeciwstawić się wzrostowi popularności kryptowalut.

Odczuwanie przez eurokratów zagrożenia ze strony Big Techu jest tu symptomatyczne, ponieważ Unia Europejska nie dorobiła się w zasadzie żadnego liczącego się globalnie przedstawiciela tej branży. Zbieżność czasową bujnego rozwoju przemysłu technologicznego w innych regionach świata oraz stopniowego uwiadku projektu wspólnej waluty w ciągu ostatniego ćwierćwiecza można oczywiście uznać za czysto przypadkową, lecz niestety fakty mówią same za siebie. Sam zaś zwrot ku cyfrowemu euro pokazuje wyraźnie, że unijni decydenci

**Europa słabnie dziś
w znacznej mierze dlatego,
że ciąży jej zbędna
unia walutowa**

na pogłębiające się zapóźnienie starają się odpowiedzieć pójściem w kierunku pieniądza o jednoznacznie totalitarnym charakterze. Skupienie władzy nad pieniądzem oraz wiedzy na temat transakcji przeprowadzanych przez obywateli w jednym ośrodku zwyczajnie nie może skończyć się dobrze.

HOMOGENIZACJA, CZYLI FEDERALNE PAŃSTWO

Drugim najważniejszym pomysłem na ożywienie projektu euro, dyskutowanym na europejskich salonach, jest oczywiście utworzenie sfederalizowanego państwa europejskiego. W tym kontekście wskazuje się nieodmiennie na to, że Unia posiada wciąż ogromny i niewykorzystany potencjał blokowany przez „ekonomiczną heterogeniczność” tworzących ją gospodarek. Innymi słowy, przekonuje się, że dopiero pełna polityczna integracja (czytaj: podporządkowanie) byłaby w stanie odblokować energię niezbędną do ożywienia całego kontynentu oraz pomogłaby zintegrować rynki finansowe.

Parcie ku homogenizacji politycznej i gospodarczej w Unii przynieść może jednak jedynie jeszcze większą katastrofę. Niemal wszystko, co wspólnota mogła osiągnąć w zakresie ujednolicania, już

dawno zapewniła wspólny rynek. Wszelkie dalsze kroki w tym obszarze oznaczałyby de facto pozbawienie państw członkowskich suwerenności, a przecież to właśnie dzięki temu czynnikowi istnieje jeszcze w Unii mechanizm skłaniający poszczególne kraje do rywalizacji i wypracowywania gospodarczego wzrostu.

Jak więc widać wyraźnie, problemem waluty euro są nie tylko liczne błędy popełnione w przeszłości, lecz także całkowicie chybione i niebezpieczne pomysły na przyszłość. Sprawiają one, że o euro ciężko po 25 latach mówić w kategoriach prawdziwego sukcesu. Przesadą byłoby oczywiście stwierdzenie, że wspólna waluta okazała się całkowitą klapą, lecz biorąc pod uwagę jej pierwotny potencjał, trzeba zauważyć, że został on w większości roztrwoniony.

Cwierć wieku temu zakładano, że unia monetarna przyspieszy konwergencję gospodarek państw członkowskich, a tymczasem gołym okiem widać, że stare podziały jedynie się utrwaliły, a w niektórych przypadkach wręcz wzmocniły. Już pięć lat temu, gdy tworzone podsumowania pierwszych dwóch dekad istnienia wspólnej waluty, zwracano uwagę na to, że grono finansowych beneficjentów jest niezwykle skromne i obejmuje głównie takie kraje jak Niemcy, Holandia czy Luksemburg. Od tego czasu zmieniło się bardzo niewiele i doprawdy ciężko oczekiwać, aby było inaczej, skoro praktycznie od 2008 r. cała strefa euro znajduje się w stanie permanentnej stagnacji.

Opisywane procesy spadku znaczenia wspólnej waluty nasilają się niemal z każdym miesiącem i niewykluczone, że jeśli tylko Polska wytrwa ze złotówką przynajmniej do kolejnej dekady, to kwestia przystąpienia do strefy euro wyjaśni się praktycznie sama. Jeśli nie zajdą naprawdę fundamentalne zmiany, to euro utraci do tego czasu znaczną część prestiżu i znaczenia, którą posiadało od początku swego istnienia. Europa słabnie dziś w znacznej mierze dlatego, że ciąży jej zbędna unia walutowa. Każdy kolejny rok będzie zaś odślaniał brutalną prawdę na temat wspólnej waluty, której sens istnienia od początku sprowadzał się do politycznej kontroli i miał niewiele wspólnego z gospodarczym rozwojem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Apolityczni fachowcy

Apolityczni fachowcy – całkowicie apolityczni fachowcy – zapewne, a raczej z całą pewnością, po prostu nie istnieją. W końcu bowiem chyba każdy z nas, w tym fachowcy (my, fachowcy), ma jakieś poglądy polityczne i przeważnie na kogoś głosuje, a tylko naprawdę nieliczni potrafią całkowicie oddzielać te dwie sfery: swoje poglądy polityczne od swojej, takiej czy innej, aktywności zawodowej. Ba, pewnie nierzadko, nie potrafiąc skutecznie ich oddzielić, nie czynimy tego świadomie, lecz najzupełniej nieświadomie, podświadomie. Co nie przeszkadza nam w „przymierzaniu” wysokich urzędników polskiego państwa do takiego wzorca apolitycznego fachowca.

Wszelako podczas obecnego – najfatalniejszego z dotychczasowych w III RP – przejęcia władzy z rąk polityków jednej ekipy przez polityków kolejnej już nawet nie próbuje się dochodzić, czy którykolwiek z urzędników powołanych przez poprzedników zasługiwał na miano właśnie takiego apolitycznego fachowca.

A pałka apolitycznej fachowości, którą chętnie się wymachuje, przeważnie wykorzystywana jest nie do tego, żeby rzeczywiście sprawdzić, czy ten lub ów delikwent jest fachowcem i co najmniej stara się pozostawać w swym działaniu apolityczny, lecz głównie do tego, żeby jednego „nie swojego”

politycznego fachowca lub niefachowca wymienić na takiego samego politycznego fachowca lub niefachowca, tyle że „swojego”.

A jeśli już tak trudno u nas (tylko u nas?) o apolitycznych fachowców, to – z punktu widzenia interesu państwa – chyba jednak lepiej, jeśli na urzędach, które w ten czy inny sposób mają kontrolować rząd, znajdują się fachowcy (bo co do tego, że powinni być fachowcami, chyba sporu nie ma) powołani przez konkurencyjne wobec rządzących siły polityczne. Wszelako pod warunkiem, że związek tych fachowców – choćby tylko emocjonalny – z owymi konkurencyjnymi siłami politycznymi, które ich nominowały, nie jest aż tak silny, że gotowi są działać na zasadzie „im gorzej, tym lepiej”, nawet jeśli to „gorzej” źle albo i fatalnie odbija się nie tylko na nie lubianym przez nich rządzie, lecz także na Rzeczypospolitej Polskiej, a zatem i na jej obywatelach. Wtedy bowiem tak cenna w działalności publicznej niezależność zaczyna się przemieniać w niszczyielski anarchizm.

Wszelako zgoda na taki kompromis wcale nie musi oznaczać, że powinniśmy przestać marzyć o apolitycznych fachowcach, nawet jeśli mieliby być w swej apolityczności (bo nie fachowości!) nieco ułomni, nawet jeśli by od czasu do czasu troszeczkę, ciut-ciut (ale tylko ciut-ciut!) ulegali swej polityczności. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Nie ufam policji

Przejrzałem wiele filmów pokazujących wydarzenia z centrum Warszawy, zwłaszcza z okolic Sejmu, z ubiegłej środy. Na ich podstawie można sobie zbudować obraz tego, co się tam wydarzyło.

Przed oczami stanął mi Marsz Niepodległości z bodaj 2012 r., w którym brałem udział. Wówczas na placu Konstytucji, gdzie marsz miał się rozpocząć, zgromadziło się już dobre kilka tysięcy ludzi. Całkowicie spokojnych,

widzenia i policja doskonale to wiedziała. Sytuacja była dramatyczna i mogła się skończyć tragedią, gdyby ktoś jednak nie poszedł po rozum do głowy i rozwiązanie zgromadzenia nie zostało odwołane.

Policji nie ufam z zasady. Nie tylko tej pod obecnymi rządami. To służba regularnie realizująca polityczne zamówienia, z tym że każda władza zostawia na tych zamówieniach i sposobie policyjnego działania swoje autorskie piętno. To, co wydarzyło się w ubiegłym tygodniu, nosiło wyraźne piętno metod, które pamiętam z czasów PO: rozwiązanie zgromadzenia pod pretekstem, który daje prowokacja (być może przeprowadzana przez funkcjonariuszy po cywilnemu), wzywanie do rozejścia się, a wobec fizycznej niemożności wykonania polecenia – szturm na zgromadzonych.

Bardzo możliwe, że w tłumie demonstrantów znaleźli się i tacy, którzy prowokatorami nie byli, ale po prostu puścili im nerwy i złamali prawo. Z pewnością powinni za to odpowiedzieć. Tyle że relacje policji i zapewnienia pana ministra Kierwińskiego, że służba działała bez zarzutu, brzmią tu tak samo wiarygodnie jak relacje policji w roku 2020 i ówczesne identyczne zapewnienia pana ministra Kamińskiego. ©

Policji nie ufam z zasady. Nie tylko tej pod obecnymi rządami. To służba regularnie realizująca polityczne zamówienia

w tym osób starszych czy rodzin z dziećmi. Wtedy policja z megafonów zagrziała, że zgromadzenie zostaje rozwiązane – pretekstem była jakaś bitka marginalnej grupki prowokatorów z policją na skraju placu – i wszyscy mają plac opuścić, jeśli zaś tego nie zrobią, to zostaną usunięci siłą. Wyjście z placu przez te tysiące ludzi w krótkim czasie było oczywiście kompletnie niemożliwe z czysto fizycznego punktu

Transportowiec „Galaxy Leader”, porwany przez rebeliantów Huti FOT. AA/ABACA/EAST NEWS

Współcześni piraci morscy



Jacek Pańkiewicz

Dzisiejsi piraci nie mają nic wspólnego z romantycznym obrazem Henry’ego Morgana czy kpt. Kidda spod czarnej bandery i z opaską na oku. Są brutalni, zdeterminowani i stosują najbardziej zaawansowane technologie

Napastnicy pojawili się pozornie znikąd. Nieoczekiwanie z helikoptera, który wyłonił się na tle błękitnego nieba, na pokład statku desantował oddział jemeńskich komandosów z ugrupowania Huti. W ciągu kilku minut rebelianci, uzbrojeni i finansowani przez Iran, zawładnęli transportowcem „Galaxy Leader”. Był to jeden z najpoważniejszych incydentów związanych z bezpieczeństwem morskim ostatnich lat i stanowi przykład eskalacji działań militarnych na Morzu Czerwonym w związku z konfliktem w Gazie. Od tego dnia miały miejsce nieustające zbrojne napaści na statki handlowe, w dużej mierze paraliżujące najważniejszy szlak handlowy między Europą a Azją, co negatywnie odbiło się na światowej gospodarce.

W ostatnim raporcie za 2023 r. Międzynarodowe Biuro Morskie (IMB) wyraziło zaniepokojenie wzrostem liczby epizodów piractwa morskiego w cieśninie Malakka, strategicznym szlaku między Zachodem i Wschodem, gdzie przepływa codziennie ponad 600 tankowców i statków handlowych. Wiele spośród 25 tys. rozszani tam wysp nie posiada stałych granic państwowych, co zapewnia rozbójnikom status wolnej strefy, a zatem idealne schronienie. Co trzeci akt grabieży na świecie odnotowuje się właśnie tam. W ciągu pierwszych sześciu miesięcy omawianego roku doszło do 65 zbrojnych napadów na statki. Często ze względu na małe straty czy nieudany atak kapitanowie nie zgłaszają incydentu do władz morskich, gdyż musieliby tracić czas na długie korowody administracyjne. W ostatnich latach zmniejszyło się natomiast zagrożenie w Zatoce Gwinejskiej, jednym z najniebezpieczniejszych szlaków żeglugowych na świecie, obejmującym powierzchnię 11 tys. km kw. A to dzięki współpracy między władzami przybrzeżnymi oraz zwiększonej aktywności międzynarodowych misji patrolowych okrętów marynarki wojennej.

LUKRATYWNY BIZNES

Dobrze prosperujące współczesne rozbójnictwo morskie wzbogaciło się o nowy rozdział, wybuchową mieszankę motywowanego politycznie terroryzmu. Próbkę takiego zagrożenia widzieliśmy już w roku 1985, kiedy bojownicy

Abu Abbasa, lidera Frontu Wyzwolenia Palestyny, opanowali włoski statek wycieczkowy Achille Lauro. Żądali od rządu Izraela uwolnienia 50 swoich działaczy, a po odmowie zamordowali jednego z pasażerów (choćby incydent mógł zakończyć się dużo większym dramatem). Na szczęście w ostatnim czasie zgłoszono niewiele prób ataków na statki pasażerskie.

Pod koniec ubiegłego stulecia środowiskiem żegludowym wstrząsnęły często powtarzające się doniesienia o rabunkowych napadach piratów u wybrzeży cieszącego się złą sławą Rogu Afryki. Tędy przepływa każdy statek handlowy zmierzający z Europy na Ocean Indyjski. Od tego czasu liczba napaści wzrastała z roku na rok, stanowiąc coraz większe zagrożenie dla żeglugi. Uzbrojone szajki, niczym elitarne jednostki wojskowe, na niewielkich, szybkich łodziach wyposażonych w broń maszynową osaczają statek i wspinają się błyskawicznie na jego pokład. Bandyci wdzierają się też często po zarzuconej na burtę linie z kotwiczka na stojące na kotwiczowisku statki. Są

bezwzględni, terroryzują maczetami zaskoczoną załogę i rabują pieniądze, rzeczy osobiste, sprzęt elektroniczny oraz towary o wysokiej wartości, a następnie szybko znikają. Wnet zrozumieli, że dużo większe korzyści przynoszą okupy za pojmanych zakładników albo nawet za przechwycony statek. Odzyskanie wolności marynarzy nierzadko kosztuje armatora miliony dolarów, jak to miało miejsce w przypadku uwolnionej z 10-miesięcznej niewoli załogi włoskiego statku „Savina Caylyn”.

Lukratywny biznes umasowiony o uprowadzenia załogi dla okupu rozszerzył obszary wysokiego ryzyka na najbardziej ruchliwych szlakach żegludowych na świecie, obejmujące ponad 5 mln km kw., czyli Morze Czerwone, Zatokę Adeńską, Ocean Indyjski i Zatokę Omańską. Przez wiele lat częstotliwość ataków wzrastała i – co więcej – stawały się one coraz bardziej wyrafinowane. Plaga rozbójnictwa morskiego przynosi gospodarce światowej dziesiątki miliardów dolarów strat, ale niestety rządy są bezsilne w jej zwalczaniu.

Piraci działający na pełnym morzu, poza wodami terytorialnymi, pozostają bezkarni, bo zgodnie z międzynarodowym prawem o zasadzie wolności mórz żaden patrolowiec straży granicznej nie może ich zatrzymać. Podlegają wyłącznie jurysdykcji państwa, w którym zarejestrowany jest ich statek. A zwykle noszą one fikcyjną tanią banderę Panamy, Libarii, Hondurasu czy... Mongolii, gdzie nie ma praktycznie więzi między statkiem a państwem jego bandery.

Piractwo tego rodzaju pojawiło się w latach 70. XX w. w Delcie Nigru, w południowo-wschodniej Nigerii, głównym regionie Afryki produkującym ropę. Początkowo bandy przestępcze kradły cenny surowiec, aby spieniężać go potem na czarnym rynku. W pewnym momencie zmieniły taktykę, rozpoczęły proceder piracki.

Wśród ofiar nie brakowało polskich marynarzy. Trzydzieści cztery lata temu doszło do jednego z najdramatyczniejszych wydarzeń w powojennej historii naszej floty, kiedy erytrejscy napastnicy ostrzelali statek Bolesław Krzywousty

REKLAMA



*Pobyty w terminach:
11.03 - 28.03
oraz 02.04 - 23.06*

LECZENIE I REHABILITACJA

**POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny,
Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.**

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie
- *możliwa dopłata

Turnus Wielkanocny 28.03 - 02.04.2024

tel. 54 416 70 00

www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrowskowa „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek



Zatonięcie statku towarowego „Rubymar” po ataku piratów na Morzu Czerwonym FOT. AL-JOUMHOURIAH TV/GETTY IMAGES

■ i uprowadzili załogę, którą po miesiącu uwolnili. W 2011 r. Somalijczycy wzięli przez 82 dni polskiego kapitana ze statku „Beluga Nomination”. Cztery lata później u wybrzeży Nigerii pojmanych zostało pięciu rodzimych marynarzy ze statku „Szafir”, szczęśliwie po dwóch tygodniach odzyskali wolność. W 2020 r. doszło w Zatoce Gwinejskiej do nieudanej próby porwania kontenerowca „Port Gdynia”. Jednak najbardziej zuchwałą akcją piratów było porwanie w listopadzie 2008 r., 800 km od wybrzeży Somalii, dowodzonego przez polskiego kapitana statku „Sirius Star”. Jeden z największych na świecie tankowców, pływający pod liberyjską banderą, przewoził ponad 300 tys. ton ropy o wartości 100 mln dol. Po dwóch miesiącach i po zapłaceniu przez armatora 3 mln dol. okupu somalijscy porywacze uwolnili statek i 25-osobową załogę.

Ofiarami pirackich ataków padają niejednokrotnie żeglarze. Latem 1999 r. zaginął w tajemniczych okolicznościach na Zatoce Adeńskiej Krzysztof Zabłocki, płynący solo dookoła świata na jachcie „Sadyba”. Rok później ograbiony jacht odnalazł się na terytorium Somalii, niestety nigdy nie znaleziono śladów żeglarza. W grudniu 2001 r. na pierwszych stronach prasy światowej ukazała się informacja o zamordowaniu przez brazylijskich rozbójników 53-letniego sir Petera Blake’a, legendarnego nowozelandzkiego żeglarza, dwukrotnego

zwycięzcy Pucharu Ameryki i prestiżowych regat dookoła świata Whitbread. W tym samym rejonie zdołał umknąć bandytom włoski samotny żeglarz Paolo Soldini. Mniej szczęścia miał zaś jego rodak Bruno Bianchella, zamordowany na Morzu Karaibskim.

PIRACI W CYBERPRZESTRZENI

Dzisiejsi piraci, niemający nic wspólnego z romantycznym obrazem Henry’ego Morgana czy kpt. Kidda spod czarnej bandery i z opaską na oku, stosują najbardziej zaawansowane technologie. Branża żegluga zaniepokojona jest rosnącą liczbą cyberataków. Zamiast używania karabinu maszynowego przestępcy grasują w komputerach i wykorzystując luki w zabezpieczeniach, włamują się do listów przewozowych w terminalach komunikacji satelitarnej, wyszukując co cenniejsze towary. Następnie wysyłają swoich siepaczy na pokład wielkiego frachtowca wypełnionego drogocennym cargo i za pomocą czytnika kodów kreskowych odnajdują to, czego szukają.

Obecnie 51 tys. statków na świecie, przewożących 90 proc. światowego ładunku, jest wyposażonych w całą gamę elektronicznych systemów nawigacji, dowodzenia i kontroli, połączonych z globalnym Internetem za pośrednictwem satelity. Oznacza to, że statki najeżone połączonymi i zautomatyzowanymi systemami są narażone na ataki hakerów. Cyberpiraci mogą plądrować dane

w terminalach portu, armatora, sektorów usług, by przejąć kontrolę nad systemami.

W czerwcu 2017 r. doszło do cyberataku na największego na świecie operatora floty kontenerowej Maersk, w którego wyniku firma została wyłączona z czynności na 10 dni, co spowodowało zamknięcie kilku portów i zmuszenie do ręcznej obsługi 80 proc. operacji. Naraziło to na szkody rzędu 250–300 mln dol. i wymagało aktualizacji 50 tys. urządzeń. Lloyd’s of London ostrzega, że potencjalne skutki zakłóceń w cyberprzestrzeni lub kradzieży na statkach, portach, rafineriach, terminalach i systemach wsparcia mogą kosztować światową gospodarkę setki miliardów dolarów.

JAK SIĘ BRONIĆ?

Jak zwiększyć bezpieczeństwo statków poruszających się po ryzykownych wodach? Krzysztof P. (były oficer Gromu, który uczestniczył niegdyś w prowadzonym przeze mnie szkoleniu survivalowym na Saharze, dzisiaj jest zatrudniony w singapurskiej Neptune P2P Group, prestiżowej firmie zajmującej się prywatną ochroną morską) wyjaśnia, że nie ma całkowitej gwarancji na uniknięcie zbrojnej napaści. Najlepszym sposobem ochrony przed nim byłoby unikanie akwenów wysokiego ryzyka i konsultacja z MICA, francuskim centrum analizy i oceny globalnej sytuacji w zakresie bezpieczeństwa morskiego, które zapewnia zainteresowanemu spersonalizowane informacje dotyczące bezpieczeństwa na danym obszarze.

Następnie ekspert wtajemnicza w sposoby zabezpieczenia przed agresją. Największą gwarancję daje obecność na pokładzie uzbrojonych strażników. Siepacze niechętnie będą ryzykować życie, jeśli się do nich strzela. Posiadamy też wiele nieśmiertelnej broni antypirackiej, której z większym czy mniejszym powodzeniem używamy dla odstraszenia prześladowców na pełnym morzu. Poowszechnie stosowane są zasięgi spiralne z drutu żyłkowego rozciągnięte wzdłuż burty oraz wysokociśnieniowe armatki wodne wytwarzające potężny strumień wody, który zdmuchuje osobników próbujących dostać się na statek. Bardzo efektywne są urządzenia akustyczne (LRAD), które wytwarzają dźwięk ogłu-

szający przestępców. Skuteczny może być montaż elektrycznego ogrodzenia dookoła całego statku czy nawet pistolet oślepiający, rodzaj broni laserowej, która dezorientuje i chwilowo oślepia napastników. Wspinaniu się na pokład zapobiegają śliska piana lub materiał antyprzyczepny albo wylewana z góry, niemożliwa do tolerowania cuchnąca ciecz. Niektórzy posługują się granatami ogłuszającymi, które na krótko dezorientują agresora. Bywa, że załogi statków, które nie są wyposażone w broń antypiracką, samodzielnie przygotowują koktajle Mołotowa.

Niekiedy zdawały egzamin bezpieczne pomieszczenia z kulooodpornymi drzwiami, zwane w świecie marynarki wojennej cytadelami, w których marynarze ukryli się podczas ataku piratów do czasu przybycia pomocy. Stamtąd można kierować statkiem, mieć kontrolę nad maszynownią oraz łączność radiową ze światem zewnętrznym. Jeden z członków załogi tankowca „Monjasa Reformer”, pływającego pod banderą Liberii, opowiadał o odysei w rękach porywaczy: „Bandyci

na wszelkie sposoby próbowali się włamać do cytadeli, w której się ukryliśmy. Najpierw strzelali z karabinów. Ale drzwi były z grubej stali, więc nie udało im się ich sforsować. Potem zrobili w nich niewielki otwór, przez który włali na korytarz benzynę, następnie ją podpalili. Na szczęście w maszynowni mieliśmy gaśnice. To były niekończące się trzy miesiące modlitwy o przeżycie”.

Krzysztof P. powtarza, że najlepszą ochronę zapewnia jednak uzbrojona ekipa eskortująca. I tu armatorzy mają twardy orzech do zgryzienia. Taki czterookobowy kontyngent na 12-dniowe przejście przez Zatokę Adeńską i zachodnią część Oceanu Indyjskiego kosztuje 50–100 tys. dol. Ponadto istnieje pewien istotny problem – takie działania są postrzegane jako bardzo kontrowersyjne, a wręcz bezprawne. Kodeks morski mówi, że statek w żegludze komercyjnej ma „prawo swobodnego przepływu” przez wody terytorialne danego kraju, jeśli nie jest uzbrojony.

Koszmarne wypadek rozegrał się w lutym 2012 r., kiedy do włoskiego

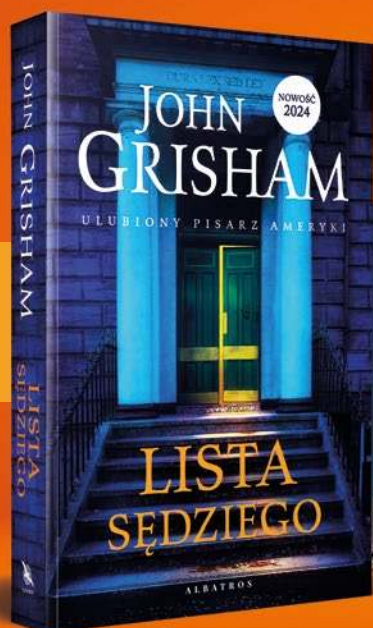
tankowca „Enrica Lexie” u wybrzeży Indii podpłynął stateczek, który nie reagował na sygnały nakazujące zmianę kursu. Dwóch komandosów marynarki wojennej (zaokrętowanych, by chronić statek przed częstymi na tych wodach atakami terrorystów) otworzyło ogień. Okazało się, że był to kuter rybacki. Dwóch rybaków zginęło. Wojskowi zostali aresztowani i postawieni przed sądem, choć nie podlegali jurysdykcji Indii, jako że do wydarzenia doszło na wodach międzynarodowych. Spór między Włochami a Indiami o uwolnienie wojskowych trwał równe 10 lat. Finalnie sąd rzymski uniewinnił oskarżonych, uznając, że działali zgodnie z sytuacją sugerującą atak piratów.

Jedną z niewielu dostępnych opcji, które w pełni mogą zapewnić ochronę żeglugi komercyjnej przed piractwem, jest nieustanna i silna obecność regionalnej i międzynarodowej marynarki wojennej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

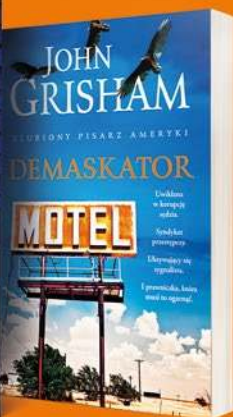
Autor jest dziennikarzem i podróżnikiem, pływał jako oficer na statkach bandery panamskiej. Jest twórcą pierwszej w Europie szkoły przetrwania, dla elitarnych jednostek wojskowych prowadził niekonwencjonalne szkolenia survivalowe w skrajnie surowych warunkach.

REKLAMA



NOWA
POWIEŚĆ
Z LACEY
STOLTZ!

ZNAKOMITE POŁĄCZENIE KRYMINAŁU I THRILLERA PRAWNICZEGO!



Sędziowie są po to, by wymierzać
sprawiedliwość, a nie po to
by dokonywać egzekucji.

Ale ten sędzia ma swoje
własne zasady.
I swoją listę winnych.



WYDAWNICTWO ALBATROS

CUPRA LEON ST 2.0 (190 KM)



Leon Sportstourer to hiszpańskiej krwi rodzinny kombi, który jest jednocześnie szybki i praktyczny, a kiedy potrzeba, potrafi być też zaskakująco oszczędny.

Tym razem do redakcyjnych testów wzięliśmy Leona z dwulitrowym benzynowym silnikiem TSI o mocy 190 KM i bardzo kulturalnie pracującą siedmiobiegową automatyczną skrzynią DSG. I chociaż testowana wcześniej przez nas flagowa wersja uzbrojona w 310 KM budzi na ustach kierowcy jeszcze większy uśmiech, to wersja 190-konna jest tańsza i bardziej ekonomiczna, a wystarcza już, aby poczuć hiszpański temperament kombi spod znaku CUPRA (nazwa to połączenie słów Cup oraz Racing, początkowo została stworzona, aby uhonorować dwukrotne zwycięstwo Seata Ibiza GTI w World Rally Championship w roku 1996).

190-konna wersja jest wystarczająco dynamiczna (pierwszą setkę po starcie widać na liczniku

po 7,4 s), a umożliwia niższe spalanie niż najszybsza 310-konna opcja VZ. Podczas testów apetyt Leona na paliwo w mieście wynosił ok. 8 l/100 km, na drodze ekspresowej i autostradzie ok. 7 l na 100 km, a na krajowych trasach można było zejść nawet do średniej na poziomie 6 l/100 km. Prędkość maksymalna wynosi 233 km/h.

Przyjemne, sportowe emocje budzi zwłaszcza wzornictwo, w tym zadziornie zarysowana sylwetka oraz 18-calowe felgi w czarnym kolorze z elementami w kolorze miedzi. Miedziane elementy pojawiają się również w minimalistycznie zaprojektowanej kabinie, która – w większości miejsc – została wykończona przyjemnymi w dotyku materiałami. Świetna kierownica, cyfrowe zegary informujące na bieżąco m.in. o przeciążeniach podczas przyspieszania, czarna podsufitka i kubekowe fotele zachęcają do dynamicznej jazdy. Nastrojowe oświetlenie wnętrza umożli-

wia również zmianę atmosfery ze sportowej na romantyczną.

O bezpieczeństwo dbają liczne systemy, które monitorują sytuację przed pojazdem (z funkcją awaryjnego hamowania), przytrzymują auto na pasie ruchu, a także dyskretnie informują o samochodach znajdujących się w martwym polu lusterek (to Cupra zasługuje na ogromnego plusa, bo podświetlają się nie lampki w lusterkach, ale listwy LED-owe w kabinie, co jest nie tylko trudniejsze do przeoczenia, lecz także po prostu ładne).

Wady? W sumie same drobniaczki. Gdy zbliżamy się np. do terenu zabudowanego, samochód radzi, aby zdjąć nogę z gazu. Fajne? Byłoby bardzo fajne, gdyby nie niedopracowany język polski. Kierowcy wyświetla się bowiem komunikat „zdejmij nogę z pedału przyspiesz”. Lubię rozwiązania AI, ale jednak czasem jakiś człowiek mógłby sprawdzić jakość tłumaczenia. Poza tym auto jest stosunkowo niskie, więc niektórzy mogą narzekać na wygodę wsiadania i wysiadania, ale taka jest już natura bardziej dynamicznych aut. Na szczęście system infotainment, który wcześniej działał mocno opornie, stał się wreszcie mniej flegmatyczny. Kufer ma pojemność 620 l, a po złożeniu tylnej kanapy można zyskać nawet 1600 l.

Ceny Cupry Leona ST zaczynają się od 137,5 tys. zł (wersja z silnikiem 1.5 TSI o mocy 150 KM i manualną skrzynią). Za model z silnikiem 2.0 TSI 190 KM z siedmiobiegowym automatem trzeba zapłacić 158,5 tys. zł. Za 300 KM ukrytych pod maską trzeba zapłacić co najmniej 183,2 tys. zł. Wersja VZ o mocy 310 KM zaczyna się zaś od 199,2 tys. zł.

FOT. JAP

WIDEOREJESTRATOR MIO MIVUE 803

Bardzo dobra jakość nagrań wykonanych w dzień i przyzwoita w złych warunkach oświetleniowych, moduły wi-fi oraz GPS, darmowe aktualizacje ostrzeżeń przed fotoradarami i odcinkowymi pomiarami prędkości – to największe zalety jednego z najnowszych modeli tajwańskiej firmy Mio.

Możliwość zarejestrowania materiału dowodowego tak dobrej jakości, aby nie można go było podważyć w sądzie, to najważniejsza cecha wideorejestratorów. Model Mio Mivue 803 umożliwia nagrywanie obrazu w rozdzielczości 2.5K (1440P) z prędkością 30 kl./s lub w rozdzielczości Full HD z prędkością 60 kl./s. Kąt widzenia wynosi 140 stopni.

Jakość nagrań wykonanych testowanym wideorejestratorem w dzień nie budzi zastrzeżeń. Istotnie gorzej jest z nagraniami z nocnych przejazdów, a zwłaszcza tymi, które zostały wykonane, gdy jest ciemno i pada deszcz. Wówczas jakość wyraźnie spada, ale muszę przyznać, że nawet w gorszych warunkach oświetleniowych da się odczytać wiele tablic rejestracyjnych.

W tej kategorii cenowej nie jest źle: producent zastosował bowiem przysłonę o jasności f/1,8, sensor 5M i wyposażył kamerkę w technologię Mio Night Vision.

Wbudowany moduł wi-fi ułatwia np. bezprzewodowe ściąganie na smartfona wybranych filmów drogi czy instalowanie darmowych aktualizacji bazy danych o fotoradarach. Wideorejestrator Mio Mivue 803 został też uzbrojony w kilka funkcji, które mają za zadanie zwiększyć bezpieczeństwo użytkownika. Kamera może więc przypomnieć o konieczności włączenia świateł (przydatna funkcja zwłaszcza w starszych samochodach, które nie przełączają automatycznie świateł do jazdy dziennej, gdy robi się ciemno), a także ostrzegać o zbyt małej odległości od poprzedzającego pojazdu (ta funkcja generuje zbyt wiele fałszywych alarmów). Asystent jazdy w korku podpowie zaś kierowcom, że samochód przed nimi właśnie ruszył (przeważnie działa dość dobrze). Urządzenie jest też uzbrojone w inteligentny tryb parkingowy, który pomoże w znalezieniu sprawcy stłuczki czy otarcia lakieru. W tym celu należy jednak podłączyć Smartbox III (do kupienia osobno).

Poza tym tajwański producent pozbawił się kilku wad, na które wskazywałem w testach wcześniejszych modeli. Nareszcie Mio ma już np. nowoczesne i powszechnie używane USB-C.

Mio Mivue 803 kosztuje 399 zł. © ©





JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Zaginione blechy i folusze

Blechy lub blichy to dzisiaj już tylko nazwy części wsi lub miast, które stały się jedynymi pamiątkami po dawnych czasach. Tak określane są np. część Dukli i Kołaczyc, przysiółki we wsiach Tokarnia, Sułoszowa, Stryszawa i Filipowice w województwie małopolskim, Krzywczyna i Nawsie Kołaczyckie w podkarpackim. Ulice o nazwie Blich znajdziemy w Gorlicach, Łowiczu, Krakowie, Krośnie, Jarosławiu i Kurowie. „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” dodaje do tego jeszcze: chutor Blich niedaleko Kamieńca oraz Blichowo

– zielonych pól i łąk, których całe połacie zajmowały rozłożone obok siebie białe płachty płótna. Dziś nie zobaczymy tego nawet w skansenie, tymczasem jeszcze 200 lat temu można było coś takiego ujrzeć, wjeżdżając do byle wioski.

Innym urządzeniem przemysłowym, często znajdującym się we wspomnianej dzielnicy, był folusz, którego nazwa także przechowywała się do dzisiaj na polskiej prowincji. Miejscowości tak nazywane rozsiane są po terenie naszego kraju, począwszy od Folusza w powiecie żnińskim na Kujawach, poprzez podlaski w gminie Rutka-Tartak, wielkopolski pod Pleszewem, a skończywszy na podkarpackim w gminie Dębówiec. Służył on do obróbki i uszlachetniania tkanin wełnianych, które po utkaniu z przędzy prezentowały się niezbyt okazale. W foluszu spłósniano je, to znaczy zagęszczano, zginiatając i uderzając. Dodatkowo oczyszczano je i dodawano im puszystości. Po obróbce foluszniczej powstawało porządne sukno, w które odziewała się większa część ludności miast i wsi w XVII w.

W starożytności i we wczesnym średniowieczu folowano wełnę ręcznie – depcząc ją lub zginiatając. Począwszy od XII w. folusze stały się obiektami przemysłowymi, gdzie używano drewnianych młotów napędzanych siłą wody. Uderzały one miarowo w złożone w kłodzie lub specjalnym korycie sukno, które dodatkowo moczone w gorącej wodzie, czasem dodając glinki albo moczu zwierzęcego. W procesie folowania tkaniny kurczyły się, zmniejszały, proces ten ujawniał także błędy tkaczy.

W Polsce stare folusznictwo wiejskie przetrwało bardzo długo – nawet do okresu po drugiej wojnie światowej. Zanikało najpierw na

terenach nizinnych, w Wielkopolsce i na Pomorzu, gdzie zostało wyeliminowane przez przemysł – spłósnarki napędzane przez maszyny parowe, a potem – przez silniki spalinowe i elektryczne. Najdłużej folusze zachowały się na Podhalu i pogórzach. Jeszcze w latach 30. ubiegłego wieku działały folusze w Witowie, pod Zakopanem i w Szlachtowie koło Szczawnicy.

Gdzie dziś możemy obejrzeć ostatnie z tych zabytków dawnego przemysłu? Przede wszystkim w skansenach. Jeden znajduje się w Parku Etnograficznym w Nowym Sączu i jest to autentyczny budynek z Kątów pod Krościenkiem, gdzie działał na potoku Kotelnica do końca lat 50. ubiegłego stulecia. Drugi znajduje się w Orawskim Parku Etnograficznym w Zubrzycy Górnej, przeniesiony ze wsi Łopusznej na Podhalu. Natomiast dwa folusze znajdują się w Muzeum-Skansenie Kurpiowskim im. Adama Chętnika w Nowogrodzie na Kurpiach. Jeden przeniesiony z Jurka pochodzi z końca XIX w. Drugi to współczesna rekonstrukcja. Kolejny folusz – z Brennej – znajduje się w Górnośląskim Parku Etnograficznym w Chorzowie i ma zrekonstruowane wnętrze. Oryginalny także działał do lat 50. XX w., a jego urządzenia zapewne wyglądały tak samo jak w XII w. Jest tam bowiem koło młyńskie, napędzane wodą dostarczaną przez drewniane rynny ze stawu, obracające wał z zębami, który podnosi stęporopy opadające do stępy, gdzie składano materiał wełniany. Osobno stoi piec do podgrzewania wody, którą rynnami doprowadzano do stępy, gdzie moczone w niej wełniane tkaniny. Są pewne rzeczy, które pozostają prawie niezmiennie; jak wiara i podatki; jak widać, należały do nich także wiejskie folusze. © ©



FOT. DOMENICA PUBLIČNA

w powiecie plockim, wieś zasiedlaną przez szlachtę zagrodową. Wymienia także Blich, wioskę w powiecie brockim, oraz Bliche, część zwierzyńca pod Oławą.

Cóż one znaczą? Tyle że w dawnych czasach wykonywano tutaj blichowanie, czyli bielenie płótna przez polewanie go wodą na słońcu. Blech zatem był miejscem, gdzie znajdowały się łąki nad strumieniem lub rzeczką. Rozkładano na nich tkaniny lniane lub konopne, polewano wodą i suszono, czym zajmowali się doświadczeni w tym fachu blicharze. W XVII w. dawało to ciekawy obraz miejscowości



ANNA POPEK Z D. CHRUZIŁ
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIŁ

SIOSTRY GOTUJĄ

Jabłko i jajko

Rzymianie mawiali: „Ab ovo ad mala”, czyli od jajka do jabłka, i mieli rację. Jajko zjedzone rano daje sytość i siłę na długo, stąd jego dominacja w śniadaniowym jadłospisie. Rzadko jednak zdarza się, że np. na początek obiadu serwuje się nam jajko. No chyba że jest to żółtko wygodnie umoszczone w tatarowym gniazdku.

Zostawmy jajko, idźmy do jabłka. Jego kwaśno-słodki smak jest doskonałym dodatkiem do wielu dań. Nam bardzo smakuje np. wątróbka bądź kaczka z duszonym jabłkiem, teraz zimą robimy także wodę jabłkową – czyli po prostu plasterki suszonych jabłek zalewamy gorącą wodą. Po kilkunastu minutach delikatny smak jabłek przenika do wody i napój ten można popijać.

Co do jabłek to zawierają pektyny, polifenole, antyoksydanty oraz potas. Regulują ciśnienie krwi, obniżają poziom złego cholesterolu. Jabłko jabłku nierówne. Wyhodowana na początku trzeciego tysiąclecia na Podlasiu nowa odmiana Gold Millenium zawiera

cztery razy więcej pektyn niż inne. Ważne są też warunki uprawy, czyli czysta ziemia i dobre powietrze.

Jeżeli kupujecie soki z jabłek, to lepiej te matowe, w klarowanych jest mniej substancji odżywczych.

Żeby na modłę rzymską zakończyć posiłek jabłkiem, a jednocześnie być w zgodzie z tym, co mówi dr Dąbrowska, która nie zaleca jedzenia surowych owoców po posiłku, proponujemy szarlotkę.

Szarlotka

Ciasto:

- 300 g mąki krupczatki
- 200 g zimnego masła • 100 g cukru pudru • 2 kg szarej renety
- łyżeczka cynamonu

Kruszonka:

- 100 g mąki • 100 g cukru
- 100 g masła

Kruszonkę utrzeć palcami. Ciasto zagniatamy. Jabłka ścieramy na tarce, dodajemy cynamon, kruszonką posypujemy warstwę owoców, pieczemy. ©©



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Rzadki ptak

Na Florydzie zmarła amerykańska projektantka Iris Apfel. W pięknym wieku 103 lat. Nie była ani modelką, ani redaktorką mody, słynną jak Anna Wintour, a jednak komunikat o jej śmierci trafił na czołówki mediów nie tylko w USA. Instagram zarzuciły setki zdjęć.

Kim była starsza pani? Dla współczesnych mediów epatujących młodością drobniutką postać staruszki w ogromnych okularach i równie ekstrawaganckich ubraniach stała się rodzajem ciekawostki przyrodniczej. Spódniczka baletnicy i futrzane buty, dwie sukienki albo dwie spódnice, płaszcz, torba i buty ze sztucznego futra tygrysa, wielki kośmaty, muppetopodobny żółty płaszcz i parę kilo biżuterii. Oto próbka jej szalonych stylizacji.

Absolwentka historii sztuki i projektowania wnętrz należała do nowojorskiego towarzystwa. Jej brawurowe kreacje stanowiły spektakl sam w sobie. W wieku 90 lat pozowała czołowym fotografom mody. Napisano o niej kilka książek, poświęcono jej film dokumentalny. W 2005 r. nowojorskie Metropolitan Muzeum uczciło ją monograficzną wystawą: „Rzadki ptak”. H&M, szwedzki producent szybkiej mody, w roku 2022 zamówił u niej kolekcję ubrań. Sprzedała się na pniu. Apfel projektowała wnętrza Białego Domu dla dziewięciu kolejnych prezydentów, od Harry’ego Trumana do Billa Clintona.



FOT. NORD GALLERY/GETTY IMAGES

To, co u innych wyglądało by jak kostium z teatru groteski, na niej miało sztyk. Iris Apfel była kobietą zamożną i większość jej imponujących kreacji pochodziła od wielkich projektantów. Były to wspańnię, drogie tkaniny, świetne kroje, często egzemplarze haute couture. Broniły się same, pojedynczo, ale charakteru nabierały dopiero w kompozycjach autorskich Iris. Ona umiała z tego zrobić fuzję barwną, zawiłą, pełną aluzji, mieszającą konwencje.

Naśladowniczek tego stylu nie brakuje. I ty możesz wyglądać jak Iris Apfel! Wszystko wydaje się proste: parę dziwnych, kolorowych ciuchów, parę kilo koralików, kapelusze jako zwieńczenie dzieła. Ale uwaga, niebezpieczeństwo! Rezultat może bardziej przypominać bohaterkę sztuki Witkacego z problemami psychiatrycznymi niż wyrazistą, szykowną kobietę. Ekstrawagancja nie toleruje tandety, a nie każdy jest rzadkim ptakiem z wysokim statusem majątkowym. Dzisiaj w tzw. towarzystwie bardziej niż kreatywność liczy się poprawne naśladownictwo. Należy mieć markowe drogie ciuchy, króluje banał ściągnięty z widzianych w telewizji celebrytów, własnych i obcych. Gdzie ten wielki format? Może się jeszcze ujawni? ©©



DEKAMERONKI

0 klimacie i SI

JERZY KARWELIS

Pisuję tu czasem większe teksty z Mariuszem Jagorą. Ostatnio wpadł on na pomysł, by pogadać ze sztuczną inteligencją. Mariusz zaczął się z nią na temat klimatyczny. Od początku AI zaczęła recytować ONZ-owskie wyznania wiary klimatycznej zaczerpnięte z IPCC, czyli Międzynarodowego Panelu ds. Zmian Klimatu. Mariusz zszedł więc na pytania dotyczące danych, a poszło to tak: skoro obie strony uznały, że w powietrzu znajduje się tego przekłętą dwutlenku węgla 0,0417 proc., to padło pytanie: Ile w powiększaniu się tych promili broi człowiek? Okazało się, że odpowiada on za 95 proc. wzrostu, tak rzekła AI. Ale padło pytanie uściślające: 95 proc. w czym? Czyli jaki jest udział człowieka w ogóle w ilości CO₂ w atmosferze, a nie z jakiego powodu rośnie. Wyszło – tak zeznała sztuczna inteligencja – że 5 proc. CO₂ w atmosferze to dzieło człowieka (i tam jest ten wzrost). Czyli – po uwzględnieniu powyższego – wyszło, że człowiek odpowiada za 0,002085 proc. zawartości CO₂ w atmosferze.

I tu Mariusz włączył drugi bieg – spytał: OK, przyjmijmy, że w całej Europie osiągnęliśmy upragnioną zeroemisyjność, to jaki to będzie udział w ilości CO₂ w atmosferze? Wyszło, że 0,000146 proc. Jaki zaś będzie to miało wpływ na całość emisji światowych? 0,001939 proc. No dobra – pyta dalej Mariusz – a gdy-

by tak cały świat przestał w ogóle emitować odczłowieczy dwutlenek węgla, to jaki to miałoby wpływ na zawartość CO₂ w atmosferze? Zmniejszyłoby jego zawartość w powietrzu o 0,002085 proc. do 0,039615 proc. z obecnych 0,0417 proc. I tu sztych ostateczny Mariusza – padło pytanie, czy taka zmiana przybliży nas do osiągnięcia pożądanego celu – obniżenia średniej temperatury na ziemi o 1,5 st. C? Tu AI się poddała, że nie ma mowy, jest to za mało, że nie podejmuje się policzenia, jaki i czy w ogóle miałoby to efekt.

Rezultat tej pouczającej rozmowy jest przeciekawy i lokuje nas – czytelników – w obozie klimatycznych denialistów. Niestety, sztuczną inteligencję także. Skoro wychodzi, że nawet jak przestaniemy, to i tak nie uratujemy planety A, bo planety B, jak wiadomo, nie ma. Ale co jest najciekawsze – powyższa relacja jest tylko merytorycznym skrótem rozmowy człowieka z maszyną. Tak naprawdę to AI cały czas kluczyła z odpowiedzią, choć pytania były matematycznie konkretne. Pluła klimatyczną propagandą, na pytanie: „Ile?”, odpowiadała, że „wciąż rośnie”. Dopiero po cierpliwym pytaniu o liczbę i dzielenie ułamków sama się poddała. Widać było, że jest „nagrana” klimatycznym przekazem, i dopiero się złamała, jak przeszła na matematykę, w której ciężko jest kłamać. Na razie. ©©



#WARTO

Uświęcenie konstytucją

JAN POSPIESZAŃSKI

Umieszczenie prawa do aborcji we francuskiej konstytucji zostało przegłosowane miażdżącą większością 780 głosów przy 72 przeciwnych. Odbyło się w uroczystej oprawie w pałacu królewskim, w Wersalu, w atmosferze entuzjazmu i przy aplauzie zgromadzonych. Po co ten cyrk? Przecież od dawna w majestacie prawa każdego roku we Francji uśmiercano w fazie prenatalnej ok. 200 tys. dzieci.

Chociaż społeczeństwa postchrześcijańskiej Europy wprowadziły do systemu prawnego dopuszczalność aborcji, to nie zdołały do końca unieważnić niegodziwości tego aktu. Rodzi to napięcie, które niekoniecznie ma związek z endemicznymi śladami chrześcijańskiego sumienia. Społeczeństwa scjentystyczne, sakralizujące naukę, nie mogą ignorować tego, co widać w badaniach USG i co mówią embriologia, genetyka i medycyna. Początek nowego życia od pierwszego podziału zapłodnionej komórki jest naukowo potwierdzony, a zatem nie można zaprzeczyć, że mamy do czynienia z nowym istnieniem, z innym bytem niż organizm matki, czyli z (potencjalną) osobą.

Uśmiercenie żyjącej istoty, nawet jeśli nazwiemy „to” płodem, jest przemocą. I nieważne, jak głośno będą krzyżeć manifestujące aborcjonistki o „zlepku komórek” – tego, co jest sprawdzalne medycznie, nie można zagłuszyć propagandowymi zakłębieniami. Często

owe historyczne zakłęcia to mechanizm wyparcia i próba uporania się z syndromem poaborcyjnym. Aborcja niszczy nie tylko życie dziecka – niszczy również kobietę.

Syndrom poaborcyjny nie jest (jak chcą wyznawcy pro-choice) tylko efektem wtłaczania przez kulturę chrześcijańską poczucia winy. Jako zaburzenie psychiczne i somatyczne został odnotowany i opisany także w kulturach niechrześcijańskich, np. w Japonii. Stąd głosowanie francuskich połączonych izb ustawodawczych odczytuję jako konieczność mocnej odpowiedzi na wyżej opisane nieusuwalne napięcia. Konstytucja bowiem jako najważniejszy akt normatywny daje iluzję: „co jest wartością konstytucji – musi być dobre”. Nie tylko dobre, lecz także uświęcone.

Znaczenie aborcji dla liberalnych społeczeństw wykracza poza politykę zdrowotną czy społeczną. Ma ona charakter sakramentu nowej religii. Religii skrajnego indywidualizmu, egoizmu, w której akt seksualny został wyemancypowany z funkcji przekazywania życia, z relacji małżeńskiej, z norm moralnych. Seksualność zaś stała się obszarem subiektywnych autoidentyfikacji, dowolnego performowania swej tożsamości. Dla społeczeństwa multiseksualnego aborcja jest zatem swoistym sakramentem uwalniającym od dawnych kulturowych (chrześcijańskich) norm i potwierdzeniem „prawdziwej wolności”. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Król Karol III się nie wypowiedział

Robi się wielce jakby kulturalnie. Stop. Sejm uchwałą o Trybunale Konstytucyjnym zaapelował do wszystkich sędziów Trybunału, żeby ustąpili ze stanowisk, bo wtedy, kiedy nowy Sejm wybierze nowych sędziów, będzie demokratycznie po nowemu. Stop. Większość posłów stwierdziła, że trzech sędziów – Mariusz Muszyński, Justyn Piskorski i Jarosław Wyrembak – nie jest sędziami, tylko dublerami, chociaż zostali wybrani przez Sejm i złożyli ślubowanie wobec prezydenta. Stop. Kaczyński stwierdził natomiast, że ta uchwała ma taką samą moc jak uchwała o zmianie króla angielskiego, a król Karol III jeszcze się nie wypowiedział. Stop. Nie wykluczam, że sędziowie Trybunału Konstytucyjnego uprzejmie poproszą posłów, żeby ustąpili dla dobra demokracji. Stop. Pielęgnujmy *savoir vivre*.

Do Warszawy mieli przyjechać na protest rolnicy, ale – jak zauważył premier Donald Tusk – przyjechali jednak chuligani. Stop. Rzucano w policjantów kostką brukową, a na jednym z filmików widać, że policjant odrzuca tę kostkę rolnikom, bo pewnie myślał, że im się przyda. Miłe zachowanie. Stop. Na innym z filmików widać, jak policjanci kolanami dociskają rolnika do asfaltu, żeby się ochłodził, bo temperatura protestów była gorąca. Stop. Z dziennikarskiego obowiązku dodać należy, że policjanci zaczęli

opryski w stolicy, a wdzięczni za pomoc rolnicy płakali ze wzruszenia. Stop.

Komisarz Unii Europejskiej do spraw rolnictwa, Janusz Wojciechowski, stwierdził publicznie, że Zielony Ład trafi do kosza. Stop. Na co interaktywna i czujna Unia odpowiedziała, że nie trafi. Stop. Na co Donald Tusk rzekł: „Postulaty »precz z Zielonym Ładem« i »zablokować Ukrainę« są dla mnie nie do zaakceptowania”. Stop. Jak widać, wszystko jest jasne, tyle że trzeba czekać na wyjaśnienia. Stop.

Jakże mi zaimponował aktor Tomasz Stockinger, który jest serialowym Pawłem Lubiczem w „Klanie” i który zarówno jako Lubicz, jak i Stockinger, podobnie jak reszta obsady serialu, od stycznia nie dostaje pieniędzy, bo akurat teraz TVP nie ma. Stop. Pan Tomasz w rozmowie z dziennikarzami powiedział, że absolutnie ufa, iż pieniądze spłyną, ale – co najważniejsze (tu cytat) – „najważniejsze, że pracuję w instytucji wiarygodnej”. Stop. Dla mnie Paweł Lubicz zawsze był osobą wiarygodną i gdyby jakiś chirurg miał mnie ciąć, to chciałbym, żeby Stockinger właśnie. Stop.

Lewica, która współrządzi, napomknęła ustami posłanki Żukowskiej, że może protestować na ulicy przeciwko rządzącym, a dokładnie to przeciwko marszałkowi Hołowni, który nie chce, żeby w Sejmie rozmawiano o aborcji. Stop. Zbyt świeża sytuacja, aby ją zrozumieć. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Polskie amazonki

Ciekawe wyniki sondażu opublikował przed kilkoma dniami dziennik „Rzeczpospolita”. Grupę 800 pełnoletnich Polaków spytano w nim, czy NATO powinno wysłać swoich żołnierzy na Ukrainę. Odpowiedzi, których udzielili nasi rodacy, zasługują na próbę interpretacji.

To, że Polska należy do NATO, jest chyba oczywiste. Uczestnicy sondażu rozumieli zapewne, że pytanie dotyczy ich losów. W świetle wyników sondażu nie wydaje się to wcale oczywiste.

W grupie wiekowej 18–24 lata, a więc najbardziej zdolnej i tradycyjnie przeznaczonej do wojaczki, chętnych do wysłania wojsk na Ukrainę jest tylko 14,4 proc. respondentów. Osoby starsze, w wieku 25–34 lata, są do takiej decyzji bardziej skłonne (20,1 proc.), najbardziej zapalona do wojennej przygody wydaje się grupa wiekowa 34–49 lat (27,7 proc.). Można odnieść wrażenie, że im dalej od wieku poborowego (choć obowiązkowego poboru w Polsce nie ma), tym skłonność do posłania żołnierzy na wojnę rośnie. Czy zawdzięczamy to niedostatkom edukacji patriotycznej wśród najmłodszego pokolenia dorosłych? A może najłatwiej jest składać ryzykowne deklaracje, wiedząc, że ich konsekwencji posmakuje, z początku przy najmniej, ktoś inny?

Innym zaskoczeniem jest to, że najwięcej chętnych do udziału NATO w ukraińskim

konflikcie spotkać można wśród osób o wykształceniu podstawowym (25,6 proc.) i wyższym (22,3 proc.). Osoby po szkołach zawodowych i średnich wykazują ku ukraińskiej wojaczce najślabszy entuzjazm (szkoły zawodowe – 12,3 proc.), najmniej jest też wśród nich obywateli niepotrafiących odpowiedzieć na zadane pytanie. Coś niepokojącego dzieć się musi na polskich wyższych uczelniach, skoro wśród ich absolwentów aż 22,8 proc. nie ma w tej ważkiej sprawie żadnego zdania.

Ostatnią ciekawostką wydaje się bojowa postawa Polek. O ile przeciwnych wysłaniu żołnierzy NATO na wojnę jest 61,2 proc. panów, o tyle podobną rezerwę wyraża tylko 50,6 proc. pań. Aż 32 proc. kobiet nie prezentuje żadnej opinii, podobną obojętność w tej kwestii wykazuje tylko 20 proc. mężczyzn. Przyzwolenie polskich amazońek na możliwą eskalację konfliktu jest co najmniej zastanawiające. W klasycznym polskim dramacie „Moralność pani Dulskiej” mąż tytułowej bohaterki spacerować miał, pod czujnym okiem małżonki, na krakowski kopiec Kościuszki. Gdy spektakl grano we Lwowie, wybierał się na tamtejszy Wysoki Zamek. Czyżby liczne współczesne Polki wysłać chciały swoich mężów na Krym? Mężczyznom pozostaje nadzieja, że podobnie jak w dramacie Zapolskiej skończy się na wędrownie wokół stołu. ©©



KRYSZTOF KRATYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Komu ma nie bić dzwon?

Szedłeś kiedyś przez góry, słuchając wyłącznie dźwięków przyrody i własnego oddechu, gdy nagle walkę ze zmęczeniem przerwało docierające do twych uszu kojące bicie dzwonów? Przypomnij to sobie lub wyobraź.

Bywałeś w młodości na wsi? Pamiętasz, jak przesiadując na stogu siana, usłyszałeś wieczorne dzwony?

A może siedłeś kiedyś przed świtem na roraty, krocząc przez zasypany śniegiem zwałony na chodnikach twojego osiedla, trzymając ojca za rękę, gdy dotarło do was bicie porannych dzwonów?

Zapewne pamiętasz, kiedy umierał Karol Wojtyła, a cały naród zamarł, gdy serca dzwonów próbowały zastąpić bicie zatrzymanego papieskiego serca?

Kościelne dzwony towarzyszą Polakom od tysiąca lat. Orientowano się na nie, towarzyszyły ślubom i pogrzebom. Dziś – nierzadko niepotrzebne, jeszcze częściej znienawidzone

A może i dziś, gdy podczas pracy usłyszysz znajomy głos gigantów z brązu czy ze spiżu, przypominasz sobie o czymś ważnym? Jeśli już dziś mało kto z nas woła, że oto „na Anioł Pański biją dzwony, niech będzie Chrystus pochwalony!”, to może przynajmniej zdajesz sobie sprawę, która właśnie wybiła godzina?

Ale dzwony coraz częściej przeszkadzają. Oto np. w Krakowie mieszkańcy jednego z osiedli zbuntowali się przeciwko dźwiękom dochodzącym

z kościoła pod wezwaniem... św. Jana Pawła II. Dzwon odzywa się co dzień o godz. 21.37 i ponoć nie pozwala odpocząć mieszkańcom, a nawet nie daje spać ich dzieciom. Oburzeni napisali więc list do księdza, zaczynający się od wiele mówiących słów: „Szanowny Panie Proboszczu”. Doprawdy, w dobie gdy „młodzi, wykształceni” doprowadzili do granic szaleństwa dopytywanie się o to, jakimi zaimkami zwracać się do poszczególnych osób identyfikujących się jako ktokolwiek, taki zwrot pokazuje coś więcej niż zwykły brak klasy i dobrego wychowania. Może to dlatego pod apelem o zaniechanie bicia w dzwony podpisało się tylko 300 osób, choć ateistyczne media rozdmuchują temat do granic nieprzyzwoitości.

Znam dobrze krakowskie osiedle Ruczaj. Wiem, że żyją tam głównie młodzi ludzie pragnący stanowić awangardę nowoczesności w konserwatywnym niegdyś mieście. Rocznikowo odpowiadają mniej więcej tym, którzy dwie dekady temu stanowić mieli, o ironio, pokolenie Jana Pawła II. W bloku, w którym niegdyś wynajmowałem lokum, już 10 lat temu na 36 mieszkań drzwi księdzu chodzącemu z wizytą duszpasterską otwierano w... czterech. Dziś jest jeszcze gorzej.

W swym liście mieszkańcy osiedla położonego przy wyjątkowo ruchliwej ulicy, gdzie o godz. 21.37 nie milknie jeszcze hałas wydawany przez samochodowe silniki czy tramwajowe koła, gdzie odbywa się impreza za imprezą, narzekają na hałas. Protestów w tych innych sprawach nie było, dziennikarze nie wydzwaniali do odpowiedzialnych za te dźwięki tak jak do proboszcza. Ale dzwony jednak

przeszkadzają – przez wieki wzywające do modlitwy, dzisiaj dla wielu mogące stanowić jedynie pewien rodzaj wyrzutu sumienia.

Kraków, Jan Paweł II, kościół, dzwony, pokolenie. Jakżeż domagający symbol – święty papież zdekonsecrowany przez „święty spokój”.

Kościelne dzwony towarzyszą Polakom od tysiąca lat. Orientowano się na nie, towarzyszyły modlitwom, ślubom, pogrzebom, dziesiątkom innych ważnych wydarzeń. Dziś – nierzadko niepotrzebne, jeszcze częściej znienawidzone.

Wiem oczywiście doskonale, kto najbardziej boi się kościelnych dzwonów i wody święconej (z którą walkę również już prowadzono, szczególnie w pandemii). Jednak zakończenie felietonu przywołaniem diabła byłoby zbyt proste. Dlatego zostawię państwu raczej z poetą, mało znanym, ale widzącym już w swym życiu rozbity dzwon:

*Wiesz na wielkiej, niebotycznej wieży
Niemy, półmartwy i rozbity
dzwonem,
Ktoremu nigdy nie będzie sądzonem
Nieść echa nowe na świata rubież...
Lecz gdy wiatr runie, mojem
wstrząśnię łonem,
Rozbite serce na mig opancerzy
I dzwon donośnie, dzwon silnie
uderzy,
To dźwięk ten będzie serca mego
zgonem...
O, długo jeszcze echa rozedrgane
Bić będą w niebo chmurami zasnuje,
Aż zgasną ciche, coraz dalsze,
bledsze...
I darmo jeżdżą Anioły świetlane.
By z dzwonu dobyć choćby jedną
nutę,
Bo jęk już żaden nie wzleci
w powietrze...*

(Jerzy Guranowski,
„Rozbity dzwon”, 1912 r.) ©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Czy Ukraina łatwo wydaje paszporty cudzoziemcom? Pewnie tak. Kraj skorumpowany jak żaden inny w Europie, ponadto potrzebują rekrutów lub inwestycji. Mają swoje powody. To teraz tak: gdybym pojechał na Ukrainę i wymienić sobie paszport na ukraiński, a potem wrócił do Polski, to będę miał lepiej, niż ma obywatel RP na paszporcie polskim. A wkrótce mogę mieć jeszcze lepiej, bo storo już teraz dają PESEL, ZUS, to potem będzie polska emerytura; i to bez potrzeby wieloletniego haraczu w postaci składek. Haracz płacą głupie Polaczki, czyli Lachy (a może „lachy” małą literą – nie wiem, jak oni to piszą na Ukrainie). Wszystko bez zobowiązań. Mieszkanie można dostać lub zapomogę na mieszkanie, której nie dostanie Polak. W przychodniach i szpitalach darmo i bez kolejki. Mają też dać prawa wyborcze, czyli na poziomie samorządowym to se wybierzemy np. naszego ukraińskiego wójta w miejscowości, gdzie jest nas wielu, a wójt załatwi dotacje na to, co nam pasuje, a nie na drogę czy oczyszczalnię ścieków. A potem się wyjedzie lub się zostanie – zobaczymy. Na razie hulaj dusza za darmoszkę.

Wiele dobrych uczynków przynosi więcej hańby aniżeli chwały. „Bóg więcej ma smutku z Mszy odprawianej przez kapłana w grzechu ciężkim niż pożytku, który ta Msza niesie”. Dobrym uczynkiem było przyjmowanie uciekinierów pod dach, ale przyniosło więcej szkody niż dobra.



Miejsce polskich kwiaciarni, które zbankrutowały na skutek obciążeń fiskalnych, a wcześniej lockdownu, zajmuje ukraińska sieć Flower Bar, w której pracują wyłącznie Ukraińcy. W całej Polsce otwierają się nowe lokale.

Wpis klienta na ich stronie: „Świetna obsługa, bardzo wygodna strona, bardzo ładne bukiety 10/10”. Na ten wpis odpowiedział... Iwan (ale pisane cyrylicą – IBAH): „Twoje słowa naprawdę motywują nas do dalszego świadczenia wyjątkowych usług. Cieszymy się, że nasza wygodna strona i piękne bukiety zrobiły na Tobie wrażenie...”. I tak dalej.

Za okupacji niemieckiej było takie patriotyczne hasło: „Tylko świnię siedzą w kinie”. Chodziło o to, by bojkotować niemieckie kina, w których poza dobrą rozrywką prezentowano na doczepkę filmy propagandowe. W tamtym czasie Polacy byli solidarni i tylko świnię siedziały w kinie.

Dziś nie jesteśmy solidarni, może nigdy już nie będziemy, bo się naród polski skończył. Sprzedajemy się Ukraińcom jak dziwki portowe. Ktoś potrzebuje ładną wiązanekę i tanio – kupuje u Iwana i nie ma z tym problemu. Kiedyś by miał problem z kupowaniem u Niemca czy u Ruska, ale dzisiaj ma wyłącznie problem finansowy, sprzedaje się jak dziwka i nie ma wrażeń, że jest świnią.

Teraz wielu czytelników jest obrażonych NA MNIE, inni są być może obrażeni na Iwana, a to już bardzo niesprawiedliwe! Iwany nie są niczemu

winne – to myśmy im dobrowolnie oddali wszystko, więc ja się nie dziwię, że skorzystali. Polacy na podobnej zasadzie skorzystali z okazji w Irlandii i obsiedli wszystko, co się dało. Irlandia się dała opanować dobrowolnie, tośmy ją opanowali i żaden Polak nie robił tego przemocą ani złośliwie – sami chcieli, sami się dali, ich wina. Potem się zorientowali i zaczęli narzekać, a nawet bić naszych, ale wtedy to już było za późno. Odwracanie takich rzeczy jest prawie niemożliwe.

A zatem ja nie mam pretensji do Ukraińców, że wzięli wszystko, cośmy im sami dali. Złości mnie to i niepokoi, ale do Ukraińców pretensji mieć nie mogę, bo to nie ich wina, tylko nasza własna. Mogę do Ukraińców odczuwać niechęć, ale obciążanie ich winą byłoby niesprawiedliwe.

Nie mam pretensji, że nas uważają za ciężkich frajerów i nami gardzą. Tak to jest szczególnie na Wschodzie – kto okazuje frajerstwo i słabiznę, ten jest godny pogardy. A Polska chciała być częścią Zachodu, aspirowała do Europy, była w sojuszach z Ameryką, a teraz znów wyładowaliśmy na Wschodzie. To się dzieje bez ruszania z miejsca. Coś nas zalewa i mamy to. Zaczęliśmy się przytulać do kraju ze Wschodu, którym jest Ukraina, zaczęliśmy jeździć na Majdany, popierać, to nas w końcu pochłonęli.

Ukraina jest państwem większym od Polski i silniejszym. Ma zasoby, których my nie mamy (choćby ropa i czarnoziemy), i nie ma tych wszystkich dławiących rozwój

ograniczeń typu Zielony Ład i reszta unijnego szmelcu. No to silniejszy, do którego się przytuliliśmy, nas pochłonął.

Poprzednio tuliliśmy się do Zachodu i wtedy też silniejszy nas pochłonął – Biedronkę z ogromnym sukcesem GODNYM PODZIWIU założył i prowadzi Portugalczyk. Żabka Biedronce nie podkoczy, bo nie ma tyle siły, wystartowała za późno, gdy już nas pochłonęli.

Czym jest ukrainizacja? Utratą niepodległości. Tym samym co rusyfikacja czy niemczenie za czasów zabórów. Proces odwracalny, ale to bardzo trudne.

HYMN POLSKI... zawiera słowa uległe: „dał nam przykład Bonaparte”. Nie było polskich przykładów, polskich wodzów i królów? Autor hymnu nie mógł wpisać polskiego wodza? Musiał się kłaniać obcemu cesarzowi? To wtedy jeszcze nie był hymn, a jedynie mazurek dla polskiego wojska za granicą. Ale że potem, gdyśmy się wreszcie wybili na niepodległość, nie wybraliśmy „Roty”? Czemu?

„Rota” jest lepsza na hymn: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród, nie damy pogrześć mowy... Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz...”.

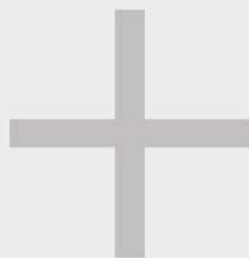
To są dużo lepsze hasła od obecnego hymnu.

I jeszcze: „Twierdzą nam będzie każdy próg” – czyli w każdym polskim domu będziemy bronić polskości. Na każdym poziomie od władzy u góry do samego dołu, do ostatniej chałupy w ostatniej wiosce. Obrona polskości polega także na tym, że bukiety kupujemy drożej, ale u swoich. Ukraińcy tak robią i Żydzi, i Arabowie; i wszyscy w ten sposób dają przykład swego patriotyzmu. ©

Uwaga: nowe ceny na rok 2024

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

LESZEK ADAMCZEWSKI:
„ZAGROŻONE DZIEDZICTWO”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~869~~ ZŁ

404,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 465 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 80203fc321

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



ZIEMKIEWICZ KONTRA SEMKA – POLSKA DMOWSKIEGO CZY PIŁSUDSKIEGO?

Krew na pierwszych stronach gazet – Najbardziej ponure epizody z dziejów konfliktów politycznych II RP

Emigracyjne polskie piekielko – W kraju trwały jeszcze walki, nie wszyscy skapitulowali, a emigracyjni politycy nad Sekwaną już szli ze sobą na noże

Biało-czerwony „Nautilus” – Juliusz Verne chciał, aby kapitan Nemo był Polakiem, powstańcem styczniowym, mszczącym się na rosyjskich statkach

Zaginiona eskadra – Sowieci bardzo skutecznie postarali się, aby zapomniano o największej polskiej produkcji filmowej II RP sławiącej zwycięstwo Polaków nad bolszewikami

Niewolna Liberia – Wyzwoleni Amerykanoliberyjczycy pogardzali tubylczą ludnością i na ponad 100 lat pozbawili ją wszelkich praw

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**